

Witold GOMBROWICZ DZIEŁA Tom IV

redakcja naukowa tekstu Jan Błoński

Wydawnictwo Literackie

Witold GOMBROWICZ

## **PORNOGRAFIA**

Wydawnictwo Literackie

Copyright by Rita Gombrowicz,

Tekst i Notę wydawcy opracowała BOGUSŁAWA STANOWSKA-CICHOŃ

Uwagi interpretacyjne zawarte w Nocie wydawcy napisał JERZY JARZĘBSKI

Projekt okładki BEATA BARSZCZEWSKA-WOJDA

Printed in Poland Wydawnictwo Literackie, Kraków Wyd. II. Nakład 150 000 + 350 egz.

Informacja: Pornografia dzieje się w Polsce z lat wojennych. Dlaczego? Trochę dlatego, że klimat wojny dla niej najwłaściwszy. Trochę, że to jednak polskie — i nawet może pomyślane było, w pierwszym rzucie, odrobinę na wzór taniego romansu z gatunku Rodziewiczówny, czy Zarzyckiej (czy to podobieństwo znikło w późniejszym opracowaniu?). A trochę na przekór — żeby podsunąć narodowi, iż w jego łonie zmieszczą się inne konflikty, dramaty, idee, oprócz tych... teoretycznie ustalonych.

Tej Polski wojennej nie znam. Nie byłem przy tym. W ogóle Polski od 1939 r. nie oglądałem. Opisałem to tak, jak sobie wyobrażam. To więc jest Polska imaginacyjna — i nie przejmujcie się, że czasem pomyłone, czasem może fantastyczne, bo nie o to chodzi i to zupełnie bez znaczenia dla spraw tutaj się odbywających.

Jeszcze jedno. Niech nikt nie doszukuje się w wątku związanym z Armią Krajową (w drugiej części) intencji krytycznej lub ironizującej. AK może być pewna mojego

szacunku. Wymyśliłem tę sytuację — która mogłaby się zdarzyć w jakiegokolwiek organizacji podziemnej — gdyż tego wymagała kompozycja i jej duch, w tym miejscu trochę melodramatyczny. AK, czy nie AK, ludzie są ludźmi — wszędzie przytrafi się wódz, tchórzem nawiedzony, lub morderstwo dyktowane konspiracją.

W. G.

Część pierwsza 1.

Opowiem wam inną przygodę moją, jedną chyba z najbardziej fatalnych.

Wówczas, a było to w 1943-im, przebywałem był w byłej Polsce i w byłej Warszawie, na samym dniu faktu dokonanego. Cisza. Przetrzebione grono koleżków i przyjaciół moich z byłych kawiarni, Zodiaku, Ziemiańskiej, Ipsu, zbierało się co wtorek w pewnym mieszkanku na Kruczej i tam, popijając, usiłowaliśmy być w dalszym ciągu artystami, pisarzami i myślicielami... podejmując dawne, były rozmowy nasze i spory o sztuce... Hej, hej, hej, do dziś widzę siedzących lub leżących w ciężkim dymie, ten nieco szkieletowaty, tamten pokiereszowany, a wszyscy rozkrzyczani, rozwrzeszczeni. Więc jeden krzyczał: Bóg, drugi: sztuka, trzeci: naród, czwarty: proletariat, i tak dyskutowaliśmy zażarcie i tak to trwało, trwało — Bóg, sztuka, naród, proletariat — ale kiedyś zjawił się gość w średnim wieku, czarniawy i suchy, z nosem orlim, i przedstawił się każdemu z osobna z zachowaniem wszystkich formalności. Po czym prawie się nie odzywał.

Podziękował za dostarczony kieliszek wódki bardzo starannie — i z nie mniejszą starannością powiedział: — Ja poprosiłbym jeszcze o zapalną... po czym zaczął czekać na za-6 palną i czekał... i, gdy mu ją dano, przystąpił do zapalenia papierosa.

Tymczasem wrzała dyskusja — Bóg, proletariat, naród, sztuka — a smród zaglądał nam w nozdrza. Ktoś zagadnął: — Jakie wiatry przywiały pana, panie Fryderyku? — na co udzielił natychmiast wyczerpującej odpowiedzi. — Dowiedziałem się od pani Ewy, że bywa tu Piętaś, więc zaszedłem, bo mam cztery skórki zajęcze i podeszwę. I, aby nie być gołosłownym, pokazał skórki zawinięte w papier.

Podano mu herbatę, którą wypił, ale pozostał mu na talerzyku kawałek cukru — i wyciągnął rękę żeby go podnieść do ust — ale może uznał ten ruch za nie dość uzasadniony., więc cofnął rękę — jednakże cofnięcie ręki było właściwie czymś

bardziej jeszcze nieuzasadnionym — wyciągnął tedy rękę powtórnie i zjadł cukier — ale zjadł już chyba nie dla przyjemności, a tylko żeby odpowiednio się zachować... wobec cukru, czy wobec nas?... i pragnąc zatrzeć to wrażenie kaszlnął i, aby uzasadnić kasznięcie, wyciągnął chusteczkę, ale już nie odważył się wytrzeć nosa — tylko poruszył nogą. Poruszenie nogi, jak się zdaje, nasunęło mu nowe komplikacje, więc w ogóle ucichł i znieruchomiał. To szczególne zachowanie (bo on właściwie nic tylko „zachowywał się”, on „zachowywał się” bez ustanku) już wtedy, przy pierwszym widzeniu wzbudziło moją ciekawość, a w ciągu następnego miesiąca zbliżyłem się z tym człowiekiem, który zresztą okazał się kimś nie pozbawionym ogłady, a także mającym za sobą doświadczenia z dziedziny sztuki (zajmował się kiedyś teatrem). Bo ja wiem... bo ja wiem... wystarczy gdy powiem iż wspólnie zajęliśmy się małym handelkiem, który dostarczał nam środków na utrzymanie. No tak, ale to niedługo trwało, bo pewnego dnia otrzymałem list, list od tak zwanego Hipa, czyli Hipolita S., ziemianina z Sandomierskiego, z propozycją abyśmy go odwiedzili — i nadmieniał Hipolit, że chce omówić z nami pewne swoje warszawskie sprawy, w których moglibyśmy być mu pomocni. „Tutaj niby spokój, nic takiego, ale chodzą bandy, czasem napadają, jest, uważasz, rozluźnienie. Przyjedźcie we dwóch, będzie różnie”. Jechać? We dwóch? Nawiedzały mnie trudne do sformułowania wątpliwości dotyczące tej jazdy we dwóch... no bo, brać go ze sobą żeby tam, na wsi, nadal prowadził swoją grę... A jego ciało, to ciało tak... „specyficzne”?... Jechać z nim nie bacząc na tę jego niestrudzoną „nieprzyzwoitość milcząco--krzyczącą”?... Obarczać się kimś tak „skompromitowanym a wskutek tego i kompromitującym”?... Narażać się na ten „dialog” prowadzony uparcie... z... kim właściwie?... A jego „wiedza”, ta wiedza jego o...? A jego chytryść? A jego podstępny? No tak, to wszystko niezbyt mi się uśmiechało, ale z drugiej strony on był w wieczystej grze swojej tak osobno... tak wyodrębniony z naszego zbiorowego dramatu, tak bez związku z dyskusjami „naród, Bóg, proletariat, sztuka”... i to było mi wypoczynkiem, stanowiło jakieś odciążenie... A przy tym tak nienaganny i spokojny i ostrożny! Jedźmy tedy, o ileż przyjemniej we dwóch! I w rezultacie — wdarliśmy się do wagonu i wdążyli w zapchane wnętrze... aż ruszył w końcu pociąg, zgrzytając.

Godzina trzecia po południu. Mglisto. Fryderyka wpół łamał tułów babi, noga dziecka najeżdżała mu na brodę... i tak jechał... ale jechał, jak zawsze, poprawny i doskonale wychowany. Milczał. Milczałem i ja, jazda szarpała nami i rzucała, a wszystko było jak stężałe... lecz przez skrawek okna dojrzałem sinawe i śpiące pola, w które wjeżdżaliśmy rozkołysanym łoskotem... była to ta sama, tyle razy widziana, płaska szerokość objęta horyzontem, ziemia poszatkowana, kilka drzew uciekających, domek, w tył uchodzące zabudowania... to samo co zawsze, to z góry wiadome... Ale nie to samo! I nie to samo, dlatego właśnie, że to samo! I niewiadome, i niezrozumiałe, ba, niepojęte, nie do ogarnięcia!

Dziecko rozdarło się, baba kichnęła...

Ten kwaśny zapach... Z dawna znana, wieczysta żałość jazdy pociągiem, wznosząca się, opadająca linia drutów lub rowu, nagłe wtargnięcie w okno drzewa, słupa, budki, szparkie pomykanie wszystkiego w tył, wyślizgiwanie się... gdy tam, daleko, na horyzoncie, komin lub wzgórze... pojawiały się i trwały długo, uparcie, jak troska naczelna, troska górująca... póki nie zapadły się w nic powolnym obrotem. Fryderyka 3 miałem tuż przed sobą, oddzielonego dwiema głowami, głowa jego była tuż, tuż, i mogłem ją widzieć — milczał i jechał — a obecność ciał obcych, nachalnych, obłączających i napierających pogłębiała tylko moje sam na sam z -nim... bez słowa... tak bardzo, że na Boga żywego wolałbym z nim nie jechać i żeby ten pomysł wspólnej jazdy nie był doszedł do skutku! Albowiem, wsadzony w cielesność, był jednym więcej ciałem wśród ciał, niczym więcej... ale jednocześnie był... i był jakoś odrębnie, a nieubłaganie... Tego nie można było usunąć. To nie dawało się zbyć, załatwić, zatrzeć, on był w tym ścisku i był...

I jego jazda, jego pęd w przestrzeni, nie dawały się porównać z ich jazdą — była to jazda o wiele donioślejsza, może nawet groźna...

Od czasu do czasu uśmiechał się do mnie i mówił coś — ale chyba po to, żeby umożliwić mi przebywanie z sobą i uczynić swoją obecność mniej przygniatającą. Zrozumiałem, że wydobyć go z miasta, wyrzucenie w te przestrzenie pozawarszawskie, było przedsięwzięciem ryzykownym... bo na tle tych rozległości szczególna jego jakość wewnętrzna musiała rozlegać się silniej... i on sam to wiedział, gdyż nigdy nie widziałem go bardziej ściszym, nieznacznym. W pewnej chwili

zmierzch, ta substancja która zjada kształt, poczęła stopniowo go zacierać i stał się niewyraźny w wagonie rozpędzonym i roztrzęsionym, wjeżdżającym w noc, skłaniającym do niebytu. Lecz to nie nadwątliło jego obecności, która stała się tylko mniej dostępna oczom: czał się za welonem niewidzenia, taki sam. Wtem zapaliło się światło i znów wyciągnęło go na jaw, ukazując jego podbródek, kąciki ust zaciśniętych i uszy... on zaś nie drgnął, stał z oczyma wlepionymi w kołyszący się sznurek i był! Pociąg znów stanął, gdzieś za mną szuranie nogami, ścisk zatacza się, coś chyba się dzieje — ale on jest i jest! Ruszamy, noc na zewnątrz, lokomotywa buchnęła iskrami, nocna staje się jazda wagonów — po co mi było zabierać go z sobą? Dlaczego obarczyłem się tym towarzystwem, które, zamiast odciążać, obciążało? Wiele ospałych godzin trwała ta jazda, przeplatana postojami, aż na koniec stała się jazdą dla jazdy, senną, upartą, i tak jechaliśmy póki nie dobiliśmy do Ćmielowa i, z walizkami, nie znaleźliśmy się na ścieżce wzdłuż toru. Uchodzący sznur poci w huku nikałym. Cisza, zagadkowy powiew, i gwiazdy Świerszcz.

Ja, wydobyty z wielogodzinnego ruchu i ścisku, umieszczony z nagłą na tej ścieżce — a obok Fryderyk z płaszczem na ręku, zupełnie cichy i stojący — gdzie byliśmy? Co to było? Znałem przecież tę okolicę, nie był mi obcy ten wietrzyk — ale gdzie byliśmy? Tam, na ukos, znajomy budynek ćmie-łowskiej stacji i kilka świecących lamp, ale... gdzie, na jakiej wylądowaliśmy planecie? Fryderyk stał obok i tylko stał. Ruszyliśmy do stacji, on za mną, oto bryczka, konie, furman — znajoma bryczka i znajome to uchylene furmańskiej czapki, dlaczego więc tak się przyglądam z uporem?... Wsiadam, za mną Fryderyk, jedziemy, piaszczysta droga pod światłem ciemnego nieba, bokami nadpływa czarność drzewa lub krzaka, wjeżdżamy w wieś Brzustową, bielą się wapnem deski i psa szczekanie...

zagadkowe... przede mną plecy furmana... zagadkowe... a obok ten człowiek, który milcząco, układnie, mi towarzyszy. Grunt niewidzialny kołysał lub wstrząsał naszym pojazdem, a jamy ciemności, zagęszczenia mroku wśród drzew, tamowały nam wzrok. Zagadnąłem furmana aby usłyszeć własny głos :

— No, co tam? Spokojnie u was? I usłyszałem, że mówił:

— Póki co spokojnie. Są bandy po lasach... Ale żeby w ostatnim czasie co specjalnego...

Twarz niewidoczna, a głos ten sam — więc nie ten sam. Przede mną tylko plecy — i już chciałem wychylić się żeby zajrzeć w oczy tym plecami, ale wstrzymałem się... bo Fryderyk... wszak był tu, obok mnie. I był niezmiernie cicho. Mając go przy sobie, wolałem nie zaglądać nikomu w twarz... gdyż naraz zrozumiałem, że to coś, co siedzi obok, jest w ciszy swojej radykalne, radykalne do szafu! Tak, to był ekstremista! Niepoczytalnie krańcowy! Nie, to nie było zwykłe istnienie, lecz coś bardziej drapieżnego, napiętego krańcowością o jakiej dotąd nie miałem pojęcia! Wolałem więc nie zaglądać w twarz — a nikomu, nawet furmanowi, którego plecy przygniatały, j •ora, gdy ziemia niewidzialna kołysała, potrzasała bryczką szklącą gwiazdami ciemność dookólna wysysała wszelkie idzenie. Dalsza droga zesłała bez słowa. Na koniec wtoczyliśmy się w aleję, konie ruszyły raźniej — brama, stróż i psy — [om zamknięty i ciężkie, zgrzytające jego odmykanie — ;ip z lampą...

— Ano, chwała Bogu, jesteście!

On czy nie on? Uderzyła mnie i odstręczyła nabrzmiała :zerwoność jego lic, rozsadzająca... i w ogóle wyglądał jak izszadzony spuchlizną, która spowodowała wyolbrzymienie nim wszystkiego, rozrośnięcie się na wsze strony, rozby-:zenie okropne cielska, które było jak wulkan ziejący mie-;em... i w butach z cholewami wyciągnął łapska apokaliptycz-, a oczy wyzierały mu z ciała jak przez lufcik.

Ale garnął się do mnie i ścisnął. Szepnął wstydliwie:

— Rozparło mnie... diabli wiedzą... Przytyłem. Z czego? [Chyba ze wszystkiego.

I oglądając sobie paluchy powtórzył z bezmierną zgryzotą, [ciszej i dla siebie:

— Przytyłem. Z czego? Chyba ze wszystkiego. I huknął:

— A to moja żona!

Po czym mruknął na własny użytek:

— A to moja żona. I wrzasnął:

— A to Heniusia moja, Heniutka, Henieczka! I powtórzył, do siebie, ledwie dosłyszalnie:

— A to Heniusia, Heniutka, Henieczka! Gościnnie i wykwintnie zwrócił się do nas:

— Jak dobrze, że panowie przyjechali, ależ proszę cię, Witoldzie, zapoznaj | mnie ze swoim przyjacielem... skończył, zamknął oczy i powtarzał... wargi mu się ruszały. Fryderyk z wielkim ugrzecz-nieniem ucałował rękę pani domu, której

melancholia okrasiała się dalekim uśmiechem, której wiotkość delikatnie zatrzepotała... i wciągnął nas wir nawiązywania, wprowadzania w dom, zasiadania, rozmawiania — po owej podróży bez końca — a światło lampy rozmarzało. Kolacja, do której podawał lokaj. Sen morzył. Wódka. Walcząc ze snem usiłowa liśmy słuchać, rozumieć, była mowa o rozmaitych udrękał a to z AK, z Niemcami, z bandami, z administracją, z polil cją polską, z rekwizycjami — o grasujących strachach i gwz~tach... o czym świadczyły zresztą okiennice opatrzone dc datkowymi sztabami żelaznymi, a także zatarasowanie bocz nych drzwi... zamknięcie, zaszpuntowanie żelazne. Sienie chów spalili, w Rudnikach karbowemu połamali nogi, mia łem wysiedlonych z Poznańskiego, najgorzej że nie wiadome co, w Ostrowcu, w Bodzechowie, tam gdzie osady fabryczne wszystko tylko czeka, nasłuchuje, na razie spokój, ale trzaśni^ jak front się zbliży... Trzaśnie! To, panie, będzie rzeź, bę dzie wybuch, awantura! To będzie awantura! — huknął i mruknął do siebie, zamyślony: — To będzie awantura. I huknął:

— Najgorzej, że nie ma dokąd wiać! I szepnął:

— Najgorzej, że nie ma dokąd wiać!

Ale lampa. Kolacja. Senność. Sosem gęstym snu zbabra olbrzymiość Hipa, tudzież rozptywająca się w dalekościach pani, Fryderyk i ćmy tłukące się o lampę, ćmy w lampie, ćmy o lampę, i schody kręte na górę, świeca, upadam na łóżko, zasypiam. Nazajutrz trójkąt słoneczny na ścianie. Czyjś głos za oknem. Wstałem z łóżka i otworzyłem okiennice. Ranek.

2.

Bukiety drzew we wdzięcznych esach floresach alejek, ogród staczał się łagodnie tam gdzie za lipami przeczuwało się tafle stawu ukrytą — ach, zieleń w cienistej i słonecznej rosie! Gdy zaś wyszliśmy po śniadaniu na dziedziniec — dom, biały, piętrowy, z facjatkami w ujęciu świerków i tuj, ścieżek i klombów — który oszołomił jak nieskalane zjawisko z dawnego, już tak odległego, przedwojnia... i w swej dawności nie na-12 ruszonej zdawał się być prawdziwszy od terażniejszości... a jednocześnie świadomość, że to nieprawda, że on kłóci się z rzeczywistością, czyniła go czymś w rodzaju teatralnej dekoracji... więc w końcu ten dom, park, niebo i pola stały się zarazem teatrem i prawdą. Ale oto nadchodzi dziedzic, potężny, nabrzmiały,

w kurtce zielonej na rozsadzającym cielsku i, zaiste, nadchodzi jak dawniej,  
pozdrawiając nas z daleka ręką i pyta, jak się nam spało?

Leniwie gawędząc, bez pośpiechu, wyszliśmy za bramę, na pole, i objęliśmy  
wzrokiem ziemię wzdymającą się i falującą w szerokim zasięgu widzenia, a Hip coś  
pogadywał z Fryderykiem, krusząc butem grudki, o żniwach, o urodzaju. Szliśmy w  
kierunku domu. Na ganku ukazała się pani Maria i zawołała: dzień dobry, a mały  
brzdąc, biegł po trawniku, może syn kucharki? Tak to ruszaliśmy się w tym poranku  
— który był powtórzeniem dawno umarłych poranków — ale nie było to takie proste...  
bo wkradło się w pejzaż jakieś nadwątlenie i znów wydało mi się, że wszystko, będąc  
tym samym, jest czymś innym zgoła. Co za myśl wytrącająca, jaka przykra myśl  
zamaskowana! Obok mnie szedł Fryderyk, ucieleśniony w świetle dnia jasnego do  
tego stopnia, iż można było policzyć mu włoski wystające z uszu i wszystkie  
złuszczenia skóry bladej i piwnicznej — Fryderyk, mówię, zgarbiony, cherlawy,  
wklęśnięty, w binoklach, z ustami nerwowca, z rękami w kieszeniach —  
typowy inteligent miejski na wsi czerstwej... jednakże w tym kontraście wieś już nie  
zwyciężała, drzewa straciły pewność siebie, niebo było niewyraźne, krowa nie  
stawiała należytego oporu, odwieczność wsi była teraz zmieszana, niepewna i jakby  
podcięta... i bodaj Fryderyk był teraz prawdziwszy od trawy. Prawdziwszy?  
Męcząca myśl, niepokojąca, brudna, histeryczna trochę a nawet prowokująca,  
napierająca, burząca... i nie wiedziałem, czy to z niego, z Fryderyka, ta myśl, czy może  
z wojny, rewolucji, okupacji... czy może jedno i drugie, jedno z drugim? Ale  
zachowywał się nienagannie wypytujac Hipolita o gospodarstwo, prowadząc rozmowę  
jakiej należało oczekiwać i naraz ujrzelismy Henię, która szła ku nam przez trawnik.  
Słońce paliło nam skórę. Oczy były suche i wargi spierzchnięte. Powiedziała:

— Mama już gotowa. Kazałam zaprzęgać.

— Do kościoła, na mszę, bo niedziela — wyjaśnił Hipolit. I rzekł cicho, do siebie: —  
na mszę, do kościoła.

Wygłosił:

— Jakby panowie chcieli z nami, prosimy bardzo, ale przymusu nie ma, tolerancja, ha,  
co?! Ja jadę bo, póki tu jestem, będę jeździł! Póki jest kościół, to ja do kościoła! I z



żoną, córką, powozem — bo przed nikim chować się nie potrzebuję, niech mnie oglądają. Niech się tam wgapiają — jak z aparatu fotograficznego...  
niech fotografują! I szepnął: — Niech fotografują!

Już Fryderyk zgłaszał najuprzejmiej naszą gotowość do wzięcia udziału w nabożeństwie. W powozie, którego koła zapadając się w piaszczyste koleiny wydają głuchy jęk, jedziemy — a gdy wyjechaliśmy na wzgórze ukazała się stopniowo rozległość ziemi nisko rozłożonej na samym dnie pod olbrzymimi wysokościami nieba, ściętej nieruchomym falowaniem. Tam, daleko, droga żelazna. Mnie śmiać się chciało. Powóz, konie, ten furman, zapach gorący skóry i lakieru, kurz, słońce, mucha uprzykrzona koło twarzy i jęk tych gum ocierających się o piasek — ależ od wieka wieków to znane i nic, nic zupełnie się nie zmieniło! Ale gdy znaleźliśmy się na wzgórzu i owiał nas oddech przestrzeni, u krańca której majaczyły,! się Góry Świętokrzyskie, przewrotność tej jazdy grzmotnęła mnie nieomal w pierś — gdyż byliśmy jak z oleodruku -jak ze starego, rodzinnego albumu umarła fotografia — a na\* tym wzgórzu dawno zmarły wehikuł był widziany i z najdalszych krańców — wskutek czego kraina stała się złośliwie, szydercza, okrutnie wzgardliwa. A przewrotność umarłej' jazdy naszej udzielała się siennej topografii, która niedostrzegal-f nie prawie przesuwiała się pod wpływem i naciskiem tej wła-' śnie naszej jazdy. Fryderyk na tylnym siedzeniu, obok pani Marii, rozglądał się i podziwiał koloryt, jadąc do kościoła! jakby naprawdę jechał do kościoła — nigdy chyba nie był tak towarzyski i uprzejmy! Zjechaliśmy w wąwóz grocho-licki, tam gdzie zaczyna się wieś, gdzie zawsze błoto... † Pamiętam (i nie jest to pozbawione znaczenia dla wypadków, o 'których dalej będzie mowa), górującym uczuciem była czczość — i znów, jak poprzedniej nocy, byłbym wychylił się z powozu aby zajrzeć w twarz furmanowi, ale nie wypadało... więc pozostaliśmy za jego nieodgadnionym grzbietem i jazda nasza odbywała się jemu za plecami. Wjechaliśmy w wieś Grocholice, po lewej stronie rzeczka, a po prawej rzadkie jeszcze chałupy i płoty, kura i gęś, koryto i bajoro, pies, chłop lub baba odświętna, ścieżką krocząca do kościoła... spokój i senność naszej wsi... Ale było to jakby śmierć nasza, nachylona nad taflą wody, wywoływała w niej własne swoje oblicze, przeszłość wjazdu naszego odbijała się w tej wsi wiecznej i dudniła w tym zapamiętaniu — które było jedynie maską — które służyło tylko do

ukrycia czegoś innego... Czego? Jakikolwiek sens... wojny, rewolucji, gwałtu, wyuzdania, nędzy, rozpacz, nadziei, walki, furii, krzyku, zabójstwa, niewoli, hańby, zdychania, przekleństwa lub błogosławieństwa... jakikolwiek, mówię, sens był zbyt słaby aby przebić się poprzez kryształ tej sielanki i pozostawał nienaruszony ów widoczek, dawno przeczasiały, będący już tylko fasadą... Fryderyk najuprzejmiej gawędził z panią Marią — czy jednak podtrzymawał rozmowę aby czegoś innego nie powiedzieć?

— i zajechaliśmy przed mur, okalający kościół, zabraliśmy się do wysiadania... ale już zupełnie nie wiedziałem, co jest czym, co jest jakie... czy stopnie po których wchodzimy na plac przed kościołem są zwykłymi stopniami, czy też są może...? Fryderyk podał ramię pani Marii i, zdjawszy kapelusz, prowadził ją do wrót kościoła, czemu przyglądali się ludzie — lecz może prowadził ją po to tylko aby czegoś innego nie zrobić? — a za nim wytoczył się Hipolit i parł cielskiem naprzód, niezłomny, konsekwentny, wiedząc, że jutro mogą go zarznąć jak świnie — parł żywiołowo, na przekór nienawiściom, ponury i zrezygnowany. Dziedzic! Czy jednak i on był dziedzicem po to tylko, żeby czymś innym nie być?

Ale gdy wchłonął! nas półmrok, w który wbite były świece gorejące, wypełniony zaduchem śpiewu jękliwego, szepczącego, brzmiącego tą masą ludową, przaśną i skuloną... wówczas zniknęła zaczajona wieloznaczność — jakby ręka, mocniejsza od nas, przywróciła ład górujący nabożeństwa. Hipolit, który dotąd był dziedzicem z ukrytą złością i pasją, byle nie dać się, teraz uspokojony i szlachetny usiadł w ławie kolatorskiej i skinieniem głowy witał siedzącą naprzeciwko rodzinę rządcy z łkania. Była to chwila przed mszą, ludzie bez księdza, lud pozostawiony sobie ze swoim pieniem rzewnym, kornym, piskliwym i niezdarnym, które jednak ujmowało go w karby — więc był, jak kundel na obroży, nieszkodliwy. Cóż za okiełznanie, jakie uspokojenie, co za błoga ulga, tu, w tej odwieczności kamiennej, chłop znów stawał się chłopem, pan — panem, msza — mszą, kamień — kamieniem i wszystko powracało do siebie!

Jednakże Fryderyk, który zasiadł w ławie kolatorskiej obok Hipolita, osunął się na kolana... i to nieco popsuło mi spokój, gdyż było może nieco przesadne... i trudno mi było nie pomyśleć, iż może osunął się na kolana po to, aby nie popełnić czegoś, co by

nie było osunięciem się na kolana... lecz dzwonki, ksiądz wychodzi z kielichem i, umieściwszy go na ołtarzu, oddaje pokłon. Dzwonki. I naraz akcent jakiś decydujący uderzył z taką siłą w jestestwo moje, że ja — wyczerpany, półprzytomny — ukląłem i niewiele brakowało a — w dzikim porzuceniu moim — byłbym się modlił... Ale Fryderyk! Zdawało mi się, podejrzewałem, że Fryderyk, który przecież ukląkł, także się „modli”; — a nawet byłem pewny, tak, znając jego przerażenia, że nie udaje, ale naprawdę się „modli” — w tym znaczeniu, że nie tylko innych pragnie oszukać, ale i siebie. „Modli się” wobec innych i wobec siebie, ale modlitwa jego była tylko parawanem, zasłaniającym bezmiary jego niemodlitwy... więc to był akt wyrzucający, „ekscentryczny”, który wyprowadzał z tego kościoła na zewnątrz, na obszar bezgraniczny zupełnej niewiary — w samym rdzeniu swoim zaprzeczający. I cóż się działo? Co się zaczęło wyrabiać? Niczego podobnego nigdy nie przeżyłem. Nigdy nie uwierzyłbym, że coś takiego w ogóle może się zdarzyć. Ale — cóż takiego się stało? Właściwie — nic, > właściwie stało się, że czyjaś ręka zabrała tej mszy wszystką jej zawartość, całą treść — i oto ksiądz ruszał się, klękał, przechodził z jednej strony ołtarza na drugą, a ministranci uderzali w dzwonki i wznosił się dym kadzidła, ale treść ulataniała się z tego, jak gaz z balonu, i msza oklapła w strasznej impotencji... zwisająca... niezdolna już do zapłodnienia! To zaś pozbawienie treści było morderstwem, dokonany na marginesie, poza nami, poza mszą, tytułem bezgłośnego a zabójczego komentarza osoby przyglądającej się z boku. I msza nie mogła się przed tym bronić, gdyż nastąpiło to za sprawą jakiejś nawiasowej interpretacji, nikt właściwie w tym kościele nie opierał się mszy, nawet Fryderyk stowarzyszał się z nią jak najpoprawniej... a jeśli ją zabijał to jedynie, tak to powiedzmy, z odwrotnej strony medalu. A ten uboczny komentarz, ta glossa zabijająca, była dziełem okrucieństwa — dziełem świadomości ostrej, zimnej, przenikającej na wskroś, nieubłaganej... i zrozumiałem, że wprowadzenie tego człowieka do kościoła było czystym szaleństwem, na Boga, należało trzymać go z dala od tego! Kościół był jego miejscem najstraszniejszym! Ale już się stało. Proces, który się odbywał, był docieraniem do rzeczywistości in crudo... przede wszystkim był zniweczeniem zbawienia, wskutek czego nic już nie mogło zbawić tych chamskich mord, jełkich, wydobytych teraz ze wszelkiego

uświęcającego stylu i podanych na surowo, jak ochłap. To już nie był „lud”, nie byli „chłopi”, nie byli nawet „ludzie”, to były stworzenia takie jakie... takie jakie były... i ich brud pozbawiony został łaski. Ale dzięki anarchii tego wielogłównia płowego odpowiadał nie mniej arogancki bezwstyd naszych twarzy, które też przestały być „pańskie”, czy też „kulturalne”, lub „delikatne”, a stały się czymś krzycząco utożsamionym ze sobą — karykatury, którym odebrano model, nie będące już karykaturą „czegoś”, a tylko same w sobie, i obnażone jak tyłek! I obustronny wybuch pokracz-ności, pańskiej i chamskiej, zbiegał się w geście księdza, który celebrował... co? Co? Nic. To jednak nie wszystko...

Kościół przestał być kościołem. Wdarła się przestrzeń, ale przestrzeń już kosmiczna, czarna, i to nawet nie działo się już na ziemi, lecz raczej ziemia przeistoczyła się w planetę zawieszoną we wszechświecie, kosmos stał się obecny, to odbywało się w jakimś jego miejscu.

Tak dalece, że światło świec, a nawet światło dnia, wdzierające się poprzez witraże, stało się czarne jak noc. Więc nie byliśmy, już w kościele, w tej wsi, ani na ziemi, tylko — i zgodnie z rzeczywistością, tak, zgodnie z prawdą — gdzieś w kosmosie, zawieszeni z naszymi świecami i naszym blaskiem, i tam gdzieś w bezmiarach wyczynialiśmy te dziwne rzeczy ze sobą i pomiędzy sobą, podobni małpie która by wykrzywiła się w próżni. Było to szczególne drażnienie się nasze, gdzieś, w galaktyce, ludzka prowokacja w ciemnościach, dokonywanie dziwacznych ruchów w otchłani, wykrzywanie się w astronomicznych bezkresach. A temu tonięciu w przestrzeni towarzyszyło straszne wzmożenie konkretności, byliśmy w kosmosie, ale byliśmy jak coś przerażająco danego, określonego we wszystkich szczegółach.

Ozwały się dzwonki na podniesienie. Fryderyk ukląkł.

Tym razem uklęknięcie jego było dobijające, podobne do dorznięcia kury i msza potoczyła się dalej, ale ugodzona śmiertelnie i gadająca jak wariat. Ile, missa est. I... o, triumfie! Jakież zwycięstwo nad tą mszą! Co za durna! Jakby ta likwidacja była mi jakimś upragnionym kresem: na koniec sam, ja sam, bez nikogo i niczego poza mną, sam w ciemności absolutnej... więc dotarłem do ostateczności mojej, osiągnąłem ciemność! Gorzki kres, gorzki smak dotarcia i gorzka meta! Ale było to dumne, zawrotne, naznaczone nieubłaganą dojrzałością ducha, już samoistnego. Ale było to

także okropne i, pozbawiony wszelkiego oparcia, czułem się w sobie jak w rękach potwora, mogąc wyrabiać z sobą wszystko, wszystko, wszystko! Oschłość dumy. Mróz ostateczności. Surowość i pustka. Więc cóż?

Nabożeństwo już miało się ku końcowi, ja rozglądałem się sennie, byłem zmęczony, ach, trzeba będzie wyjść, jechać do domu, do Powórnej, po tej drodze piaszczystej... ale w pewnej chwili wzrok mój... moje oczy... oczy w popłochu i ciężkie. Tak, coś przyciągało. 18 oczy... i oczy. Zniewalająco, kusząco — tak.

Co? Co przy ciągało, co nęciło? Cudowność, niczym we śnie, miejsca za-waalowane, których pożądamy nie mogąc odgadnąć i krążymy wokół nich z niemym krzykiem, we wszechpożerającej tęsknocie, rozdzierającej, szczęsnej, zachwyconej.

Tak ja krążyłem wokół jeszcze spłoszony, niepewny... ale już rozkosznie przeniknięty zniewoleniem giętkim, które ujmowało — urzekało — zachwycało — czarowało — wabiło i podbijało — grało — i kontrast pomiędzy mrozem kosmicznym owej nocy a tym źródłem bijącym rozkoszy był do tego stopnia niezmierny, iż pomyślałem mętnie, że Bóg i cud! Bóg i cud!

Co to było, jednak?

To było... Kawałek policzka i nieco karku... należące do kogoś kto stał przed nami, w tłumie, o kilka kroków...

Ach, omal nie udławiłem się! To był...

(chłopiec)

(chłopiec)

I pojawiwszy, że to tylko (chłopiec), ja zacząłem gwałtownie wycofywać się z ekstazy mojej. Bo zresztą ja jego prawie nie widziałem, tylko trochę zwykłej skóry — karku i policzka. Gdy wtem poruszył się i ruch ten, nieznaczny, przeszył mnie na wskroś, jak niesamowita atrakcja!

Ależ przecież (chłopiec).

I nic tylko (chłopiec).

Jakież kłopotliwe! Zwykły kark szesnastoletni, z włosami przystrzyżonymi, i skóra zwyczajna (chłopca) trochę spierzchnięta i (młode) osadzenie głowy — najzwyklejsze — więc nie wiadomo skąd we mnie to drżenie? O... a teraz zobaczyłem zarys nosa, usta, ponieważ twarz zwrócił nieco w lewo — i nic takiego, ujrzałem w

skosie zwyczajną (chłopca) twarz skośną — zwyczajną! Nie był z ludu. Uczeń? Praktykant? Zwyczajna (młoda) twarz, niezakłócona, przekorna trochę, przyjazna, taka od gryzienia ołówków w zębach, czy od gry w piłkę nożną, gry w bilard, a kołnierz marynarki zachodził na kołnierz koszuli, kark był opalony. A przecież serce mi biło. I ział boskością będąc czymś przepysznie urzekającym i ujmującym w pustce bezmiernej tej nocy, źródłem ciepła i światła oddychającego. Łaska. Cud niepojęty: dlaczego nieważność ta stała się ważna?

Fryderyk? Czy Fryderyk to wiedział, czy widział, czy jemu także to wpadło w oko?... ale naraz ludzie ruszyli, msza się skończyła, zapanowało powolne tłoczenie się ku wyjściu. I ja ze wszystkimi. Przedemną szła Henia, jej plecy i jej karczek jeszcze szkolny, i to podsunęło mi się, a gdy się podsunęło, tak silnie zawładnęło — i tak składnie związało mi się z tamtym karkiem... i naraz pojąłem lekko, bez wysiłku: ten kark i tamten kark. Te dwa karki. Te karki były...

Jak to? Co to? To było jakby jej kark (dziewczyny) wrywał się i związywał z tamtym (chłopcym) karkiem, kark ten jak za kark chwycony przez tamten kark i chwytający za kark! Proszę wybaczyć niezręczność tych metafor. Trochę niezręcznie mi o tym mówić (a także będę musiał kiedyś wytłumaczyć dlaczego słowa (chłopiec) i (dziewczyna) biorę w nawias, tak, to również pozostaje do wyjaśnienia). Ruch jej, gdy postępowali przede mną w tłoku, w gorącym ścisku, też jakoś „odnosił się” do niego i był namiętym dopowiedzeniem, doszeptaniem jego poruszania się tuż, tuż, w tym tłumie. Czyżby? Czyż nie złudzenie? Lecz nagle ujrzałem jej rękę, zwisającą wzdłuż ciała, wgniecioną w ciało naciskiem tłumy i ta jej ręka wgniecioną oddawała ją jego rękom w poufności i gąszczu tych wszystkich sklejonnych ciał. Ależ wszystko w niej było „dla niego"! A on tam dalej, idący spokojnie wraz z ludźmi, a jednak ku niej wyteżony i nią napięty. I niezwalczony, ślepe, a tak spokojnie posuwające się wraz z innymi, tak obojętne zakochanie się w sobie i pożądanie! Ach! To dlatego! — teraz wiedziałem jaki to sekret w nim porwał mnie od pierwszej chwili.

Wynurzyliśmy się z kościoła na plac rozświetlony i ludzie rozsypali się, oni zaś — on i ona — ukazali mi się w całej postaci. Ona — w bluzce jasnej, w granatowej spódnicy i w białym kołnierzyku, stojąca z boku, czekająca na rodziców, zamykająca na klamrę książeczkę od nabożeństwa. On... podszedł do muru i wspinając

się na palce zaglądał 20 na drugą stronę — nie wiedziałem po co. Czy znali się? Lecz, — każde z nich było osobno, znowu i jeszcze bardziej C °cała się w oczy ich namiętna składność: byli dla siebie, /mrużyłem oczy — na placu było biało, zielono, niebiesko, ciepło — zmrużyłem oczy. On dla niej, ona dla niego, gdy tak stali z daleka i wcale nie zainteresowani sobą — i tak silne to, iż on ustami nie do ust jej nadawał się, a do całego jej ciała — a ciało jej jego nogom podlegało!

Obawiam się, iż doprawdy, być może, w ostatnim zdaniu posunąłem się nieco za daleko... Czyż nie należałoby raczej spokojnie powiedzieć, że to był wyjątkowy casus doboru... choć może nie tylko płciowego? Czasem zdarza się, że widząc jakąś parę mówimy: no, ci się dobrali — ale w tym wypadku dobór, jeśli wolno mi się tak wyrazić, był jeszcze dotkliwszy, bo niewyrośnięty... doprawdy nie wiem czy jasno... a jednak ta zmysłowość nieletnia lśniła skarbem wyższej natury, tym mianowicie, że oni byli dla siebie szczęściem, byli sobie drogocenni i najważniejsi! I na tym placu, pod tym słońcem, ogłupiały, zbaraniały, nie mogłem pojąć, nie mieściło mi się w głowie, jak to jest, że nie zwracają na siebie wzajem uwagi, nie dążą ku sobie! Ona osobno i on osobno.

Niedziela, wieś, gorąco, lenistwo ospałe, kościół, nikt się nie śpieszy, potworzyły się gromadki, pani Maria dotykająca koniuszkiem palca twarzy, jakby sprawdzając cerę — Hipolit rozmawiający z rządcą z łkania o kontyngentach — obok Fryderyk, uprzejmy, z rękami w kieszeniach marynarki, gość... ach ten obrazek zmiatał niedawną otchłań czarną, w której pojawił niespodziewanie tak gorący ognik... i tylko jedno mnie dręczyło: czy Fryderyk to zauważył? Czy wiedział?

Fryderyk?

Hipolit zapytał rządcy:

— Aż kartoflami? Jak zrobimy?

— Z pół metra można dać.

Ten (chłopiec) podchodził do nas. — A to mój Karol — rzeki rządcą i popchnął go ku Fryderykowi, który podał mu rękę. Witął się ze wszystkimi, Henia rzekła do matki:

— Patrz! Wyzdrowiała Gałęcka!

— No co, zajdziemy do proboszcza? — pytał Hipolit, ale zaraz mruknął: — Po co? I huknął: — Jazda, moi państwo, czas do domu! Żegnamy się z rządcą. Wsiadamy do

powozu, a z nami Karol (a to co?) który umieścił się obok furmana, jedziemy, gumy zapadając się w koleiny wydają głuchy jęk, droga piaszczysta w powietrzu drżącym i leniwym, złocista mucha zawisa — a gdy wydobyliśmy się na górę, kwadraty pól i tor kolejowy daleko, tam gdzie zaczyna się las. Jedziemy.

Fryderyk siedząc obok Heni unosi się nad typowym dla kolorytu tych okolic niebieskawo-złocistym refleksem, który — tłumaczy — pochodzi z cząsteczek łóssu w powietrzu. Jedziemy.

3.

Powóz jechał. Karol siedział na koźle, obok furmana. Ona na przedniej ławeczce — i tam gdzie kończyła się jej główka, tam on się zaczynał, nad nią jak na piętrze umieszczony, plecami do nas, widoczny tylko w ślepych zarysie swoim, szczupłym — a wiatr wzdymał mu koszulę — i kombinacja jej twarzy z jego brakiem twarzy, uzupełnienie jej twarzy widzącej z jego niewidzącym grzbietem uderzyło we mnie ciemnym, gorącym rozdwojeniem... Nie byli nadmiernie urodziwi — ani on, ani ona — tyle tylko ile jest właściwe temu wiekowi — ale byli pięknnością w zamkniętym okręgu swoim, w tym wzajemnym pragnieniu i zachwyceniu — coś w czym właściwie nikt inny nie miał prawa uczestniczyć. Byli dla siebie — ściśle między sobą. A to tym bardziej, że byli tak (młodzi). Mnie więc nie wolno było się przyglądać i starałem się nie widzieć, ale, mając przed sobą Fryderyka, który siedział obok niej na ławeczce, znów natrętnie zapytywałem siebie: czy widział? Czy wiedział?

I czyhałem na jedno chociażby spojrzenie jego, z tych niby obojętnych a prześlizgujących się chyłkiem, łakomych. 22 A inni? Co wiedzieli inni? Wszak trudno było uwierzyć aby coś tak bijącego w oczy mogło wymknąć się rodzicom panny — gdy wi?c P°

obiedzie poszedłem z Hipolitem do krów, naprowadziłem rozmowę na Karola. Jednakże mnie trudno było pytać o (chłopca), który wtrącając w taki gatunek podniecenia stał się wstydem moim, a co się tyczy Hipa, to chyba nie uważał tego tematu za godny uwagi. No, cóż, Karol, owszem, niezły chłopak, syn rządcy, był w podziemiu, wysłali go gdzieś pod Lublin i coś tam nabroił... iii, taka tam głupota, coś tam zwędził, postrzelił, czy jak tam, kolegę czy dowódcę, diabli wiedzą, no, bzdura, potem zwał stamtąd do domu, a że ojcu się stawia, szelma, i żrą się między sobą, więc



teraz wziąłem go do siebie — zna się na maszynach i zawsze więcej ludzi w domu, jakby co... — Jakby co — powtórzył z lubością do siebie i rozgniatał grudki końcem buta. I naraz zaczął mówić o czym innym. Czy dlatego, że szesnastoletnia biografia nie miała dla niego odpowiedniego ciężaru?

Czy też może nie było innej rady, jak tylko zlekceważyć owe chłopięce sprawki, aby nie stały się zbyt przygniatające. Postrzelił, czy zastrzelił? — pomyślałem.

Jeżeli zastrzelił, można było uniewinnić to wiekiem, który wszystko zacierał — i zapytałem czy od dawna znają się z Henią. — Od dzieciństwa — odparł klepiąc po zadzie krowę i zauważył: holenderka! Wysokomleczna! Chora, psiakrew! Tyle tylko się dowiedziałem. I wynikało z tego, że on, jak też jego żona, nie dostrzegli nic — nic, przynajmniej poważniejszego, co by mogło obudzić ich rodzicielską czujność. Jak to było możliwe? I pomyślałem, że gdyby sprawa była bardziej dorosła — mniej niewyrośnięta — gdyby była mniej chłopię-co-dziewczęca... ale sprawa była utopiona w niedostateczności wieku.

Fryderyk? Co zauważył Fryderyk? Po kościele, po owym zarżnięciu, zduszeniu mszy, ja musiałem wiedzieć, czy on wie coś o nich — i prawie nie mógłbym znieść jego niewiedzy! Było to okropne, iż nie mogłem połączyć żadną miarą w jedność tych dwóch stanów ducha — tego, czarnego, który z niego, z Fryderyka się począł i tego świeżo, namiętnego, z nich — 1 były one osobne, nieskonfrontowane! Cóż jednak mógł uważać Fryderyk, jeśli nic między nimi się nie działo?... i było dla mnie fantastyczne, absurdalne, że zachowywali się, jakby nie było między nimi uwodzenia! Na próżno oczekiwałem, że w końcu się zdradzą. Niewiarygodna obojętność!

Obserwowałem Karola podczas obiadu. Dziecko i drań. Sympatyczny morderca.

Uśmiechnięty niewolnik. Młody żołnierz. Twarda miękkość. Okrutna i krwawa nawet zabawa. To dziecko, jeszcze roześmiane, a raczej jeszcze uśmiechnięte, było jednak już „wzięte do galopu” przez mężczyzn — miał surowość i ciszę młodzika, którego wcześniej mężczyźni wzięli między siebie, wtrąconego w wojnę, wychowanego przez wojsko — i gdy smarował chleb, gdy jadł, zaznaczała się swoista jego wstrzemięźliwość, której głód go nauczył. Głos mu się ściemniał chwilami, stawał się matowy. Miał coś wspólnego z żelazem. Z rzemieniem i z drzewem, ściętym świeżo. Na pierwszy rzut oka zupełnie zwykły, spokojny i przyjazny, posłuszny, oraz chętny.

Rozdarty pomiędzy dzieckiem i mężczyzną (i to czyniło go zarazem niewinnie naiwnym i nieubłagane doświadczonym), wszelako nie był ani tym, ani tamtym, był czymś trzecim, był mianowicie młodością, gwałtowną w nim, ostrą, oddającą go okrucieństwu, przemocy i posłuszeństwu, skazującą na niewolnictwo i poniżenie.

Niższy, ponieważ młody. Gorszy, ponieważ młody.

Zmysłowy, ponieważ młody. Cielesny, ponieważ młody. Niszczący, ponieważ młody.

I w tej młodości — godny pogardy. A co najcie- | kawsze, iż uśmiech jego, ta rzecz najwykwintniejsza jaką posiadał, był właśnie tym co go łączyło z poniżeniem

albowiem to dziecko nie mogło się bronić, rozbrojone własną gotowością do śmiechu.

Więc to wszystko rzucało go na Henię, jak na sukę, on palił się do niej i, zaiste, nie była to żadna „mi-łość” a tylko coś brutalnie upakarzającego, dziejącego się na jego

poziomie — była to miłość „chłopięca” w całej degradacji swojej. Ale jednocześnie

nie była to żadna w ogóle miłość — i on traktował ją rzeczywiście jak pannę, którą się

zna „od dzieciństwa”, rozmowa ich była swobodna i poufała. „Co ci się stało w rękę?”

„Skaleczyłem się, puszkę otwiera24 łem”. „A wiesz, że Roblecki jest w Warszawie?” I

nic więcej, żadnego spojrzenia nawet, nic, tylko to — któż na tej podstawie mógłby

posądzić ich o najlżejszy chociażby romans? Co do niej, to przyciśnięta chłopcem

(jeśli tak mogę się wyrazić) i pod jego parciem, stała się a priori zgwałcona (jeśli to

określenie w ogóle coś znaczy) i nie tracąc nic z dziewiczości, owszem potęgując ją

nawet w objęciach jego niedorósłości, była wszakże sparzona z nim w ciemnościach

jego, nie dość męskiej jeszcze, przemocy. I nie dałoby się o niej powiedzieć, że „zna

mężczyzn” (jak się mówi o zepsutych dziewczynach), a tylko że „chłopca zna” — co

było zarazem bardziej niewinne i bardziej rozpustne. Tak to mi wyglądało, gdy jedli

kluski. Ale jedli te kluski, jak para, znająca się od dzieciństwa, przyzwyczajona do

siebie i może nawet znudzona sobą. Więc jakże ?

Czyż mogłem oczekiwać, że Fryderyk dojrzy coś z tego, czy to w ogóle nie było tylko

zawstydzającym złudzeniem moim? Tak schodził dzień. Zmierzch. Podano kolację.

Skupiliśmy się znowu przy stole w skąym świetle jedynej lampy naftowej i przy

zamkniętych okiennicach, drzwiach zabarykadowanych, zjedliśmy kwaśne mleko z

kartoflami, pani Maria końcami palców dotykała kółka od serwety, Hipolit wlepił

nabrzmiące oblicze w lampę. Było zacisznie — choć za ścianami, które nas chroniły,

począł się ogród pełen niewiadomych szelestów i powiewów, dalej zaś pola zdziczałe wojną — rozmowa ucichła i patrzyliśmy w lampę o którą ćma kołatała. Karol w kącie, gdzie było dość ciemno, rozbierał i czyścił latarnię stojącą. Wtem ona nachyliła się aby zębami przegryźć nitkę, bo szyła sobie bluzkę — i wystarczyło tego nagłego nachylenia i skurczenia z zębami, a już w kącie zakwitł, rozżarzył się Karol, choć ani drgnął. Ona, odłożywszy bluzkę, położyła rękę na stole i ta ręka leżała jawnie, nienagannie, pod każdym względem przyzwoita, pensjonarska zresztą, własność mamy i papy — ale jednocześnie była to ręka obnażona i zupełnie goła, goła nagością nie ręki, lecz kolana dobywającego się spod sukienki... i właściwie bosa... i tą ręką po pensjonarsku wyuzdaną ona go drażniła, drażniła w sposób „głupio młody” (trudno inaczej to nazwać) ale zarazem brutalny. A brutalności towarzyszył śpiew niski, cudowny, który lśnił gdzieś w nich, czy naokoło nich. Karol czyścił latarnię. Ona siedziała. Fryderyk układał gałki z chleba.

Drzwi na werandę zabarykadowane — okiennice wzmocnione żelaznymi sztabami — zacisza przy lampie, przy stole, spotęgowana groźbą nieokiełznanej na zewnątrz przestrzeni — przedmioty, zegar, szafa, półka, zdawały się żyć własnym życiem — w tej to ciszy w ciepłe, ich wczesna cielesność także wzmagała się, nabrzmiała instynktem i nocna, stwarzając sferę własnego podniecenia, zamknięty okrąg. Aż zdawało się, że pragną przywabić ciemność tamtej, zewnętrznej pasji krążącej po polach, że jej potrzebują... choć byli spokojni, może nawet senni. Fryderyk powoli gasił papierosa o spodek nie dopitej szklanki z herbatą i gasił długo, bez pośpiechu, ale pies zaszczekał gdzieś na gumnie — wtedy ręka jego zdusiła niedopałek. Palcami wysmukłymi pani Maria obejmowała swe wiotkie, delikatne palce, jak się obejmuje jesienny liść, jak się wacha zwiędnięty kwiat, Henia poruszyła się... Karol przypadkiem także się poruszył... ruch, wiążąc ich z sobą, trysnął, rozszalał się nieznacznie i jej kolana białe rzuciły (chłopca) na kolana ciemne, ciemne, ciemne kolana nieruchome w kącie. Czerwonobrunatne Hipolita łapska, nabite mięsem, wtrącające w przedpotopowość, także znajdowały się na obrusie i musiał je znosić, bo należały do niego.

— Chodźmy spać — ziewnął. I szepnął: — Chodźmy spać.

Nie, to było nie do zniesienia! Nic, nic! Nic, tylko moja, żerująca na nich pornografia!  
I wściekłość moja na ich bezdenną głupotę — ten szczeniak głupi jak but, ta geś-  
idiotka! — bo tylko głupotą można było wytłumaczyć, że nic, nic, nic!... Ach, gdyby  
mieli o parę lat więcej! Ale Karol siedział w swoim kącie, ze swoją latarnią, ze swymi  
chłopakowatymi rękami i nogami — i nic nie miał do roboty, oprócz latarni, skupiony  
na niej, zakręcający śrubki — i cóż, że kąt był upragniony, drogocenny, że tam kryło  
się najwyższe szczęście tam, w tym Bogu niedorozwiniętym!... on śrubki zakręcał. A  
Henia, przy stole drzemiąca, z rękami znudzonymi... Nic! Jak to 26 być mogło? A  
Fryderyk, Fryderyk, co wiedział o tym Fryderyk, gaszący papierosa, bawiący się  
gałkami chleba? Fryderyk, Fryderyk, Fryderyk! Fryderyk, siedzący tutaj, umieszczony  
przy tym stole, w tym domu, na tych polach nocnych i w tym kłębowisku pasji! Ze  
swoją twarzą, która była jedną wielką prowokacją, ponieważ nade wszystko  
wystrzegą się prowokacji. Fryderyk!

Heńce kleiły się oczy. Powiedziała dobranoc. A zaraz potem i Karol, zawinawszy  
starannie śrubki w papier, poszedł do swojego pokoju na piętrze.

Wówczas spróbowałem wyrzec ostrożnie, spoglądając na lampę z jej turkoczącym  
królestwem insektów: — Sympatyczna parka!

Nikt nie odpowiedział. Pani Maria dotknęła palcami serwetki — Henia — rzekła —  
jeśli Bóg da, na dniach się zaręczy.

Fryderyk, który wciąż przekładał gałki z chleba, zapytał nie przerywając tej czynności,  
z uprzejmym zainteresowaniem.

— Tak? Z kimś z sąsiedztwa?

— Owszem... Sąsiad. Waclaw Paszkowski z Rudy. Niedaleko. Często do nas zagląda.  
Bardzo porządny człowiek. Wybitnie porządny — zatrzepotała palcami.

— Prawnik, uważasz — Hipolit ożywił się — przed wojną miał otworzyć kancelarię...  
Zdolny chłop, poważny, tęgi łeb, ba, wykształcony! Jego matka wdowa, gospodaruje  
w Rudzie, majątek pierwsza klasa, sześćdziesiąt włók, trzy mile stąd.

— Świętych cnót kobieta.

— Ona właściwie z Małopolski wschodniej, Trzeszewska z domu, krewna  
Gołuchowskich.

— Heńka trochę młoda... ale o lepszego kandydata trudno. Mężczyzna odpowiedzialny, zdolny, wybitnie odczytany, intelekt, panie, pierwszorzędny, jak tu przyjedzie będziecie panowie mieli z kim pogadać.

— Niezwykle przemyślany. Zacny i prawy. Wyjątkowej czystości moralnej. Wdał się w matkę. Niezwykła kobieta, głębokiej wiary, święta prawie — niezłomnych katolickich zasad. Ruda to ostoja moralna dla wszystkich.

— Przynajmniej nie byle hołota. Wiadomo co i jak.

— Przynajmniej wiadomo komu córkę oddajemy.

— Bogu dziękować!

— Było nie było. Heńka dobrze za mąż wyjdzie. Było nie było — szepnął do siebie w nagłym zamyśleniu.

4.

Noc przeszła gładko, niedostrzegalnie. Na szczęście miałem osobny pokój, nie byłem więc narażony na znoszenie jego snu... Otwarte okiennice ukazały dzionek z obłoczkami w ogrodzie niebieskawym i zroszonym, a słońce niskie przeszywało z boku strzeliście i wszystko było jak ugodzone skosem, w geometrycznym i podługowatym rzucie — koń skośny, stożkowate drzewo! Dowcipne! Dowcipne i zabawne! Płaszczyzny pięły się pod górę, a piony były ukośne! W tym to poranku ja, rozgorączkowany i chory prawie od wczorajszych rozżarzeń, od owego ognia i blasku — bo przecież trzeba zrozumieć, że spadło to na mnie znienacka po .latach świńskich, zduszonych, wycieńczonych, szarych, lub wykrzywionych szaleńczo. W ciągu których zapomniałem prawie co to jest uroda. W ciągu których tylko trupi odór. A oto naraz zakwita przede mną możliwość gorącej idylli w wiosnie, z którą już się pożegnałem, i panowanie wstrętu ustępuje cudownemu apetytowi tych dwojga. Nie chciałem już niczego innego! Znudziły ITU się agonie. Ja, pisarz polski, ja, Gombrowicz, za tym pobiegłem błędnym ognikiem, jak za przynętą — ale co wiedział Fryderyk? Potrzeba upewnienia się, czy on wie, co on wie, co myśli, co sobie wyobraża, stała się wprost dręcząca, nie mogłem dłużej bez niego, czy też raczej z nim, ale niewiadomym! A pytać? Jak pytać? Jak to wyjęzyczyć? Raczej — pozostawić go sobie i śledzić — czy nie zdradzi się ze swym podnieceniem...

Okazja naraiła się, gdyśmy po podwieczorku zasiedli we dwóch na ganku — zacząłem ziewać, powiedziałem, że 28 prześpię się trochę, ale odszedłszy, zacząłem się za firankami salonu. Wymagało to pewnej... nie, nic odwagi... śmiałości... miało to przecież cechy prowokacji — a przecież on sam wiele miał wspólnego z prowokacją, była to więc niejako „prowokacja prowokatora”. I to ukrycie się za firanką było z mej strony pierwszym wyraźnym zakłóceniem naszego współżycia, zapoczątkowaniem jakiejś nielegalnej fazy między nami.

I zresztą, ilekroć zdarzało mi się spojrzeć na niego w momentach, gdy, będąc zajęty czym innym, nie odpowiadał mi spojrzeniem na spojrzenie, czułem się jak gdybym popełniał podłość — bo on stawał się podły. Mimo to ukryłem się za firanką. Siedział jeszcze dość długo, jak go pozostawiłem na ławce, z nogami wyciągniętymi. Patrzył na drzewa.

Poruszył się, wstał. Jął spacerować z wolna dookoła dziedzińca, obszedł go ze trzy razy... zanim skręcił w szpaler, dzielący sad od parku. Posuwałem się za nim z daleka, aby nie stracić go z oczu. I już wydawało mi się, że jestem na tropie.

Gdyż w sadzie była Henia, przy kartoflach — czyżby tam zmierzał? Nie. Zapuścił się w boczną alejkę, wiodącą do stawu, przystanął nad wodą i spoglądał, a twarz miał gościa, turysty... Więc spacer jego był tylko spacerem — już miałem odejść i rodziła się we mnie pewność że wszystko com wymarzył, było jedynie moją fatamorganą (bo czułem, że ten człowiek powinien mieć nosa do tej sprawy, i że, jeśli on tego nie wywęszył, to tego nie ma) — gdy wtem zauważyłem, że wraca do szpaleru.

Poszedłem za nim.

Niespiesznie stapał i zatrzymywał się, oglądał krzaki, zamyślony, jego mądry profil pochylał się nad liśćmi, abstrakcyjnie. Ogród był cichy. Znów podejrzenia moje rozwiewały się, ale pozostało jedno, trujące: że on przed sobą udaje. Jakoś zanadto się ruszał w rym ogrodzie.

Nie omyliłem się. Jeszcze ze dwa razy skręcał w rozmaitych kierunkach — zagłębił się w sad — uszedł kawałek, stanął — ziewnął — rozejrzał się... a ona o sto kroków od niego na słomie przed piwnicą, przebijająca kartofle! Okrakiem na worku!

Zawadził o nią wzrokiem przelotnie. Ziewnął. Ach, to już było niewiarygodne! Ta maskarada! Przed kim? Po co? Ta ostrożność... jakby nie pozwalał osobie swojej

wziąć pełnego udziału w tym, co robił... ale widać było że całe krążenie to do niej zmierza, do niej! O... a teraz oddala się w stronę domu, ale nie, na pole wyszedł daleko, daleko, przystając, rozpatrując, niby że to spacer... jednakże łukiem ogromnym celuje na gumno i już pewne, że na gumno pójdzie. Widząc to, pobiegłem co tchu przez krzaki aby zająć stanowisko obserwacyjne za szopą i, gdy pędziłem z trzaskiem patyków w wilgotnych zaroślach nad rowem, gdzie wyrzucono ścierwo kocie i gdzie skakały żaby, pojąłem, że wtajemniczam gąszcz i rów w nasze sprawy. Wybiegłem za szopę. Tam stał, za wozem, na który gnój ładowano. Naraz konie pociągnęły wóz, on zaś znalazł się naprzeciwko Karola, który po drugiej stronie gumna, przy stelmarni, oglądał -jakieś żelazo.

Wówczas się zdradził. Ujawniony tym usunięciem się wozu, nie wytrzymał otwartej przestrzeni pomiędzy sobą i swoim obiektem — zamiast stać spokojnie, uskoczył prędko za płot, aby tamten go nie zobaczył — i zatrzymał się, zadyszany. Ale to gwałtowne poruszenie zdemaskowało go, więc, przestraszony, wypadł na drogę żeby wracać do domu. Tu spotkał się oko w oko ze mną. I szliśmy ku sobie po linii prostej. Nie mogło być mowy o wykrętach. Ja jego schwytałem na gorącym uczynku, on — mnie. Zobaczył tego, kto go podpatrywał. Szliśmy jeden na drugiego i, wyznam, zrobiło mi się niewyraźnie, bo teraz coś radykalnie musiało się zmienić między nami. Wiem, że wie, wie, że ja wiem, że wie — oto co tańczyło mi w mózgu.

Jeszcze dzieliła nas spora przestrzeń, gdy zawołał:

— A, panie Witoldzie, wyszedł pan aby odetchnąć świeżym powietrzem!

Było to powiedziane teatralnie — to „a, panie Witoldzie” było na jego ustach zgrywą, nigdy tak nie mówił. Odrzekłem tępo:

— Rzeczywiście...

Ujął mnie pod ramię — czego nigdy dotąd nie robił i rzekł w sposób nie mniej zaokrąglony.

za wieczór i drzewa pachną! Może więc razem będziemy oddawać się miłej tej przechadzce?

Odpowiedziałem równie menuetową grzecznością, gdyż jego ton mi się udzielił:

\_ Ależ owszem, jak najchętniej, to mnie zachwyca!

Skierowaliśmy się w stronę domu. Ale ten marsz już nie był zwyczajny... coś takiego, jakbyśmy wkraczali w ogród w nowej inkarnacji, prawie uroczyste, nieomal przy dźwiękach muzyki... i podejrzewałem że jestem w szponach jakiejś jego decyzji. Co się stało z nami? Po raz pierwszy odczułem go, jako wrogość, i to bezpośrednio zagrażającą. Nadal po przyjacielsku ujmował mnie pod ramię, ale bliskość jego była cyniczna i zimna. Minęliśmy dom (przy czym bez przerwy unosił się nad „gamą światłocienia”, wywołaną zachodem) i spostrzegłem, że najkrótszą drogą, na przełaj przez trawniki, idziemy do niej... do dziewczynki... a park rzeczywiście, nasycony smugami blasków, był bukietem i świetlistą lampą czarną od świerków i sosen rozrastających się, zjezonych. Szliśmy na nią. Spojrzała na nas. Siedziała na worku, z kozikiem ! Fryderyk zapytał:

— Nie przeszkadzamy?

— Skąd. Już skończyłam z kartoflami. Ukłonił się mówiąc głośno i okrągło:

— Czy przeto możemy upraszać, aby dziewczę towarzyszyło nam w naszej wieczornej przechadzce?

Wstała. Odpięła fartuszek. Ta uległość... która zresztą mogła być tylko uprzejmością. Było to zwykłe zaproszenie na spacer, w tonie nieco przesadnym, starokawalerskim... ale... ale w tym dojsciu do niej, w tym przystąpieniu, zawierała się dla mnie nieprzyzwoitość, którą można by określić w ten sposób:

„zabiera ją, żeby coś z nią zrobić” oraz „ona idzie z nim, żeby coś z nią zrobić”.

Najkrótszą drogą, poprzez trawniki, szliśmy na gumno, i zapytała: — Idziemy do koni?... Cel jego, jego nieznanne zamierzenie, przesywały rozgałęziony układ alej i ścieżek, drzew i klombów. Nie odpowiedział — a to, że nie udzielił żadnego objaśnienia prowadząc ją dokądś, znów stało się podejrzane. Dziecko... to przecież dziecko szesnastoletnie... ale już gumno przed nami, czarna, pochyła jego ziemia; okolona stajnią, stodołami, z rzędem klonów przy płocie, ze sterzącymi dyszlami wozów koło studni... i dziecko, dziecko... ale tam, przy stelmarni, drugi dzieciak młodzieńczy, który rozmawiając ze stelmachem trzyma w ręku żelazo, obok sporo desek, drągi i wióry, w pobliżu wóz z workami i zapach sieczki. My podchodziliśmy. Po tej wzdętej, czarnej pochyłości. Podeszedłszy, zatrzymaliśmy się we troje.



Słońce zapadało i szczególny rodzaj widoczności, jasnej a jednak ciemnej, zapanował — w niej pień, załamanie dachu, dziura w płocie stawały się obojętnie i wyraziście sobą, oczywiste w każdym szczególe. Czarno-brunatna ziemia gumienna rozkładała się aż po szopy. Pogadywał coś ze stelmachem, powolnie, po wiejsku, z tym żelazem, oparty o słup, na którym wspierał się daszek stelmarni, i nie przerwał rozmowy, tyle tylko, że spojrzał na nas. My staliśmy z Henią i naraz to spotkanie ukształtowało się w tym sensie, że przyprowadziliśmy mu ją i to tym bardziej, że żaden z nas się nie odzywał. A bardziej jeszcze, że nie odzywała się Henia... której ściszenie wstyd wyzwalalo. Odłożył to koło żelazne i podszedł, ale nie było dobrze wiadomo, do kogo podchodzi — do nas, czy do Heni —

i to wytworzyło w nim jakąś dwoistość, niezręczność, przez chwilę stał się niejasny — ale stanął przy nas swobodnie i nawet wesoło, młodzieńczo. Jednakże milczenie wskutek ogólnej niezręczności naszej przedłużyło się jeszcze o parę sekund... i tego wystarczyło, aby gniotąca i dławiąca rozpacz, żal i wszystkie nostalgiczne Losu, Przeznaczenia skłębiły się nad nimi jak w ciężkim, błędzącym śnie...

Rozżalenie, tęsknota, piękność szczupłego kształtu przed nami — z czegoż pochodziły, jeśli nie z tego, że nie był mężczyzną? Bo my przyprowadziliśmy mu Henię, jak kobietę — mężczyźnie, lecz on, jeszcze, nim nie był... nie był samcem. Nie był panem. Nie był władcą. I nie mógł posiadać. Nic nie mogło być jego, nie miał prawa do niczego, był tym, 32 który musi służyć i ulegać —

szczupłość jego i giętkość wezbrały nagle na tym gumnie, tuż obok desek, drągów, a ona odpowiedziała mu tym samym:

szczupłością i giętkością. Połączyli się naraz, ale nie jak mężczyzna i kobieta, tylko w czymś innym, we wspólnej ofierze składanej niewiadomemu Molochowi, niezdolni siebie posiadać, zdolni tylko siebie ofiarować — ów dobór płciowy między nimi uległ zwichnięciu na rzecz jakiegoś innego doboru, w czymś okropniejszym i chyba piękniejszym. Powtarzam, iż działo się to na przestrzeni sekund. A właściwie nic się nie działo: po prostu staliśmy. Rzekł Fryderyk, wskazując palcem na jego spodnie, trochę za długie i walające się w ziemi.

— Trzeba zawinąć nogawki.

— Racja — powiedział. Pochylił się. Fryderyk rzekł.

— Zaraz. Chwileczkę.

Widać było, że nie przychodzi mu łatwo to, co ma po1 wiedzieć. Ustawił się jakoś bokiem do nich, spojrzął przed siebie i głosem zachrypniętym, ale bardzo wyraźnie, powiedział:

— Nie, zaraz. Niech ona zawinie.

Powtórzył: — Niech ona zawinie.

Było to bezwstydne — było włamaniem się w nich — było wyznaniem, że oczekuje od nich podniecenia, zróbcie to, tym mnie uraczycie, tego pragnę... Było wprowadzeniem ich w wymiar naszej żądy, naszego o nich marzenia. Cisza ich zakłębiła się przez jedną sekundę. I przez jedną sekundę czekałem na rezultat tej bokiem stojącej bezczelności Fryderyka. To co nastąpiło było gładkie, posłuszne i łatwe, tak „łatwe”, że prawie przyprawiało o zawrót głowy, jak bezszelestnie otwierająca się przepaść na równej drodze.

Nic nie powiedziała. Tylko schyliwszy się, podwinęła mu nogawki, on zaś ani się ruszył; cisza ich ciał była absolutna, A gumna rozległość naga uderzyła, z dyszlami sterczącymi wozów drabiniastych, z korytem pękniętym, ze stodołą niedawno łataną, która świeciła plamą w brunatnym okręgu ziemi i drewna.

Fryderyk odezwał się zaraz potem: — Chodźmy! Skierowaliśmy się ku domowi — on, Henia i ja. To stało się już 2 Pornografia bezczelnie i jawnie. Wskutek tego powrotu przybycie nasze pod stelmarnię uzyskało swój cel wyłączny — przyszliśmy po to, aby ona zawinęła mu nogawki, i teraz wracaliśmy — Fryderyk, ja, ona. Ukazał się dom ze swymi oknami, z dwoma rzędami okien, na dole, na górze — i z gankiem. Szliśmy, nic nie mówiąc.

Za nami rozległ się bieg po trawniku i Karol dogonił nas i włączył się... Był jeszcze rozpędzony, ale zaraz przystosował się do nas — szedł teraz spokojnie obok, z nami. To wtargnięcie w nas biegiem, gorące, nacechowane było entuzjazmem — aha, jemu spodobały się nasze zabawy, przyłączał się — a natychmiastowe przejście z biegu w milczenie naszego powrotu znamionowało, że rozumie konieczność dyskrecji.

Zaznaczało się wokół to podcięcie bytu, jakim jest zbliżająca się noc. Posuwaliśmy się w zmierzchu — Fryderyk, ja, Henia, Karol —

jak jakaś dziwna erotyczna kombinacja,, niesamowity a zmysłowy kwartet.

5.

— Jak to było? — rozmyślałem leżąc na pledzie, na trawie, mając tuż przy twarzy wilgotny chłód ziemny. — Co to było? A więc ona podwinęła mu spodnie? Uczyniła to, ponieważ mogła to uczynić, pewnie, nic nadzwyczajnego, zwykła przysługa... ale wiedziała, co robi. Wiedziała, że to dla Fryderyka — dla jego rozkoszy — więc zgadzała się, żeby się nią rozkoszował... Nią, ale nie samą... Z nim, z Karolem... Ach, więc jednak! Było jej wiadomo zatem, że we dwoje mogą podniecać, uwodzić... przynajmniej Fryderyka... i Karol też wiedział, przecież wziął udział w tej gierce... Ależ w takim razie nie byli tacy naiwni, jak mogło się zdawać!

Znali swój smak! I mogli znać się na tym wbrew swojej, skądinąd niemądrej, młodości, gdyż na tym właśnie młodość zna się lepiej od wieku dojrzałego, oni to byli specjalistami od żywiołu w którym przebywali, posiadali umiejętność 34 na swoim terenie wczesnego ciała, wczesnej krwi. Ale w takim razie, dlaczego w bezpośrednim ze sobą stosunku zachowywali się jak dzieci?

Niewinnie? Jeśli nie byli niewinni woec trzeciego?! Jeśli, wobec trzeciego, byli aż tak wyrafinowani! A co najbardziej mnie niepokoiło, to iż tym trzecim był nie kto inny, tylko Fryderyk, on, taki ostrożny, tak opanowany! A tu naraz ten marsz przez park na przełaj, jak wyzwanie, jak rozpoczęcie akcji — ten marsz z dziewczyną do chłopca! Co to było? Co to być mogło? I czyż nie ja to wszystko wywołałem — podpatrzywszy go, wyciągnąłem na jaw sekretny jego szal, on stał się zobaczony w swojej tajemnicy — i teraz to zwierzę jego tajnego marzenia, wypuszczone z klatki, połączone z moim zwierzęciem, grasowało! I tak rzecz się miała obecnie, że we czworo byliśmy współnikami de facto, w milczeniu, w sprawie nie wyznanej, gdzie wszelkie wyjaśnienie byłoby nie do przełknięcia — gdzie wstyd dławił. Kolana jej-jego, czworo kolan, w spodniach, w sukience, (młodych)... Po południu zjawi się zapowiadany onegdaj Wacław. Urodziwy mężczyzna! Bez kwestii — rosły i elegancki pan! Obdarzony nosem dość wydatnym, ale subtelnym, o ruchliwych nozdrzach, oliwkowym spojrzeniem i głosem głębokim —

a przystrzyżony wąsik pieścił mu się pod tym wyczulonym nosem i nad pełną i pąsową wargą. Rodzaj urody męskiej, która podoba się kobietom... i one podziwiają tyleż okazałość kształtu, ile arystokratyczne wydelikacenie szczegółów, unerwienie,

na przykład, dłoni długopalcowych z paznokietkami czysto wyłuskanymi ze skórki. Któż mógłby podać w wątpliwość jego stopę rasową i wysoko sklepioną, w żółtym, obcisłym buciku, tudzież jego uszy zgrabne i niewielkie?

Czyż nie były interesujące, a nawet rozkoszne, te zatoczki nad czołem, które czyniły go bardziej intelektualnym? A ta białość cery, czyż nie była białością trubadura?

Zapewne, efektowny pan! Zdobywczy mecenas! Dystyngowany adwokat!

Znienawidziłem go fizycznie od pierwszej chwili, nienawiścią zmieszaną ze wstrętem, zaskoczona własną gwałtownością i świadomą swej niesprawiedliwości —

bo przecież był pełen szarmu i *comme U faut*. Wszak nie było słuszne i sprawiedliwe czepiać się takich drobnych niedoskonałości, jak, powiedzmy, niejaka pulchność i okrągłość zarysowująca się z lekka na policzkach i dłoniach, błakająca się w okolicach brzucha — przecież to także było dystyngowane. A może drażniło mnie nadmierne i nieco lubieżne wyrafinowanie organów, usta zbyt nadające się do smakowania, nos nazbyt subtelny w wąchaniu, palce wytrawne w macaniu — lecz przecież to właśnie czyniło go amantem! Nie jest wykluczone, że zrażała mnie jego niemożność nagości — gdyż to ciało potrzebowało kołnierzyka, spinek, chusteczki do nosa, kapelusza nawet, było ciałem w bucikach, domagającym się koniecznie tych toaletowo-konfekcyjnych uzupełnień...

ale kto wie, czy nie raziło mnie najbardziej przetworzenie pewnych wad, jak początkująca łysina, lub miękkość, na atrybuty elegancji i szyku. Cieleśność zwykłego chama tę ma ogromną przewagę, że cham nie zwraca na nią uwagi, wskutek czego ona nie razi, choćby była skłócona z estetyką — lecz mężczyzna który siebie pielęgnuje, wydobywa, uwypukla cieleśność i dłubie się w niej, babrze, a wtedy każdy defekt staje się zabójczy. Skądże jednak we mnie taka wrażliwość na ciało? Skąd ta pasja podglądania wstydliwego i niechętnego, jakby z kąta?

Musiąłem mimo wszystko przyznać, że przybysz zachowuje się niegłupio, nawet z dużą klasą. Nie puszył się, mówił niewiele i niezbyt głośno. Był wielce uprzejmy. A uprzejmość, skromność, wynikały z jego doskonałego wychowania, ale były też wrodzone jego niepowierzchowej naturze, która odbijała się w spojrzeniu i zdawała się głosić: szanuję ciebie, ty mnie szanuj. Nie, wcale nie był sobą zachwycony. Znał swoje braki i wolałby zapewne być inny, niż był — ale był sobą w sposób możliwie

kulturalny i rozumny, z godnością, i wyglądało, że choć z pozoru miękki i delikatny, jest w gruncie nieustępliwy i nawet zawzięty.

A cała ta jego kultura cielesna nie pochodziła bynajmniej ze słabości, tylko była wyrazem jakiejś zasady i to prawdopodobnie moralnej, traktował ją jako swój obowiązek wobec innych, lecz także wyrażało to jakąś rasę, styl, bardzo stanowcze, bardzo określone. Posta-36 nowił widać bronić swoich wartości, takich jak subtelność, delikatność, czułość, i bronił ich tym usilniej im bardziej historia zwracała się przeciw nim. Przybycie jego wywołało szczególnie zmiany w naszym świecie.

Hipolit ni to wjechał na szyny, zaniechał szeptów do siebie i gorzkich zamyśleń, było to jak gdyby udzielono mu pozwolenia na wydobywanie z szaf swoich dawno nie używanych garniturów i paradował w nich z rozkoszą — tubalny, radośnie gościnny szlagon, bez żadnych zastrzeżeń. — No, jak tam? Co tam? Wódka grzeje, wódka chłodzi, wódka nigdy nie zaszkodzi! A pani również zatańczyła w swoich zwiewnych żalach i, ruszając na wsze strony paluszkami, roztoczyła szal swych gościnności.

Fryderyk odpowiedział na szacunek Wacława najgłębszym szacunkiem; ustąpił mu w drzwiach i dopiero na lekkie skinienie tamtego, wszedł pierwszy, ale jakby stosując się do jego woli — był to Wersal. Po czym rozpoczął się prawdziwy konkurs uprzejmości, wszelako, rzecz ciekawa, każdy z nich sobie świadczył przede wszystkim, nie drugiemu. Wacław od pierwszych słów zmiarkował, że ma do czynienia z kimś niepospolitym, ale był zbyt towarzysko wyrobiony aby to podkreślać — natomiast godność, którą przypisywał Fryderykowi, wpłynęła pobudzająco na jego poczucie własnej godności, zapragnął być dla hauteur i traktował siebie jak w rękawiczkach. Fryderyk, asymilując z niezwykłą skwapliwością tego ducha arystokratycznego, zaczął także wysoko się nosić — udzielał się od czasu do czasu rozmowie, ale jak ktoś, czyje milczenie byłoby dla wszystkich niezasłużoną katastrofą. I oto naraz jego lęk przed niepoprawnością stał się w nim wyższością i dumą! A co do Heni (która była właściwym obiektem tej wizyty) oraz Karola, to nagle wyzbyli się wszelkiej doniosłości. Ona usiadła na krześle pod oknem i była potulną panią, a on wyglądał jak brat asystujący konkurom o siostrę i oglądał ukradkiem ręce, czy nie brudne.

Cóż za podwieczorek! Ciasta, i konfitury znalazły się na stole! Potem wyszliśmy do ogrodu, gdzie królował roz-słoneczniony spokój. Przed nami szła młoda para, Wacław z Henią. My, starsi, z tyłu, żeby nie krępować... Hipolit i pani; Maria, cokolwiek wzruszeni, z lekka figlarni, a obok ja z Fryderykiem, który opowiadał o Wenecji. Wacław o coś ją rozpytywał, coś jej tłumaczył, ona zaś, zwracając ku niemu główkę, uważną i życzliwą, wymachiwała źdźbłem trawy.

Karol szedł z boku po trawie, jak brat znudzony konkurami o siostrę, nie miał nic do roboty.

— Przechadzka jak sprzed wojny... — powiedziałem do pani Marii, a ona zatrzepotała rączką. Zbliżaliśmy się do stawu.

Ale rozwałęsanie Karola zaczęło przybierać na sile, wzmagало się, widać było, że nie wie co robić, a ruchy jego były jakby wstrzymywane w niecierpliwości, ścinanej nudą — a zarazem, powoli, wszystko co Henia mówiła do Wacława zaczęło być dla Karola, choć słowa do nas nie dochodziły — cały jej sposób istnienia znów nieuchwytnie związał się z (chłopcem) i to za jej plecami, z tyłu, ponieważ nie odwracała się, nie wiedziała nawet że Karol nam towarzyszy. I ta, już prawie narzeczeńska jej rozmowa z Wacławem, ulegała pod działaniem (chłopca) wlokącego się za nią, gwałtownej deprecjacji, ona zaś sama jęła mienić się jakimś przewrotnym znaczeniem.

Rozkochany prawnik nachylił jej gałąź głogu aby sobie urwała i była w tej chwili bardzo wdzięczna i może wzruszona — ale to nie kończyło się na Wacławie, lecz szło do Karola i tam stawało się tępo młode, szesnastoletnie, głupio lekkomyślne i rozwałęsane... więc było ściąganiem w dół uczucia, odbieraniem mu wagi, przerabianiem na rodzaj gorszy, niższy, urzeczywistniający się gdzieś poniżej, tam gdzie ona była szesnastolatką z siedemnastolatkiem, w ich wspólnej niedostateczności, w ich młodości.

Okrążyliśmy kępę leszczyny nad stawem i ukazała się baba.

Ta baba zajęta była praniem w stawie bielizny, a widząc nas stanęła frontem i wlepiła w nas ślepia — baba już w latach, przysadzisty i piersisty kocmołuch, dość wstrętne, tłusto jełka i brudno starawa z małymi oczkami. Przyglądała się z packą drewnianą w ręce.

Karol oderwał się od nas, poszedł do baby jakby jej miał 38 coś do powiedzenia.

I zniecka zadarł jej kieckę. Zaświeciła biel jej podbrzusza i czarna włosów plama! Wrzasnęła. Wy- . rostek dodał do tego gest nieprzyzwoity i odskoczył — wracał do nas po trawie jakby nigdy nic, a babsko rozwścieklone palnęło za nim jakieś wyzwisko.

My niceśmy na to nie powiedzieli. Zbyt niespodziewane i zbyt rażące — świństwo, które wjechało nam brutalnie, rozkraczone... a Karol znów szedł z nami i najspokojniej rozwałęsany. Para Wacław-Henia, pogrążona w rozmowie, znikła za zakrętem — może i nic nie zauważyli — a my za nimi, Hipolit, pani Maria trochę spłoszona, Fryderyk... Co to? Co to? Co się stało? Oszołomienie moje nie z tego się brało, że on dopuścił się wybryku — z tego że wybryk, choć tak rażący, stał się od razu, w innej tonacji, w innym wymiarze, czymś naj naturalnie j szy m w świecie... i Karol szedł teraz z nami, nawet — pełen wdzięku, z wdziękiem dziwnym wyrostka rzucającego się na stare baby, z wdziękiem, który rósł mi w oczach a którego natury nie rozumiałem. Jak mogło to świństwo z babą obdarzyć go świetnością takiego uroku? Czar bił z niego, niepojęty, a Fryderyk położył mi rękę na ramieniu i mruknął, prawie niedosłyszanie:

— No, no!

Ale zaraz zaokrąglił mimowolne słówko w zdanie, które wypowiedział głośno i nie bez sztuczności:

— No, no, no, co tam słyhać, kochany panie Witoldzie? Odpowiedziałem:

— Nic, nic, panie Fryderyku. Pani Maria zwróciła się do nas.

— Pokażę panom ładny egzemplarz tui amerykańskiej. Sama sadziłam.

Chodziło o to, żeby nie przeszkadzać Heni i Wacławowi. Oglądaliśmy tuję, gdy ukazał się biegnący od gumna fornal, dający znaki. Hipolit ruszył szparko — co takiego — Niemcy przyjechali z Opatowa — rzeczywiście widać było ludzi przed stajnią — i, już apoplektyczny, popędził, za nim żona, za nimi Fryderyk, który myślał może, że będzie mógł się przydać, znając dobrze niemiecki. Co do mnie wolałem póki można nie być przy tym, zdjęło mnie zmęczenie na myśl o Niemcach nieuniknionych, gniotących. Co za zhora...

Wróciłem do domu.

Dom pusty, pokoje na przestrzał, meble, które w pustce silniej dawały znać o sobie, czekałem... na rezultat wizyty niemieckiej, która głucho działa się przed stajnią... lecz oczekiwanie moje stało się powoli oczekiwaniem na Henię z Wacławem, którzy zniknęli na zakręcie... i wreszcie Fryderyk wybuchnął mi w tym pustym domu. Gdzie był Fryderyk? Co robił? Był z Niemcami. Czy na pewno był z Niemcami? A jeśli należało go szukać gdzie indziej, nad stawem, tam gdzie pozostawiliśmy dziewczę nasze... tam był! Tam być musiał! Wrócił tam, aby podglądać. Lecz, w takim razie, co widział? Zazdrość mnie chwyciła o wszystko, co mógł zobaczyć. Pustka domu mnie wypychała i wybiegłem, wybiegłem jakby przed stajnię, gdzie byli Niemcy, ale pobiegłem za staw zaroślami, wzdłuż rowu, do którego skakały żaby z tłustym, obrzydliwym pluskiem i, okrążywszy staw, ujrzałem ich — Wacława i Henię — na ławeczce, na samym skraju ogrodu, naprzeciw łąk. Już się ściemniało, już prawie było ciemno. I wilgotno. Gdzie Fryderyk?

Wszakże nie mogło go tu nie być — i nie omyliłem się — tam, pomiędzy wierzbami, w ich jamie<sup>1</sup>, niewyraźny, tkwił na posterunku pod krzakami i wypatrywał. Nie wahałem się ani chwili. Po cichu przedostałem się do niego i stanąłem obok, (or) ani drgnął, ja znieruchomiałem — a moje zgłoszenie się na widza było deklaracją, że ma we mnie towarzysza! Na ławce majaczyły ich sylwetki i zapewne coś szeptali — ale nie było słyhać.

Była to zdrada — jej podła zdrada — oto tuliła się do adwokata, gdy (chłopiec), któremu powinna być wierna, wyrzucony został poza jej obręb... i to mnie dręczyło, jakby załamała się ostatnia możliwość piękności w świecie moim, najechanym rozkładem, konaniem, udręką, ohydą. Co za nikczemność! Czy ją obejmował? Lub trzymał za ręce? Jak odrażające i nienawistne było to miejsce dla jej rąk: w jego dłoniach! Wtem poczułem, jak zdarza się w marzeniu, że jestem w pobliżu jakiejś rewelacji i, obejrzawszy się, do-40 strzegłem to coś... coś zdumiewającego.

Fryderyk nie był sam, gdyż obok niego, o kilka kroków, zaszyty prawie w zaroślach, majaczył się Karol.

Obecność Karola tutaj? Przy Fryderyku? Ależ jakim cudem sprowadził go tutaj Fryderyk? Pod jakim pozorem? Niemniej znajdował się tutaj i wiedziałem, że jest dla Fryderyka, nie dla niej — nie przyszedł zainteresowany tym, co się działo na ławce,



przyszedł, gdyż przywabiła go obecność Fryderyka. Doprawdy było to równie mętne, co subtelne, i nie wiem czy zdołałem się wyjęzyczyć... Miałem takie wrażenie, jak gdyby (chłopiec) zjawił się nieproszony po to jedynie, aby silniej rozplómić... aby mocniej zagrało... aby stało się nam bardziej bolesne.

Prawdopodobnie gdy tamten, starszy mężczyzna, dotknięty zdradą owej miódki, stał wpatrzony, on, młodzik, wynurzył się bezszelestnie z gąszczu i stanął przy nim, nie mówiąc nic. Było to dzikie i śmiałe! Ale mrok zasnuwał, przecież byliśmy prawie niewidzialni, a także cisza — przecież nikt z nas nie mógł się odezwać.

Więc jaskrawość faktu tonęła w niebycie nocy i milczenia. A także trzeba dodać, że działanie (chłopca) było zacierające, prawie uniewinniające, jego lekkość, szczupłość rozgrzeszały i będąc (młodo) sympatyczny, mógł właściwie przyłączyć się do każdego... (kiedyś wyjaśnię sens tych nawiasów)... I naraz oddalił się równie łatwo, jak się zjawił.

Ale lekkie jego przyłączenie się do nas sprawiło, że ławka przeszyła, jak sztylet. To wściekle, to niesłychane przystąpienie do nas (chłopca) gdy (dziewczyna) zdradzała go! Sytuacje w świecie są szyfrem. Niepojęty bywa układ ludzi i w ogóle zjawisk. To, tutaj... przerażająco wymowne — ale nie dawało się zrozumieć, odcyfrować w pełni. W każdym razie świat zakłębił się w jakimś przedziwnym sensie. Jednocześnie od stajni gruchnął strzał. Pobiegliśmy na przełaj wszyscy razem, i już wszystko jedno kto z kim. Waclaw pędził obok mnie, Henia z Fryderykiem. Fryderyk, który w momentach krytycznych stawał się przedsiębiorczy i przytomny, skręcił za szopę, my za nim. Ujrzeliśmy: nic tak straszego. Niemiec, pod gazem, zabawiał się kropieniem z dubeltówki do gołębi —

i zaraz wpakowali się do samochodu, machając rękami na pożegnanie odjechali.

Hipolit spoczął na nas ze złością.

— Zostawcie mnie.

Spojrzenie to wychyliło się z niego, jak przez okno, ale zaraz zatrzasnął w sobie wszystkie okna i drzwi. Poszedł do domu.

Wieczorem przy kolacji nalał wódki, czerwony i rozczulony.

— No co? Napijemy się za zdrowie Wacka i Heni. Już się dogadali.

Fryderyk i ja złożyliśmy powinszowania.

Alkohol. Sznaps. Upijająca przygoda. Przygoda niczym kieliszek wzmocnionej — i jeszcze kieliszek — ale pijaństwo to było śliskie, co chwila groził upadek w brud, w zepsucie, w zmysłowe błoto. Jakżeż jednak nie pić? Przecież picie stało się naszą higieną, każdy oszałamiał się czym mógł, jak mógł — więc ja także — i tylko próbowałem uratować coś z mojej godności zachowując w pijaństwie minę badacza, który mimo wszystko śledzi — który upija się aby śledzić.

Śledziłem tedy.

Narzeczony opuścił nas po śniadaniu. Lecz postanowiono, że pojutrze całym domem pojedziemy do Rudy.

Potem zajechał przed ganek bryczką Karol. Miał jechać do Ostrowca po naftę.

Ofiarowałem się, że będę mu towarzyszył.

A Fryderyk także już otwierał usta żeby się zgłosić na trzeciego — gdy popadł w jedno z tych swoich nagłych utrudnień... nigdy nie było wiadomo, kiedy to się zdarzy. Już otwierał usta, ale zamknął je i znowu otworzył — pozostał w kleszczach tej dręczącej igraszki, blady, a bryczka odjechała z Karolem i ze mną.

Zady kłusujące końskie, droga piaszczysta, rozległość 42 widoków, powolne krążenie wzgórz, zachodzących za siebie.

W poranku, w przestrzeni, ja z nim, ja obok niego — obaj wydobyli z rozdołu Powórnej, widoczni, i niecenzuralność moja z nim wystawiona na sztych dalekiego widzenia.

Zacząłem w ten sposób: — No, Karol, coś ty z tą babą wyrabiał wczoraj, nad stawem?

Zapytał trochę nieufnie, aby lepiej wyznać się w charakterze mojego pytania.

— Bo co?

— Przecież wszyscy widzieli.

To zagajenie nie było zbyt określone — byle nawiązać rozmowę. Roześmiał się na wszelki wypadek i po to, aby uczynić ją lżejszą. — Nic takiego — rzekł i machnął batem, był obojętny... Wówczas wyraziłem zdziwienie: — Jeszcze żeby była do rzeczy! Ale przecież to klempa ostatniego rzędu i stara! Ponieważ nie odpowiadał, nacisnąłem: — Zadajesz się ze starymi babami?

Ciął batem krzak od niechcenia. Ale, jak gdyby to ukazało mu właściwą odpowiedź, śmignął batem po koniach, które szarpnęły bryczką. Odpowiedź ta była dla mnie zrozumiała, choć nie do przetłumaczenia na słowa. Jechaliśmy ostrzej czas jakiś. Po czym konie zwolniły i, kiedy zwolniły, uśmiechnął się błyskiem zębów przyjaznym i powiedział:

— Co za różnica, stara czy młoda?

Teraz roześmiał się.

Mnie to zaniepokoiło. Jakby lekki dreszczyk mnie zbiegł. Siedziałem przy nim. Co to znaczyło? Przede wszystkim jedno rzucało się w oczy: niezmierne znaczenie jego zębów, które grały w nim, były jego białością wewnętrzną, oczyszczającą — otóż ważniejsze były zęby, niż to co mówił — wyglądało jakby mówił dla zębów i z powodu zębów — i mógł mówić byle co, gdyż mówił dla przyjemności, był zabawą i rozkoszowaniem się, wiedział, że najbardziej odpychająca obrzydliwość zostanie wybaczona jego zębom, rozbawionym. Któż siedział obok mnie? Ktoś jak ja? Ależ skąd, była to istota esencjonalnie odmienna i wdzięczna, rodem z krainy kwitnącej, był pełen łaski przetwarzającej się w urok. Książę i poeta. Dlaczego jednak książę rzucał się na stare baby? biel jej podbrzusza i czarna włosów plama! Wrzasnęła. Wyrostek dodał do tego gest nieprzyzwoity i odskoczył — wracał do nas po trawie jakby nigdy nic, a babsko rozwścieklone palnęło za nim jakieś wyzwisko.

My niceśmy na to nie powiedzieli. Zbyt niespodziewane i zbyt rażące — świństwo, które wjechało nam brutalnie, rozkraczone... a Karol znów szedł z nami i najspokojniej rozwałęsany. Para Wacław-Henia, pogrążona w rozmowie, zniknęła za zakrętem — może i nic nie zauważyli — a my za nimi, Hipolit, pani Maria trochę spłoszona, Fryderyk... Co to? Co to? Co się stało? Oszłomienie moje nie z tego się brało, że on dopuścił się wybryku — z tego że wybryk, choć tak rażący, stał się od razu, w innej tonacji, w innym wymiarze, czymś naj naturalnie j szym w świecie... i Karol szedł teraz z nami, nawet — pełen wdzięku, z wdziękiem dziwnym wyrostka rzucającego się na stare baby, z wdziękiem, który rósł mi w oczach a którego natury nie rozumiałem. Jak mogło to świństwo z babą obdarzyć go świetnością takiego uroku? Czar bił z niego, niepojęty, a Fryderyk położył mi rękę na ramieniu i mruknął, prawie niedosłyszalnie:

— No, no!

Ale zaraz zaokrąglił mimowolne słówko w zdanie, które wypowiedział głośno i nie bez sztuczności:

— No, no, no, co tam słyhać, kochany panie Witoldzie? Odpowiedziałem:

— Nic, nic, panie Fryderyku. Pani Maria zwróciła się do nas.

— Pokażę panom ładny egzemplarz tui amerykańskiej. Sama sadziłam.

Chodziło o to, żeby nie przeszkadzać Heni i Wacławowi. Oglądaliśmy tuje, gdy ukazał się biegnący od gumna fornal, dający znaki. Hipolit ruszył szparko — co takiego — Niemcy przyjechali z Opatowa — rzeczywiście widać było ludzi przed stajnią — i, już apoplektyczny, popędził, za nim żona, za nimi Fryderyk, który myślał może, że będzie mógł się przydać, znając dobrze niemiecki. Co do mnie wolałem póki można nie być przy tym, zdjęło mnie zmęczenie na myśl o Niemcach nieuniknionych, gniotących. Co za zhora... Wróciłem do domu.

Dom pusty, pokoje na przestrzał, meble, które w pustce silniej dawały znać o sobie, czekałem... na rezultat wizyty niemieckiej, która głucho działa się przed stajnią... lecz oczekiwanie moje stało się powoli oczekiwaniem na Henię z Wacławem, którzy zniknęli na zakręcie... i wreszcie Fryderyk wybuchnął mi w tym pustym domu. Gdzie był Fryderyk? Go robił? Był z Niemcami. Czy na pewno był z Niemcami? A jeśli należało go szukać gdzie indziej, nad stawem, tam gdzie pozostawiliśmy dziewczę nasze... tam był! Tam być musiał! Wrócił tam, aby podglądać. Lecz, w takim razie, co widział? Zazdrość mnie chwyciła o wszystko, co mógł zobaczyć. Pustka domu mnie wypychała i wybiegłem, wybiegłem jakby przed stajnię, gdzie byli Niemcy, ale pobiegłem za staw zaroślami, wzdłuż rowu, do którego skakały żaby z tłustym, obrzydliwym pluskiem i, okrążywszy staw, ujrzałem ich — Wacława i Henię — na ławeczce, na samym skraju ogrodu, naprzeciw łąk. Już się ściemniało, już prawie było ciemno. I wilgotno. Gdzie Fryderyk?

Wszakże nie mogło go' tu nie być — i nie omyliłem się — tam, pomiędzy wierzbami, w ich jamie', niewyraźny, tkwił na posterunku pod krzakami i wypatrywał. Nie wahałem się ani chwili. Po cichu przedostałem się do niego i stanąłem obok, on ani drgnął, ja znieruchomiałem — a moje zgłoszenie się na widza było deklaracją, że ma

we mnie towarzysza! Na ławce majaczyły ich sylwetki i zapewne coś szeptali — ale nie było słyhać.

Była to zdrada — jej podła zdrada — oto tuliła się do adwokata, gdy (chłopiec), któremu powinna być wierna, wyrzucony został poza jej obręb... i to mnie dręczyło, jakby załdmała się ostatnia możliwość piękności w świecie moim, najechanym rozkładem, konaniem, udręką, ohydą. Co za nikczemność! Czy ją obejmował? Lub trzymał za ręce? Jak odrażające i nienawistne było to miejsce dla jej rak: w jego dłoniach! Wtem poczułem, jak zdarza się w marzeniu, że jestem w pobliżu jakiejś rewelacji i, obejrzawszy się, do-40 strzegłem to coś... coś zdumiewającego.

Fryderyk nie był sam, gdyż obok niego, o kilka kroków, zaszyty prawie w zaroślach, majaczył się Karol.

Obecność Karola tutaj? Przy Fryderyku? Ależ jakim cudem sprowadził go tutaj Fryderyk? Pod jakim pozorem? Niemniej znajdował się tutaj i wiedziałem, że jest dla Fryderyka, nie dla niej — nie przyszedł zainteresowany tym, co się działo na ławce, przyszedł, gdyż przywabiła go obecność Fryderyka. Doprawdy było to równie mętne, co subtelne, i nie wiem czy zdołałem się wyjęzyczyć... Miałem takie wrażenie, jak gdyby (chłopiec) zjawił się nieproszony po to jedynie, aby silniej rozplomienić... aby mocniej zagrało... aby stało się nam bardziej bolesne.

Prawdopodobnie gdy tamten, starszy mężczyzna, dotknięty zdradą owej miódki, stał wpatrzony, on, młodzik, wynurzył się bezszelestnie z gąszczu i stanął przy nim, nie mówiąc nic. Było to dzikie i śmiałe! Ale mrok zasnuwał, przecież byliśmy prawie niewidzialni, a także cisza — przecież nikt z nas nie mógł się odezwać.

Więc jaskrawość faktu tonęła w niebycie nocy i milczenia. A także trzeba dodać, że działanie (chłopca) było zacierające, prawie uniewinniające, jego lekkość, szczupłość rozgrzeszały i będąc (młodo) sympatyczny, mógł właściwie przyłączyć się do każdego... (kiedyś wyjaśnię sens tych nawiasów)... I naraz oddalił się równie łatwo, jak się zjawił.

Ale lekkie jego przyłączenie się do nas sprawiło, że ławka przeszyła, jak sztylet. To wściekle, to niesłychane przystąpienie do nas (chłopca) gdy (dziewczyna) zdradzała go! Sytuacje w świecie są szyfrem. Niepojęty bywa układ ludzi i w ogóle zjawisk. To, tutaj... przerażająco wymowne — ale nie dawało się zrozumieć, odcyfrować w pełni.

W każdym razie świat zakłębił się w jakimś przedziwnym sensie. Jednocześnie od stajni gruchnął strzał. Pobiegliśmy na przełaj wszyscy razem, i już wszystko jedno kto z kim. Wacław pędził obok mnie, Henia z Fryderykiem. Fryderyk, który w momentach krytycznych stawał się przedsiębiorczy i przytomny, skręcił za szopę, my za nim. Ujrzelśmy: nic tak straszego. Niemiec, pod gazem, zabawiał się kropieniem z dubeltówki do gołębi —

i zaraz wpakowali się do samochodu, machając rękami na pożegnanie odjechali.

Hipolit spojrział na nas ze złością.

— Zostawcie mnie.

Spojrzenie to wychyliło się z niego, jak przez okno, ale zaraz zatrzasnął w sobie wszystkie okna i drzwi. Poszedł do domu.

Wieczorem przy kolacji nalał wódki, czerwony i rozczulony.

— No co? Napijemy się za zdrowie Wacka i Heni. Już się dogadali.

Fryderyk i ja złożyliśmy powinszowania.

Alkohol. Sznaps. Upijająca przygoda. Przygoda niczym kieliszek wzmocnionej — i jeszcze kieliszek — ale pijaństwo to było śliskie, co chwila groził upadek w brud, w zepsucie, w zmysłowe błoto. Jakżeż jednak nie pić? Przecież picie stało się naszą higieną, każdy oszałamiał się czym mógł, jak mógł — więc ja także — i tylko próbowałem uratować coś z mojej godności zachowując w pijaństwie minę badacza, który mimo wszystko śledzi — który upija się aby śledzić.

Śledziłem tedy.

Narzeczony opuścił nas po śniadaniu. Lecz postanowiono, że pojutrze całym domem pojedziemy do Rudy.

Potem zajechał przed ganek bryczką Karol. Miał jechać do Ostrowca po naftę.

Ofiarowałem się, że będę mu towarzyszył.

A Fryderyk także już otwierał usta żeby się zgłosić na trzeciego — gdy popadł w jedno z tych swoich nagłych utrudnień... nigdy nie było wiadomo, kiedy to się zdarzy. Już otwierał usta, ale zamknął je i znowu otworzył — pozostał w kleszczach tej dręczącej igraszki, blady, a bryczka odjechała z Karolem i ze mną.

Zady kłusujące końskie, droga piaszczysta, rozległość 42 widoków, powolne krążenie wzgórz, zachodzących za siebie W poranku, w przestrzeni, ja z nim, ja obok niego —

obaj wydobyli z rozdołu Powórnej, widoczni, i niecenzuralność moja z nim wystawiona na sztych dalekiego widzenia.

Zacząłem w ten sposób: — No, Karol, coś ty z tą babą wyrabiał wczoraj, nad stawem ?

Zapytał trochę nieufnie, aby lepiej wyznać się w charakterze mojego pytania.

— Bo co?

— Przecież wszyscy widzieli.

To zagajenie nie było zbyt określone — byle nawiązać rozmowę. Roześmiał się na wszelki wypadek i po to, aby uczynić ją lżejszą. — Nic takiego — rzekł i machnął batem, był obojętny... Wówczas wyraziłem zdziwienie: — Jeszcze żeby była do rzeczy! Ale przecież to klempa ostatniego rzędu i stara! Ponieważ nie odpowiadał, nacisnąłem: — Zadajesz się ze starymi babami?

Ciął batem krzak od niechcienia. Ale, jak gdyby to ukazało mu właściwą odpowiedź, śmignął batem po koniach, które szarpnęły bryczką. Odpowiedź ta była dla mnie zrozumiała, choć nie do przetłumaczenia na słowa. Jechaliśmy ostrzej czas jakiś. Po czym konie zwolniły i, kiedy zwolniły, uśmiechnął się błyskiem zębów przyjaznym i powiedział:

— Co za różnica, stara czy młoda?

Teraz roześmiał się.

Mnie to zaniepokoiło. Jakby lekki dreszczyk mnie zbiegł. Siedziałem przy nim. Co to znaczyło? Przede wszystkim jedno rzucało się w oczy: niezmierne znaczenie jego zębów, które grały w nim, były jego białością wewnętrzną, oczyszczającą — otóż ważniejsze były zęby, niż to co mówił — wyglądało jakby mówił dla zębów i z powodu zębów — i mógł mówić byle co, gdyż mówił dla przyjemności, był zabawą i rozkoszowaniem się, wiedział, że najbardziej odpychająca obrzydliwość zostanie wybaczone jego zębom, rozbawionym. Któż siedział obok mnie? Ktoś jak ja? Ależ skąd, była to istota esencjonalnie odmienna i wdzięczna, rodem z krainy kwitnącej, był pełen łaski przetwarzającej się w urok. Książę i poemat. Dlaczego jednak książę rzucał się na stare baby? Oto pytanie. I dlaczego to go cieszyło? Cieszyło go własne pożądanie? Cieszyło go, że będąc księciem, był zarazem w mocy głodu, który kazał mu pożądać kobiety choćby naj-brzydszej — to go cieszyło? Ta piękność (związana z

Henią) tak dalece się nie szanowała, że było jej prawie obojętne czym się zaspakaja, z kim się zadaje? Tu więc rodziła się jakaś ciemność. Zjechaliśmy ze wzgóрка w wąwóz grocholiccki. Odkrywałem w nim jakieś świętokradztwo, dokonywane z zadowoleniem, i wiedziałem że to coś nieobojętne dla duszy, owszem, coś w samej zasadzie swej, rozpaczliwego. (Być może jednak oddawałem się tym spekulacjom po to tylko, aby zachować pozory badacza przy tej libacji). A może zadarł tej babie kieckę, aby być żołnierzem? Nie by łóż to żołnierskie?

Zagadnąłem (zmieniając temat dla przyzwoitości — musiałem uważać na siebie). — Aż ojcem o co wojujesz? — Zawahał się, zaskoczony, ale zaraz zmiarkował, że musiałem dowiedzieć się od Hipolita. Odrzekł.

— Bo mamę prześladowuje. Nie da jej żyć, ścierwo. Żeby nie był moim ojcem to bym go...

Odpowiedź wspaniale zrównoważona — mógł wyznać że kocha matkę ponieważ wyznawał jednocześnie, że nienawidzi ojca, to go chroniło od sentymentalizmu — ale, chcąc przyprzeć go do muru, zapytałem wprost: — Bardzo kochasz matkę?

— Pewnie! Jeżeli matka...

Co oznaczało, że nie ma w tym nic szczególnego, ponieważ jest przyjęte, że syn ma kochać matkę. Było to jednak dziwne. Przypatrzwszy się temu bliżej, było dziwne, gdyż przed chwilą był czystą anarchią, rzucającą się na starą babę, a teraz stał się konwencjonalny i poddany prawu miłości synowskiej. Cóż wyznawał tedy, anarchię czy prawo? Lecz jeśli tak posłusznie poddawał się obyczajowi, to nie aby dodać sobie wartości, a właśnie aby odebrać sobie znaczenie, uczynić ze swojej miłości do matki coś pospolitego i nieważnego. Dlaczego ciągle odbierał sobie znaczenie? Myśl ta była dziwnie 44 ponętą — dlaczego odbierał sobie znaczenie? Myśl ta była czystym alkoholem — dlaczego, z nim, wszelka myśl musiała być zawsze pociągająca lub odpychająca, zawsze namiętą i prężną? Wspinaliśmy się teraz pod górę, za Grocholicami, po lewej stronie były ściany ziemne, żółte, w których wykopano piwnice na kartofle. Konie szły stępą — i cisza. Karol rozgadał się nagle: — Pan nie znalazłby dla mnie jakiej roboty w Warszawie? Może w przemyście? Ja bym mógł i mamie trochę pomóc, jak bym zarabiał, bo potrzebuje na kurację, a tak tylko ojciec wydziwia, że nie mam zatrudnienia. Już mi obrzydło! Rozgadał się, gdyż chodziło o



sprawy praktyczne i materialne, tutaj mógł mówić, i dużo, było też naturalne, że do mnie się z tym zwraca — a jednak, czy było to takie naturalne?

Czy nie było tylko pretekstem aby „dogadać się” ze mną, starszym, zbliżyć się do mnie? Zaiste, w czasach tak trudnych chłopiec musi sobie pozyskać starszych, którzy są od niego potężniejsi, a to może osiągnąć tylko osobistym wdziękiem...

ale kokieteria chłopca jest o wiele bardziej skomplikowana od kokieterii dziewczyny, której płeć przychodzi z pomocą... więc była to zapewne taka kalkulacja, och, nieświadoma, niewinna: on wprost zwracał się do mnie o pomoc, ale naprawdę nie chodziło mu wcale o robotę w Warszawie, tylko o ustalenie siebie w roli tego kim się opiekują, o przełamanie lodów... a reszta zrobi się sama... Przełamanie lodów? Ale w jakim sensie? I co za „reszta”? Wiedziałem tylko, raczej podejrzewałem, że jest to próba jego chłopięcości iżby wejść w styczność z moją dorosłością i wiedziałem skądinąd, że on się nie brzydzi i że głód jego, jego pożądanie, czynią go dostępnym... Ścierpłem, wyczuwszy jego utajoną intencję zbliżenia się... jakby cała jego kraina miała mnie napaść. Nie wiem, czy jestem dość jasny. Obcowanie mężczyzny z chłopcem odbywa się na ogół na gruncie spraw technicznych, opieki, współpracy, ale, gdy staje się bezpośrednie, ujawnia się jego niesłychana drastyczność. Poczuję, że ta istota chce zdobyć mnie młodością i było to jakbym uległ, ja, dorosły, nieodwołalnej kompromitacji.

Lecz słowo „młodość” było mu niedozwolone — nie wypadało go używać.

Wyjechaliśmy na górę i pojawił się niezmienny widok na ziemię zaokrągloną wzgórzami i wzdętą swym nieruchomym falowaniem w skośnym świetle, które kłębiło się tu i ówdzie pod obłokami.

— Siedź lepiej tutaj, przy rodzicach... Zabrzmiało to kategorycznie, gdyż przemówiłem jako starszy — i to właśnie pozwoliło mi zapytać najzwyczajniej w świecie, jakby w dalszym ciągu dialogu: — Tobie podoba się Henia?

Pytanie najtrudniejsze padło dziwnie łatwo, a on także odpowiedział bez trudności.

— Naturalnie, że mi się podoba.

Rzekł, wskazując batem: — Widzi pan tamte krzaki? To nie krzaki, tylko czuby drzew z wąwozu, z Lisin, który łączy się z lasem bodzechowskim. Tam czasem ukrywają się bandy... Wykrzywił się porozumiewawczo, jechaliśmy dalej, minęliśmy figurę

Chrystusa, a ja powróciłem do tematu, jakbym się wcale od niego nie oddalił... nagły spokój, którego przyczyny nie znam, pozwolił mi zlekceważyć czas, który upłynął.

— Ale nie kochasz się w niej ?

To pytanie było o wiele bardziej ryzykowne — było już docieraniem do sedna — ono, w swojej uporczywości, mogło zdradzić mnie w moich ciemnych uniesieniach, moich i Fryderyka, poczętych u ich stóp, u ich stóp, u ich stóp... czułem się, jakbym dotykał śpiącego tygrysa. Lęk nieuzasadniony. — Niiieee... przecie znamy się od dziecka!... i to powiedziane zostało bez cienia *arriere pensee*...

aczkolwiek można było oczekiwać, że owo niedawne zdarzenie przed stelarnią, w którym wszyscy byliśmy kryjomymi współnikami, utrudni mu nieco odpowiedź.

Nic podobnego! Tamto było widocznie dla niego czymś na innym planie — i on teraz, ze mną, był bez związku z tamtym — a jego „niiiee” tak przeciągnięte, miało smak kaprysu i lekkomyślności, nawet łobuzerstwa. Splunął, Splunięciem ucharakteryzował się jeszcze bardziej na łobuza i zaraz roześmiał się, a ten śmiech był obezwładniający, jakby odbierał mu 46 możliwość innej reakcji; i spojrzał na mnie zezem, dowcipnie:

— Ja bym wolał z panią Marią.

Nie! To nie mogło być prawdziwe! Pani Maria ze swoją łzawą chudością! Po co więc to mówił? Czy dlatego, że tamtej starej podniósł kieckę? Lecz po co podnosił tę kieckę, co za absurd, męcząca zagadka? Jednakże wiedziałem (i był to jeden z kanonów mojej literackiej wiedzy o ludziach), że istnieją czyny ludzkie, na pozór zgoła bezsensowne, które jednak są człowiekowi potrzebne dlatego, że go w pewien sposób określają — tak, aby dać najprostszy przykład, ktoś gotów popełnić zupełnie niepotrzebnie szaleństwo po to tylko, aby nie odczuwać siebie jako tchórza. A ktoś bardziej, niż młodzież, potrzebuje takiego formowania się?...

Było zatem więcej niż pewne, że większość czynów czy też powiedzeń niedorostka, który obok mnie siedział z lejcami i batem, to były właśnie czyny „popełniane na sobie samym” — a nawet można było przypuścić, że nasz, mój i Fryderyka, wzrok kryjomy, a zachwycony, podniecał go do tej gry z sobą bardziej, niż mu to było wiadome. Dobrze więc: szedł z nami wczoraj na tym spacerze, nudził się, nie miał nic do roboty, zadarł babie kieckę aby wprowadzić w siebie nieco wyuzdania, którego mu się zachciało po to może, by z pożądanego stać się pożądanym.

Ekwilibrystyka chłopca. Dobrze. Ale teraz, dlaczego znów powracał do tego tematu, wyznając, że „wolałby” z panią Marią, czyż w tym nie kryła się jakaś, już agresywna, intencja?

— Myślisz, że ci uwierzę? — powiedziałem. — Że wolisz panią Marię od Heni? Co za bzdury wygadujesz! — dodałem. Na co odrzekł z uporem w jasnym słońcu: — A wolę.

Nonsens i kłamstwo! Ale po co, w jakim celu? Zbliżaliśmy się już do Bodzechowa, widać stąd było w dali wielkie piece ostrowieckich zakładów. Dlaczego, dlaczego bronił się przed Henią, nie chciał Heni? Wiedziałem, ale nie .wiedziałem; rozumiałem i nie rozumiałem. Czyżby rzeczywiście młodość jego wołała starszych?

Czy on chciałby być „ze starszymi”? Co to za myśl, do czego zmierzająca — jej niesamowitość, rozpalająca ostrość, jej dramatyczność natychmiast rzuciły e na ten ślad — bo ja, w tej jego krainie, kierowałem się podnieceniami. Czy ten szczeniak zapragnął grasować w naszej dojrzałości?

Rzeczywiście — nic zwykleszego, gdy chłopiec zakocha się w pannie urodziwej i wszystko rozwija się po linii naturalnego przyciągania, lecz, być może, jemu potrzeba było czegoś... rozleglejszego, bardziej śmiałego... on nie chciał być tylko „chłopcem z panną”, ale „chłopcem z dorosłymi”, chłopcem, który włamuje się w dorosłość... co za idea ciemna, perwersyjna! Ale za nim były przecież doświadczenia z dziedziny wojny i anarchii, nie znałem go, nie mogłem znać, nie wiedziałem co i jak go uformowało, był równie nieodgadniony jak ten krajobraz —

znany a nieznan — i jednego tylko mogłem być pewny, to jest że ten drań od dawna wyszedł z powijaków. Aby wejść — w co? To właśnie było niewiadome — nie było jasne co i kogo sobie upodobał, może więc chciał zabawić się z nami, nie z Henią, i dlatego ciągle dawał do zrozumienia, że wiek nie powinien być przeszkodą... Jak to? Jak to?! No tak, nudził się, chciał się zabawić, zabawić może w coś czego nie znał, o czym właściwie nawet nie myślał, z nudów, mimochodem i bez wysiłku... z nami a nie z Henią, ponieważ my w brzydocie naszej mogliśmy zaprowadzić go dalej, byliśmy bardziej nieograniczeni. Wobec czego (mając na uwadze tamto zdarzenie przed stelmarnią) powiadał mi, że wstępu nie ma... Dość. Robiło mi się ohydnie na samą myśl, że piękność jego szuka mojej brzydoty. Zmieniłem temat.

— Chodzisz do kościoła? Wierzysz w Boga? Pytanie, przywołujące do powagi, pytanie zabezpieczające od jego zdradzieckiej lekkości.

— W Boga? Tam co księża mówią, to...

— Ale w Boga wierzysz?

— Pewnie. Tylko...

— Tylko co?

Ucichł.

Miałem zapytać: — Chodzisz do kościoła? Zamiast tego, zapytałem: — Chodzisz na kobiety?

— Jak się zdarzy. 48 — Masz powodzenie u kobiet?

Roześmiał się natychmiast." ?;^»M; e ;--;(i-.-',.:) ,4 — Nie. Skąd! Jeszcze jestem za młody. Za młody. Miało to sens poniżający — dlatego mógł tym razem ze swobodą użyć słowa „młodość”. Ale mnie, któremu z tym chłopcem Bóg naraz zmieszał się z kobietami w jakimś qui pro quo groteskowym i prawie pijanym, to jego „za młody” zabrzmiało dziwnie, ostrzegawczo. Tak, za młody tyleż wobec kobiety, co wobec Boga, za młody wobec wszystkiego — i było nieważne czy wierzy, czy nie wierzy, czy ma powodzenie u kobiet, czy też nie ma, albowiem by! w ogóle „za młody”, i żadne jego uczucie, ani prawda, ani słowo nie mogły mieć znaczenia — był niepełny, był „za młody”. I „za młody” był wobec Heni i wobec wszystkiego, co między nimi rodziło się, a także „za młody” wobec Fryderyka i mnie... Czymże była ta szczupła niedorobłość? Przecież on nic nie znaczył! Jakże mogłem, ja, dorosły, całą moją powagę kłaść w jego niepowagę, z drzeniem wsłuchiwać się w kogoś nieważnego? Rozejrzałem się po okolicy. Stąd, z wyżyny, widać już było Kamienną i nawet dochodził ledwie dosłyszalny łoskot pociągu, który zbliżał się do Bodzechowa, cała dolina rzeki była przed nami, wraz z szosą — a na prawo i lewo latanina żółto-zielona pól, jak okiem sięgnąć, senna odwiecz-ność, ale zakneblowana, zduszona, wzięta za pysk. Dziwny odór bezprawia przenikał wszystko, a w tym bezprawiu ja z chłopcem owym, „za młodym”, za lekkim, za lekkomyślnym, którego niedostateczność, niepełność stawała się w tych warunkach jakąś elementarną potęgą. Jak bronić się przed nim, gdy w niczym nie było oparcia?

Wyjechaliśmy na szosę i bryczka zatrzęsła się na wybojach ze zgrzytem żelaznych obręczy na kołach, zaludniło się, mijaliśmy ich, tych ludzi pojawiających się, szli po ścieżce, ten w kaszkiecie, ów w kapeluszu, a dalej spotkaliśmy wóz z tobołami, z całym czyimś dobytkiem — posuwał się krok za krokiem — a dalej jakaś kobieta zatrzymała nas, stanąwszy na środku szosy i podeszła, ujrzałem twarz dość subtelną w chustce, jaką noszą baby, nogi miała olbrzymie w męskich butach z cholewami, wystające spod spódnicy skróconej, czarnej, jedwabnej, a dekolt miała głęboki, balowy czy też wieczorowy, elegancki, w rękę zaś coś owiniętego w gazetę — i tym zamachała — coś chciała powiedzieć, ale zacięła usta, znów miała mówić, ale machnęła ręką, odskoczyła —

i stała na szosie gdy oddalaliśmy się. Karol się roześmiał. Dobiliśmy w końcu do Ostrowca z hukiem rozgłośnym, podskakując na kocich łbach od czego trzęsły się nawet policzki, przejechaliśmy obok posterunków niemieckich przed fabryką, miasteczko było to samo, co dawniej, zupełnie to samo, te spiętrzenia i rury wielkich pieców fabryki, jej mur, dalej most na Kamiennej i szyny kolejowe i główna ulica, wiodąca do rynku, a na rogu kawiarnia Malinowskiego. Tyle tylko, iż jakaś nieobecność stawała się wyczuwalna, nie było mianowicie Żydów. Jednakże sporo ludzi na ulicach, ruch nawet, miejscami ożywiony, tam baba śmiecie wyrzuca z sieni, tu ktoś idzie z grubym sznurem pod pachą, przed sklepem spożywczym gromadka, a chłopczyk kamieniem usiłuje trafić we wróbla, który przysiadł na kominie.

Zaopatrzyliśmy się w naftę i jeszcze kilka załatwiliśmy sprawunków i jak najprędzej opuściliśmy ten dziwny Ostrowiec i odetchnęliśmy, gdy bryczkę przyjęła znów na swoje miękkie łono ziemia zwykłej drogi polnej. Ale co robił Fryderyk? Jak sobie poczynał tam, pozostawiony sobie? Spał? Siedział? Chodził?

Znałem przecież jego skrupulatność w poprawności, wiedziałem że, jeśli siedział, to z zachowaniem wszystkich ostrożności, a mimo to jęło mnie męczyć, że nie wiem czemu mianowicie się oddaje. Nie było go gdy, przyjechawszy do Powórnej, zasiedliśmy z Karolem do spóźnionego obiadu; a pani Maria powiedziała mi, -że gracuje... Co? Gracował uliczkę w ogrodzie. — Obawiam się... chyba się nudzi u nas — dodała nie bez zgryzoty, jakby chodziło o gościa z przedwojennych czasów, a także Hipolit przyszedł, żeby mnie powiadomić: — Twój kompan w ogrodzie, uważasz...

Gracuje. I coś w głosie jego znamionowało, że zaczyna mu ciążyć ten człowiek — był zawstydzony, nieszczęśliwy i nieporadny. Poszedłem do Fryderyka.

Na mój widok, odłożył gracę i za-50 pytał ze zwykłą uprzejmością, jak nam się udała jazda...

a następnie, ze wzrokiem odchylonym na bok, wysunął w  $\hat{C}^\circ$ -wach ostrożnych myśl, czyby nie wracać do Warszawy, b $^\circ$ > ostatecznie, tu nie -na wiele możemy się przydać a dtósze zaniedbywanie tamtejszych naszych handeleków może skończyć się niedobrze, tak, właściwie ten wyjazd był nie dość przemyślany, może lepiej jednak spakować manatki... Torował w sobie drogę tej decyzji, czynił ją nieznacznie coraz intensywniejszą, przyzwyczajał do niej... mnie, siebie, okoliczne drzewa. Jak uważam? Bo, z drugiej strony, na wsi mimo wszystko lepiej... ale... co, nieprawdaż, można by jutro wyjechać? Naraz dopytywanie jego zabrzmiało nagląco i zrozumiałem: chciał z odpowiedzi mojej wywnioskować, czy zdołałem dogadać się z Karolem; domyślał się, że musiałem go sondować; teraz chciał wiedzieć, czy można mieć jeszcze cień nadziei, że narzeczoną Wacława obejmą kiedyś Karola chłopięce ramiona! A mnie zarazem przekazywał tajnie, że nic z tego co on wie, co wybadał, nie upoważnia do takich iluzji.

Trudna do opisanego obrzydliwość tej sceny. Oblicze człowieka starszego trzyma się skrytym wysiłkiem woli, zmierzającym do zamaskowania rozkładu, lub przynajmniej zorganizowania go w całość sympatyczną — w nim zaś nastąpiło rozczarowanie, rezygnacja z czaru, z nadziei, z namiętności i wszystkie zmarszczki rozsiadły się i żerowały na nim, jak na trupie. Był potulnie i pokornie podły w tym poddaniu się własnej ohydzie — i mnie zaraził tym świństwem tak bardzo, że robactwo moje zaroilo się we mnie, wylazło, oblaźło. Nie na tym jednak polegał szczyt obrzydliwości. Jej groteskową okropność wywoływało to przede wszystkim, że byliśmy Jak para kochanków, zawiedzionych w swoich uczuciach i odepchniętych przez tamtą parę kochanków, nasze rozplamienie, nasze podniecenie nie miało na czym się wyładować 1  $^\circ$ no teraz grasowało między nami... nic teraz nie pozostawało nam, prócz nas samych... i, brzydząc się sobą, byliśmy jednak Ze sobą w tej zmysłowości naszej, rozbudzonej. Dlatego usiłowaliśmy nie patrzeć na siebie. Słońce przypiekało, a z krzaków  $^\circ$ w zalatywał zapach kantarydy.

Zrozumiałem na koniec, w tej tajnej między nami konferencji, jakim ciosem dla niego i dla mnie była już nie ulegająca wątpliwości obojętność tych dwojga.

Młoda — narzeczoną Wacława. Młody — zgoła tym nieprzejęty. I wszystko pogrążone w ich młodej ślepotcie. Ruina naszych snów!

Odpowiedziałem Fryderykowi, że kto wie, może rzeczywiście nieobecność nasza w Warszawie nie była wskazana. On natychmiast się tego uczepił. Byliśmy teraz pod znakiem ucieczki i, posuwając się z wolna alejką, oswajaliśmy się z decyzją.

Ale za rogiem domu, na chodniku wiodącym do kancelarii, natknęliśmy się na nich.

Ona z butelką w ręku. On przed nią — rozmawiali. Dzieciństwo ich, zupełne ich dzieciństwo, było jasne, ona — pensjonarka, on — uczeń i szczeniak.

Fryderyk zapytał ich: — Co porabiacie?

Ona: — Korek wpadł do butelki.

Karol, trzymając butelkę pod światło: — Wyciągnę go drutem.

Fryderyk: — Nie tak łatwo!

Ona: — Może lepiej poszukam innego korka.

Karol: — Nie bój się... wyciągnę...

Fryderyk: — Za cienka szyjka.

Karol: — Jak wszedł, tak i wylezie.

Ona: — Albo pokruszy się i gorzej zapaćka sok.

Fryderyk nie odpowiedział. Karol kołysał się niemądrze na nogach. Ona stała z butelką. Rzekła:

— Poszukam korków na górze. W kredensie nie ma.

Karol: — Mówię ci, że wyciągnę.

Fryderyk: — Do tej szyjki niełatwo się dostać.

Ona: — Szukajcie a znajdziecie!

Karol: — Wiesz co? Z tych buteleczek co są w szafie...]

Ona: — Nie: To lekarstwa.

Fryderyk: — Można wymyć.

Ptak przeleciał.

Fryderyk: — Co to za ptak ?

Karol: — Wiwilga.

Fryderyk: — Dużo ich tutaj?

Ona: — Patrz, jaka duża glista.

Karol wciąż kołysał się na rozkraczonych nogach, ona podniosła nogę, żeby podrapać się w łydkę — ale but jego uniósł się, oparty na obcasie, dokonał półobrotu i rozgniół glistę... tylko z jednego końca, tyle, na ile pozwalał zasięg jego stopy, bo nie chciało mu się odrywać obcasa od ziemi, reszta tułowia glisty jęła prężyć się i wić, czemu przyglądał się z zainteresowaniem. Nie byłoby to nic ważniejszego od konania muchy na lepie, lub ćmy za szkłem lampy —

gdyby wzrok Fryderyka nie przyssał się do tej glisty, szklany, wydobywając do cna jej męczarnię. Mogło wydawać się, że się oburza, ale naprawdę nie było w nim nic prócz wniknięcia w torturę, wychylenia pucharu aż do ostatniej kropli. Łowił on to, ssał, chwycił, przyjmował i — zdrętwiały, niemy, ujęty w kleszcze bólu — nie mógł się ruszyć. Karol spojrzał na niego spod oka, ale nie dobijał glisty, zgroza Fryderyka była dla niego histerią...

Wysunął się pantofel Heni i ona rozgniotła robaka.

Ale tylko od drugiego końca, z całą precyzją oszczędzając część środkową aby nadal wiła się i skręcała.

Wszystko to — nieznaczne... jak tylko może być nieznaczne i drobne zgniecenie glisty.

Karol: — Pod Lwowem więcej ptaków niż tutaj.

Henia: — Muszę obierać kartofle.

Fryderyk: — Nie zazdroszczę... Nudna robota.

Jeszcze przez chwilę rozmawialiśmy wracając do domu, po czym Fryderyk gdzieś zniknął i nie wiedziałem gdzie jest — ale wiedziałem czemu się oddaje. Oddawał się myśli o tym co zaszło, o nogach lekkomyślnych, które połączyły się na drgającym ciele we wspólnie dokonanym okrucieństwie. Okrucieństwo? Byłoż to okrucieństwo? Coś drobnego raczej, drobne zabicie robaka, ot tak, od niechcienia, bo podlaźł Pod but — ileż zabijamy robaków! Nie, nie okrucieństwo, bezmyślność raczej, która dziecinnymi oczami przygląda si? uciesznym podrygom konania, nie czując bólu. Był to drobiazg. Ale dla Fryderyka? Dla świadomości, która potrafi wniknąć? Dla wrażliwości, która potrafi się wczuć? Nie byłże, dla niego, czyn ten ogromem



mrożącym krew — wszak ból, męczarnia, są równie okropne w ciele robaka, co w ciele olbrzyma, ból jest „jeden”, podobnie jak przestrzeń jest jedna, nie dzieli się na części, wszędzie gdzie się pojawia jest tą samą, pełną, okropnością. Dla niego więc czyn ten musiał być co się zowie straszny, wywołali mękę, stworzyli ból, podeszwami swymi przemienili spokojne istnienie tej glisty w istnienie piekielne — nie można wyobrazić sobie potężniejszej zbrodni, większego grzechu. Grzech... Grzech... Tak, był to grzech — ale, jeśli grzech, to ich wspólny grzech — i te nogi połączyły się ze sobą na drgającym ciele robaka...

Wiedziałem, o czym myślał, szalony! Szalony! Myślał o nich — myślał, że oni „dla niego” rozdeptali tę glistę. „Nie daj się nabrać. Nie wierz, że nic nie mamy wspólnego... wszak widziałeś: jedno z nas rozdeptało... i drugie rozdeptało... robaka. Zrobiliśmy to dla ciebie. Aby połączyć się — przed tobą i dla ciebie — w grzechu”.

Taka musiała być w tej chwili myśl Fryderyka. Lecz, być może, podsuwałem jemu moją własną myśl. Ale kto wie — może on w tej chwili podsuwał mi, tak samo, swoją myśl... i o mnie myślał nie inaczej, niż ja o nim myślałem... więc możliwe, że każdy z nas hodował swoją myśl umieszczając ją w drugim. To mnie ubawiło, roześmiałem się — i pomyślałem, że może i on się roześmiał...

„Zrobiliśmy to dla ciebie, aby połączyć się przed tobą w grzechu”...

Jeśli rzeczywiście taką treść utajoną pragnęli przekazać nam nogami lekko rozdeptującymi... jeśli o to chodziło... ależ tego nie trzeba było dwa razy powtarzać! Mądrej głowie dość na słowie! Znow się uśmiechnąłem na myśl, że Fryderyk może uśmiecha się w tej chwili myśląc, iż ja myślę co następuje o nim:

że wywietrzały mu z głowy pracowite postanowienia wyjazdu; i że znow jest jak pies gończy na tropie, pełen nadziei nagle rozbudzonych, rozjuszony.

Nadzieje zaś — perspektywy — otwierały się zawrotne, zawarte w tym słówku „grzech”. Jeśli temu chłopczykowi i tej dziewczynce zachciało się grzechu... z sobą... ale i z nami...

Ach, prawie widziałem Fryderyka, jak medytuje gdzieś tam z głową opartą na ręce — że grzech przenika aż do najgłębszej poufności, spaja nie gorzej od rozżarzonej

pieszczoty, że grzech, prywatny, tajemny, wstydlivy, jest wspólnym sekretem, wprowadzającym tyleż w cudze istnienie co miłość fizyczna w ciało.

Jeśli by tak było... no, to przecież wynikałoby z tego, że on, Fryderyk („że on, Witold" — myślał Fryderyk)... no, że my obaj... nie jesteśmy dla nich za starzy — czyli, że ich młodość nie jest nam tak niedostępna. Od czegoż grzech wspólnie popełniony?

Grzech, jak stworzony na to aby kwitnienie chłopca z dziewczyną zaślubić nielegalnie z kimś... nie tak ponętym... z kimś starszym i poważniejszym. Znow się uśmiechnąłem. Oni, w cnocie, byli zamknięci dla nas, hermetyczni. Ale oni w grzechu, mogli tarzać się z nami... Oto co myślał Fryderyk! I prawie widziałem go jak z palcem przy ustach szuka grzechu, który by go z nimi spoufalił, jak rozgląda się za takim grzechem — czy też raczej, może, myśli, podejrzewa że ja za takim grzechem się rozglądam. Cóż to za system zwierciadlany — on we mnie się przeglądał, ja w nim — i tak, snując na cudzy rachunek marzenia, dochodziliśmy do zamysłów, których żaden z nas nie ośmieliłby się poczytać za swoje.

Nazajutrz rano mieliśmy jechać do Rudy. Wyprawa była przedmiotem drobiazgowych narad — jakie konie, którędy jechać, jakie wehikuły — i tak się stało, że pojechałem bryczką z Henią. Ponieważ Fryderyk wolał sam nie decydować, rzuciliśmy monetę, i mnie los wyznaczył jej na towarzysza. Ranek rozległy, zgubiony, droga daleka po wyniesieniach gruntu rozfalowanego, w którym ryły się drogi głębokie o ścianach żółtawych, okraszone ubogo krzakiem, drzewem, krową; a przed nami ukazywał się i nikł powóz z Karolem na koźle. Ona — w świątecznej sukience, z paltem białym od kurzu, narzuconym na plecy — narzeczona jadąca do narzeczonego. Więc, rozwścieczony, rzekłem po kilku wstępnych zdaniach: —

Winszuję! Wyjdzie pani za mąż i założy pani rodzinę. Będzie pani miała dzieci!

Odpowiedziała:

— Będę miała dzieci.

Odpowiedziała, ale jak! Posłusznie — gorliwie — jak uczennica. Jakby ktoś nauczył ją lekcji. Jakby wobec dzieci własnych sama stała się posłusznym dzieckiem.

Jechaliśmy. Końskie ogony przed nami i końskie zady. Tak! Chciała wyjść za tego adwokata! Chciała z nim mieć dzieci! I mówiła to, gdy tam, przed nami, rysowała się sylwetka niedorośłego kochanka!

Minęliśmy kupę gruzu, wyrzuconego na bok drogi; i zaraz potem dwie akacje.

— Pani lubi Karola?

— Owszem... przecież znamy się...

— Wiem. Od dzieciństwa. Ale, pytam się, czy pani nic do niego nie czuje?

— Ja? Bardzo go lubię.

— Lubię? Tylko tyle. To dlaczego pani rozdeptała z nim glistę?

— Jaką glistę?

— A nogawka? Nogawka, którą mu pani zawinęła przed stelmarnią?

— Jaka nogawka? Ach, no tak, przecie miał za długie. No to co?

Oślepiająco gładka ściana kłamstwa, mówionego w dobrej wierze, kłamstwa, które przez nią nie było odczuwane jako kłamstwo. Ale jak mogłem domagać się od niej prawdy? To stworzenie, siedzące obok, drobniejsze, bardziej nikłe, mniej wyraźne, które nawet kobietą nie było, a tylko wstępem do kobiety, ta tymczasowość, która istniała po to aby przestać być czym jest, która siebie samą zabijała.

— Karol kocha się w pani!

— On? On nie kocha się ani we mnie, ani w żadnej... Jemu zależy tylko na... no, żeby się przespać... I tu powiedziała coś, co sprawiło jej przyjemność, wyraziła się jak następuje: — Przecież to szczeniak i do tego, wie pan... no, lepiej nie mówić! Była to oczywiście aluzja do niezbyt klarownej przeszłości Karola, ale mimo wszystko zdawało mi się, że wyławiam też życzliwą nutkę — jakby krył się w tym odcień „organiczej” sympatii, trochę koleżeńskiej, nie, nie powiedziała tego z abominacją, lecz raczej jakby to jej było do pewnego stopnia przyjemne... i nawet jakoś poufale... Wyglądało, iż jako narzeczona Wacława osądza surowo Karola, ale też, jednocześnie, stowarzysza się z nim w tym losie burzliwym, wspólnym im wszystkim, urodzonym pod znakiem wojny. Natychmiast uczepliłem się tego i uderzyłem w klawisz tej poufałości, odezwałem się do niej niedbale i po koleżeńsku, że przecież ona także niejednego zaznała i na pewno nie jest święta, no więc mogłaby się z nim przespać, dlaczego nie? Przyjęła to gładko, o wiele gładziej niż się spodziewałem i bodaj nawet z pewną gorliwością, z dziwnym posłuszeństwem. Zgodziła się ze mną od razu, że „naturalnie mogłaby” i to tym bardziej, iż już to się stało z jednym z AK, który nocował w domu, w zeszłym roku. „Naturalnie niech pan nie mówi rodzicom”.

Dlaczego jednak dziewczę tak łatwo wprowadzało mnie w swoje sprawy? I to bezpośrednio po zaręczynach z Wacławem? Zapytałem, czy rodzice niczego się nie domyślają (w związku z tym z AK), na co odpowiedziała: — Domyślają się, bo nawet przyłapali nas. Ale właściwie nie domyślają się...

„Właściwie” — genialne słowo. Wszystko można za jego pomocą powiedzieć. Słowo genialnie zaciemniające. Zjeżdżaliśmy teraz drogą na Brzustową, wśród lip — cień rozsloneczniony, konie hamują, szory nasuwają się im na karki, piasek skrzypi pod kołami.

— Dobrze! Więc właśnie! Więc dlaczego? Jeśli z tamtym z AK, to dlaczego nie z tym?

— Nie.

Łatwość z jaką kobiety mówią „nie”. Ta zdolność odmowy. To „nie”, będące u nich zawsze w pogotowiu — i kiedy znajdują je w sobie, są bez litości. Ale... czyżby była zakochana w Wacławie? Czy stąd brała się ta wstrzeźliwość? Powiedziałem coś w tym rodzaju: że dla Wacława byłby to cios, gdyby dowiedział się o jej „przeszłości” — on, który ją czci i taki przecież religijny, z zasadami.

Wyraziłem nadzieję, że nigdy nie zostanie mu to powiedziane, tak, lepiej aby mu tego oszczędziła... jemu, który wierzy w ich zupełne porozu mienie duchowe... Przerwała mi, obrażona. — A pan myśli, że co? Że ja nie mam moralności?

— On ma moralność katolicką.

— Ja także. Przecie jestem katoliczką.

— Jak to? Przystępuje pani do sakramentów?

— Naturalnie!

— Wierzy pani w Boga? Tak dosłownie, po katolicku?

— Gdybym nie wierzyła, nie chodziłabym do spowiedzi i komunii. Niech pan nie myśli! Mnie zasady mojego przyszłego męża bardzo odpowiadają. A jego matka to prawie i moja matka. Zobacz pan, co to za kobieta! Dla mnie to zaszczyt, że wchodzę do takiej rodziny. — I po chwili milczenia dodała, uderzając lejcami konie: —

Przynajmniej jak wyjdę za niego, nie będę się puszczać. Piach. Droga.

Pod górę.

Ordynarność jej ostatnich słów — po co? „Nie będę się puszczać”. Mogła wyrazić się delikatniej. Lecz wydźwięk tego zdania był podwójny... Zawierało się w nim pragnienie czystości, godności — a jednocześnie było to niegodne, degradujące w samym sformułowaniu... i znów podniecające... podniecające mnie... bo to znowu zbliżało ją do Karola. I jeszcze raz, jak poprzednio z Karolem, nawiedziło mnie przelotne zniechęcenie — że od nich niczego nie można się dowiedzieć, ponieważ wszystko co mówią, co myślą, co czują, jest tylko grą podnieceń, ciągłym drażnieniem się, rozpalaniem narcystycznej sobą delektacji — i że oni pierwsi padają ofiarą swego uwodzicielstwa. To dziewczę? To dziewczę, które nie było niczym innym, jak tylko zniewalaniem ku sobie, przyciąganiem, jednym wielkim podobaniem się, nieustającą, giętą, miękką, chłonną kokieterią — gdy tak siedział obok mnie, w swoim płaszczku, ze swymi małymi, za małymi rączkami.

„Jak wyjdę za niego nie będę się puszczać”. Brzmiało surowo i było wzięciem siebie w karby — dla Wacława — ale stanowiło także poufale, jakże rodzicielskie wyznanie własnej słabości. Była więc powadka nawet w cnotce — ale w dali przed nami powóz, 58 wspinający się na Wzgórze, i na koźle, obok furmana, Karol...

Karol... Karol... Na koźle. Na wzgórzu. Z dala. Nie wiem, czy to, że ukazał się „z dala” — czy to, że ukazał się „na wzgórzu”... w tym układzie, w tym „podaniu” Karola, w tym jego pojawieniu się, tkwiło coś dla mnie rozwścieczającego i, wściekły, wskazując na niego palcem, powiedziałem:

— Ale glisty lubi pani z nim rozdeptywać!

— Co się pan uczeplił tej glisty? On nadepnął, to ja przydeptałam.

— Wy dobrze wiedzieliście, że robak się męczy!

— O co panu chodzi?

Znów nic nie było wiadomo. Siedziała obok mnie. Przez chwilę nawiedziła mnie myśl, że trzeba rzucić to — wycofać się... Moja sytuacja, to kąpanie się w ich erotyzmie — ależ to było niemożliwe! Powinienem co prędzej zająć się czymś innym, bardziej odpowiednim — zająć się poważniejszymi sprawami! Byłoż tak trudno powrócić do normalnego, przecież dobrze znanego mi stanu, w którym zgoła co innego wydaje się interesujące i ważne, a takie figle z młodzieżą stają się czymś godnym pogardy? Ale

gdy człowiek jest podniecony, kocha własne podniecenie, podnieca się nim, i wszystko poza tym już nie jest dla niego życiem! Ukazując jeszcze raz Karola palcem, który był kompromitujący, oświadczyłem z naciskiem pragnąc przyprzeć ją do muru, wydrzeć jej wyznanie:

— Pani nie jest dla siebie. Pani jest dla kogoś. Ale w takim razie pani jest dla niego. Pani do niego należy!

— Ja? Jego? Co panu w głowie?

Roześmiała się. Te ich śmiechy ciągłe, nieustanne — jej i jego — zaciemniające!

Rozpacz.

Ona odpychała go... śmiejąc się... Odpychała śmiechem. Ten śmiech jej był krótki, zaraz się skończył, był zaledwie zaznaczeniem śmiechu — ale w tej krótkiej chwili poprzez śmiech jej ujrzałem śmiech jego. Te same usta roześmiane i w nich zęby. To było „ładne”... niestety, niestety, te było „ładne”. Oboje byli „ładni”. Dlatego nie chciała!

7.

Ruda. Wysypaliśmy się przed gankiem z obu pojazdów, pojawił się Wacław i podbiegł do przyszłej żony, aby powitać na progu swojego domu — a nas przyjmował z ujmującą, bardzo spokojną, grzecznością. W przedpokoju całowaliśmy rękę starszej pani, zasuszonej, drobnej, która tchnęła zapachem ziół i leków — i starannie, skrętnie, uściśnęła nam palce. Dom był wypełniony, wczoraj nadjechała niespodziewanie rodzina spod Lwowa, którą umieszczono na piętrze, w salonie stały łóżka, służąca biegała, dzieci bawiły się na podłodze pośród tobołów i waliz. My wobec tego powiedzieliśmy, że na noc wrócimy do Powórnej —

lecz pani Amelia nie chciała się zgodzić i „nie róbcie mi tego” prosiła, przecież wszyscy jakoś się pomieszczą. Także inne względy przemawiały za prędkim powrotem do domu, mianowicie Wacław wtajemniczył nas, mężczyzn, że przybyło także dwóch ludzi z AK, prosząc o nocleg, i że, jakby wynikało z ich skąpych napomknień, przygotowuje się jakaś akcja w tutejszym terenie. To wszystko wytworzyło nastrój dość nerwowy — ale zasiedliśmy w fotelach ciemnowego, wielookiennego salonu i rozpoczęła się rozmowa, a pani Amelia zwróciła się uprzejmie do Fryderyka i do mnie, wypytując o nasze losy i przygody. Jej głowa,

nadmiernie stara i sucha, unosiła się nad jej szyją jak gwiazda i był to na pewno ktoś niepospolity, a w ogóle powietrze tego miejsca okazało się nad wyraz silne, nie, te peany na jej cześć nie były przesadne, mieliśmy do czynienia nie z zacną wiejską kolatorką w prowincjonalnym wymiarze, ale z osobą, której atmosfera narzucała się z przemożną siłą. Trudno określić, na czym to polegało.

Podobne, jak u Wacława, ale głębsze chyba, poszanowanie istoty ludzkiej.

Grzeczność' wynikająca z wysubtelnionego poczucia wartości. Delikatność uduchowiona prawie, natchniona, acz niezmiernej prostoty' I dziwna prawość. To

jednak było w głębi nie.il ^°^' tegoryczne, królowała tu jakaś wyższa rada ^^

ka~ cinająca wszelką wątpliwość, i db nas dl, abs°lutna> roz60 Fryderyka, ten dom o tak oLeśbnej moST\* ' ^ ^

' moralności stał się naraz cudownym wypoczynkiem, oazą. Gdyż ruta, rządziła zasada metafizyczna, czyli pozacielesna, rządził, krótko mówiąc, Bóg katolicki, wyzwolony z ciała i zbyt dostojny aby uganiać się za Henią z Karolem. Było to więc tak, jak gdyby ręka rozumnej matki dała nam klapsa i zostaliśmy przywołani do porządku, a wszystko powróciło do właściwego wymiaru. Henia z Karolem, Henia plus Karol, stali się tym, czym byli, zwyczajną młodzieżą — a Henia z Wacławem nabrała znaczenia, ale tylko ze względu na miłość i małżeństwo. My zaś, starsi, odzyskaliśmy rację naszego starszeństwa i znienacka zostaliśmy w niej tak silnie osadzeni, że mowy być nie mogło o jakimś zagrożeniu stamtąd, z dołu. Słowem, powtórzyło się owo „otrzeźwienie", które Wacław nam przywiózł z sobą do Powórnej, ale w większym jeszcze stopniu. Ustał gniotący ucisk młodych kolan na naszej piersi.

Fryderyk odżył- Wydobyty spod ich nóg przeklętych, nóg rozgniatających, jakby uwierzył w siebie — i odetchnął — natychmiast też zajaśniał całym swoim blaskiem. To, co mówił, nie było bynajmniej świetne, lecz tylko zwyczajne i powiedziane aby podtrzymać rozmowę — jednakże każda błahostka nabierała wagi, naładowana jego osobowością, jego przeżyciem, jego świadomością. Najzwyczajniejsze słowo, na przykład „okno", lub „chleb" albo „dziękuję" nabierało zgoła innego smaku na tych ustach, które tak bardzo „wiedziały co mówią". Powiedział, że „lubi się drobne przyjemności", co także stało się doniosłe, chociażby jako dyskretne zamaskowanie

doniosłości. Wyczuwalny stał się w najwyższym stopniu jego swoisty „modus”, ten sposób bycia, będący owocem jego rozwoju i przeżyć — to nagle stało się jak najkonkretniej obecne — i zresztą, jeśli człowiek znaczy coś o tyle, o ile sam do siebie przywiązuje znaczenie, to w danym wypadku miało się do czynienia z olbrzymem, z ogromem, albowiem trudno było nie zdać sobie sprawy, jak niesłychanym zjawiskiem jest on we własnym swoim odczuwaniu — niesłychanym nie w skali społecznych, wartości, ale jako byt, egzystencja. I ta jego wielkość samotna przyjmowana była przez Wacława i jego matkę z otwartymi ramionami, jakby szacunek był dla nich najwyższą przyjemnością. Nawet Henia, główna przecież osoba w tym domu, przesunięta została na dalszy plan i wszystko jeło kręcić się wokół Fryderyka.

— Chodźmy — rzekła Amelia — pokażę panu widok z tarasu na rzekę zanim podadzą obiad.

Tak nim pochłonięta, że tylko do niego się zwracała, zapominając o Heni, o nas... wyszliśmy z nimi na taras, skąd rzeczywiście grunt, w ożywionych spadkach, uciekał w gładkość taśmy wodnej ledwie widocznej i jakby martwej. Nie było to brzydkie. Ale Fryderyk wyrzekł mimowolnie:

— Beczka.

I mieszał się... ponieważ, zamiast podziwiać krajobraz, zauważył coś tak pośledniego, jak ta beczka, niczym się nie odznaczająca, porzucona pod drzewem, na boku. Nie wiedział skąd mu się ona przyplątała i nie wiedział, jak z niej wybrnąć. A pani Amelia powtórzyła:

— Beczka.

Zawtórowała mu cicho, ale bardzo wnikliwie, jakby przytwierdzając i zgadzając się, w jakimś chętnym i nagłym z nim porozumieniu — jakby nieobce jej były takie przypadkowe inicjacje w jakąś przypadkową rzecz, przykucie niespodziewane do byle jakiego przedmiotu, który staje się najważniejszy mocą, właśnie, tego przykucia... o, tych dwoje wiele miało wspólnego! Do obiadu, oprócz nas, zasiadła owa rodzina uchodźców z dziećmi — ale ta ilość osób przy stole, ten tłok, i biegające dzieci, i improwizowane jedzenie usposabiały niedobrze...



męczący był ten obiad. I wciąż wałkowano „sytuację”, tyleż ogólną, w związku z odwrotem niemieckim, co miejscową, ja zaś gubiłem się w tym języku wiejskich, tutejszych rozmów, odmiennych od warszawskich, rozumiałem piąte przez dziesiąte, ale nie pytałem, nie chciałem o nic pytać, wiedziałem że nie warto i zresztą nie było to wskazane, po cóż mi to i tak kiedyś się dowiem, w tym gwarze piłem i tylko widziałem, że pani Amelia, zawiadując niestrudzenie wszystkim z wyżyny swojej zasuszonej główki, wciąż odnosi się do Fryderyka z jakąś szczególną czujnością, z wyjątkowym 62 skupieniem, ba, z napięciem — wydawała się w nim zakochana... Miłość? Była to raczej ta sama magia jego niewyczerpanej, zdawałoby się, świadomości, czego i ja wielokroć doznałem. Tak przejmująco, tak nieodwołalnie był świadomy! I Amelia, wyostrzona zapewne niejedną medytacją i niejednym wysiłkiem duchowym, od razu wywęszyła z kim ma do czynienia. Ktoś okropnie skoncentrowany, nie dający się niczym złudzić ani odciągnąć od ostateczności — jakiegokolwiek byłaby ona pokroju — ktoś ostatecznie poważny, wobec kogo tamci wszyscy byli wprost dziecinni. Odkrywszy Fryderyka, zapragnęła z całą pasją wiedzieć, jak się zachowa ten gość wobec niej — czy przyjmie ją, czy też odepchnie wraz z prawdą, którą w sobie wypiastowała.

Domyślała się, że był niewierzący — to się wyczuwało z pewnej jej ostrożności, z dystansu, jaki zachowywała. Wiedziała, że między nimi istnieje ta przepaść, a mimo to od niego właśnie oczekiwała uznania i potwierdzenia. Tamci inni, ci, z którymi dotąd się spotykała, byli wierzącymi, ale nie sięgali dostatecznie w głąb — ten zaś, niewierzący, był jednak bezdennie głęboki i dlatego nie mógł nie uznać jej głębi, był „ostateczny”, więc i jej ostateczność musiał pojąć — przecie on „wiedział”, on „rozumiał” i „czuł”. Amelii chodziło o to aby wypróbować swoją ostateczność na jego ostateczności, przypuszczam, że była jak prowincjonalny artysta, który utwór swój chce po raz pierwszy przedstawić znawcy — lecz ten utwór to była ona sama, to było jej życie, dla którego domagała się uznania. Ale, jak się rzekło, nie była w stanie tego wypowiedzieć, prawdopodobnie nie mogłaby zdobyć się na to nawet gdyby ateizm nie był na przeszkodzie. Niemniej obecność tej głębi cudzej pobudziła ją we wszystkich jej głębiach i starła się przynajmniej natężeniem i

pogotowiem swoim przekazać mu, jak bardzo jej na nim zależy i czego się spodziewa po nim.

Co do Fryderyka, ten zachowywał się, jak zawsze, bez zarzutu i z największym taktem. Jednakże podłość, ta sama co wtedy przy graczach, gdy przyznawał się do klęski, zaczęła w nim powoli zaznaczać się pod jej wpływem. Była to podłość bezsilności. Wszystko to przypominało bardzo kopulację, HK ^H duchową oczywiście. Amelia żądała, aby uznał, jeśli nie jej! Boga, to jej wiarę, lecz ten człowiek nie był zdolny do takiego aktu, skazany na wieczysty terror tego co jest, w chłodzie} swoim, nie rozgrzany niczym — on był, jaki był — i przyglądał się tylko Amelii stwierdzając, że jest, jaka jest. Co, i właśnie w promieniach jej ciepła, stało się trupio bezsilne. I ateizm jego rosł pod wpływem jej teizmu, zostali już uwikłani w tę sprzeczność fatalną. A cielesność jego także rosła pod działaniem jej uduchowienia i ręka jego, na przykład, stała się bardzo, bardzo, bardzo ręką (co, nie wiem dlaczego, przypominało mi ową glistę). Przyłapałem też jego spojrzenie, którym rozbierał Amelię niczym donzuan małą -dziewczynkę i które wyraźnie zastanawiało się, jak też ona może wyglądać goła — nie z jakichś erotycznych zapędów, oczywiście, a po prostu aby wiedzieć lepiej z kim się rozmawia. Pod tym wzrokiem ona skuliła się i nagle zamilkła —

zrozumiała, że dla niego jest tylko tym czym jest dla niego, niczym więcej.

Miało to miejsce na tarasie, już po obiedzie. Wstała z fotela i zwróciła się do niego: — Proszę mi podać rękę. Przejdziemy się trochę.

Oparła się na jego ramieniu. Może w ten sposób, fizycznym zetknięciem, chciała oswoić go z sobą i przemóc tę jego cielesność! Szli we dwoje, tuż przy sobie, jak para kochanków, my zaś w sześcioro nieco z tyłu, jak w orszaku — ależ to rzeczywiście wyglądało na romans, czyż nie tak samo towarzyszyliśmy niedawno Heni i Wacławowi?

Romans, ale tragiczny. Przypuszczam, że Amelia doznała niemiłego dreszczyka gdy przyłapała ten jego wzrok rozbierający — bo nigdy nikt tak do niej nie podchodził, bo szacunek i miłość otoczenia były jej udziałem od najwcześniejszych lat. Cóż więc on wiedział i jaka była ta jego wiedza — aby móc ją tak potraktować? Była absolutnie pewna, iż rzetelność jej wysiłku duchowego, który zjednał jej sympatię ludzką, nie

może być podana w wątpliwość, więc właściwie nie bała się o siebie, bała się o świat — gdyż tutaj jej widzeniu świat przeciwstawiało się inne widzenie, nie mniej poważne, dykto-s 64 wane również jakimś wycofaniem się na ostateczne pozycje... Te dwie powagi kroczyły obok siebie, pod ramię, po łące rozległej, a słońce już się obniżało i ogromniało, czerwieniło, wytryskały z nas cienie dalekie. Henia szła z Wacławem. Hipolit z Marią. Ja z boku. I Karol. Tamta para przed narni, pogrążona w swoim dialogu. Ale dialog niczego nie wyrażał. Rozmawiali o...

Wenecji. ~- W pewnej chwili ona przystanęła. '''

— Proszę spojrzeć naokoło. Jak pięknie! Odpowiedział: \*\*

— Tak, bez wątpienia. Bardzo pięknie.

Powiedziane, żeby jej przytwierdzić.

••• Drgnęła w nagłym zniecierpliwieniu. Odpowiedź była nieistotna — żeby uniknąć właściwej odpowiedzi — choć udzielona starannie i nawet z uczuciem — ale z uczuciem aktora. Ona zaś domagała się niekłamane go zachwyty dla witzoru, będącego tworem Boga i chciała, żeby on uwielbił Stwórcę przynajmniej w jego dziele. Jej czystość zawarła się w tym pragnieniu.

— Ależ proszę naprawdę popatrzeć, naprawdę powiedzieć. Czy to nie jest bardzo piękne?

Tym razem, przywołany do porządku, skupił się, wyraźnie się wysilił i rzekł rzeczywiście najszczerzej jak mógł, nawet z pewnym wzruszeniem.

— Ależ bardzo, niewątpliwie piękne, tak, wspaniałe!

Nie mogła mieć pretensji. Widać było, że dokłada starań aby ją zadowolić. Ale ta jego fatalna właściwość: kiedy coś mówił, zdawało się że mówi, aby nie powiedzieć czegoś innego... Czego? Amelia postanowiła zagrać w otwarte karty i, nie ruszając się z miejsca, stwierdziła:

— Pan jest ateistą.

Zanim wypowiedział się w tak delikatnej materii, rzucił wzrokiem na prawo i lewo, jakby sprawdzając świat. Rzekł... dlatego, że musiał, że nic innego nie miał do powiedzenia, że ta odpowiedź była już podyktowana pytaniem.

— Jestem ateistą.

Ale znów mówił żeby nie powiedzieć czegoś innego! To się czuło! Zamilkła, jakby odcięto jej możliwość polemiki.

3 Pornografia Gdyby naprawdę był niewierzącym, mogłaby z nim walczyć; i wtedy wykazałaby całą najgłębszą „ostateczność” własnej racji, ha, walczyłaby z nim jak równy z równym. Lecz jemu słowa służyły tylko do zatajenia... czegoś innego. Czego? Czego? Jeżeli nie był wierzący, ani niewierzący, to czymże był? Otwierała się połąć nieokreślonego, tej dziwnej „inności”, w której ona gubiła się, oszołomiona i wytracona z gry.

Zawróciła do domu, a my wszyscy za nią, rzucając cienie kilometrowe, które, ścieląc się po łące, dosięgały nie znanych nam dalekich miejsc gdzieś u skraju ścierniska.

Cudowny wieczór. Była — przysięgłbym — co się zowie w strachu. Szła już nie dbając o Fryderyka który jednak układnie jej towarzyszył — jak piesek.

Wytracona z gry... podobna komuś, komu wytracono broń z ręki. Nie atakowano jej wiary — nie potrzebowała jej bronić — Bóg stawał się zbędny w obliczu ateizmu, będącego tylko parawanem — i poczuła się sama, bez Boga, zdana tylko na siebie wobec tamtego istnienia opartego na jakiejś nieznannej zasadzie, które się jej wymykało. A to właśnie — że wymykało się — było dla niej kompromitacją. To wskazywało, że na równej drodze może zdarzyć się duchowi katolickiemu spotkanie z czymś, czego on nie zna, czego nie przewidział, czego nie opanował. Naraz została ujęta przez kogoś w sposób sobie nie znany — i stała się dla siebie samej czymś niepojętym we Fryderyku!

Na tej łące, w owym wieczorze, spacer nasz rozciągał się, jak wąż. Trochę za nami, na ukos, z lewej strony, szła Henia z Wacławem, oboje bardzo grzeczni, ucywilizowani, osadzeni w swoich rodzinach, on — syn swojej matki, ona — córka swoich rodziców; i ciało adwokata nie czuło się źle z szesnastolatką, mając przy sobie w sumie dwie matki i ojca. A Karol szedł sam, z boku, z rękami w kieszeniach, nudził się, a może nawet się nie nudził, tyle tylko że stawiał nogi na tej trawie, lewą, potem prawą, potem lewą, potem prawą, potem lewą, potem prawą, potem lewą, w nieróbstwie przestrzenno-łąkowo-zielonym o zniżającym się, zapadającym 66 słońcu, które przygrzewało, gdy wietrzyk chłodził — i tak stawiał i stawiał nogi to tu, to tam, i

czasem zwalniał, czasem przyśpieszał, aż w końcu zrównał się z Fryderykiem (który szedł z panią Amelią). I jakiś czas szli obok. Karol odezwał się:

— Pan by mi dał starą marynarkę.

— Na co ci?

— Potrzebuję. Na handel.

— Co z tego, że potrzebujesz?

— Potrzebuję! — powtórzył nachalnie Karol, roześmiany. — To kup sobie — odparł Fryderyk.

— Nie mam forsy.

— Ja też nie mam.

— Pan by mi dał marynarkę!

Pani Amelia przyśpieszyła kroku — Fryderyk także — Karol także.

— Pan by mi dał marynarkę!

— Pan by mu dał marynarkę!

Była to Henia. Przyłączyła się. Narzeczony pozostał trochę dalej. Szła z Karolem, głos jej, ruchy, takie jak jego.

— Pan by mu dał marynarkę!

— Pan by mi dał marynarkę!

Fryderyk stanął, podniósł komicznie ręce do góry: — Dajcie mi życie, dzieci! —

Amelia odchodziła coraz prędzej, nie obejrzawszy się na nich, wskutek czego wyglądała, jak ścigana. Rzeczywiście — dlaczegóż przynajmniej raz nie odwróciła głowy, ten błąd sprawił, że teraz była jak w ucieczce przed nieletnią łobuzerią (podczas gdy syn jej pozostał na dalszym planie). Lecz pytanie, przed kim uciekała: przed nimi, czy przed nim, Fryderykiem? Czy też przed nim z nimi? Nie wydawało się prawdopodobne aby ona wywęszyła coś ze sprawek dziejących się między nieletnimi, nie, do tego nie miała nosa i zanadto byli dla niej podrzędni — bo Henia miała znaczenie dla niej tylko z Wacławem, jako przyszła żona, ale Henia z Karolem to były dzieci, była młodzież. Jeśli więc uciekała to przed Fryderykiem, przed poufałością, której na nim dopuszczał się Karol — dla niej niepojętą — która urodziła się nagle tu, obok niej, która godziła w nią...

bo ten mężczyzna, dopadnięty przez chłopca, niweczył i zatracił z nim powagę, którą był stworzył w sobie wobec niej.. A ta poufałość została wzmocniona głosem narzeczonej syna I ucieczka Amelii była wyznaniem, że ona to zauważyła przyjęła do wiadomości!

Gdy się oddaliła, tych dwoje przestało naciskać Fryderyka o marynarkę. Dlatego, że się oddaliła? Czy dlatego, że wy czerpała się im żartobliwość? Nie potrzebuję dodawać, że Fryderyk, choć wstrząśnięty tym młodym napadem i wyglą dający zupełnie, jak ktoś kto ledwie uszedł zgrai na przedmieściu w godzinach nocnych, zastosował najwyższe środki ostrożności aby przypadkiem jakiś „wilk z lasu”, ten wilk, którego nie znał, a którego zawsze tak się obawiał, nie został wywołany Zaraz, przyłączywszy się do Hipolita z Marią, zabrał się do „zagadania” tych niewłaściwości, a nawet zawołał na Wacława by i z nim oddać się zwykłej, odprężającej rozmowie. I przez resztę wieczora był jak trusia, nie patrzył nawet na nich na Henię z Karolem, na Karola z Henią, i dążył do rozładowania i uspokojenia. Lękał się zapewne owego pobudzenia głębi, którego dopuściła się na nim Amelia. Lękał się tego, właśnie w kombinacji z płytką i młodą lekkością, lekkomyślnością, czuł że te dwa wymiary nie mogą współistnieć, więc obawiał się rozsadzenia i wdarcia się... czego? Czego? Tak, tak, tej mieszanki wybuchającej obawiał się, tego A (tzn. „Amelia”) pomnożonego przez (H+K). Więc uszy po sobie, ogon pod siebie, cicho, sza! I nawet posunął się tak daleko, że przy kolacji (która odbyła się w gronie rodzinnym, gdyż uchodźcom spod Lwowa podano jedzenie na górę) wystąpił z toastem na cześć narzeczonych, życząc z całego serca wszelkich pomyślności. Trudno o większą poprawność. Niestety, tutaj także dał znać o sobie ten mechanizm, dzięki któremu Fryderyk zwykł był tym bardziej brnąć, im bardziej się wycofywał — ale w tym wypadku stało się to w sposób szczególnie gwałtowny, nawet dramatyczny. Już samo powstanie, nagłe wynurzenie się jego osoby spośród nas, siedzących, wywołało niepożądany popłoch, a pani Maria nie zdołała powstrzymać się od nerwowego „ach” — gdyż nie wia-i domo było, co on powie, co może powiedzieć. Jednakże pierwsze zdania wypadły uspokajająco, były konwencjonalne, zaprawione humorem — wymachując serwetką, dziękował za umilenie mu starokawalerstwa tak wzruszającymi zaręczynami i w kilku okrągłych zwrotach scharakteryzował sympatycznie narzeczonych... i dopiero w miarę trwania

mowy zaczęło narastać za tym, co mówił, to czego nie mówił, ach, wiecznie ta sama historia!... I w końcu ku przerażeniu samego mówcy, okazało się że dyskurs służy tylko do odwrócenia naszej uwagi od prawdziwej mowy, odbywającej się w milczeniu, poza słowami, i wyrażającej to, czego słowa nie obejmowały. Poprzez układne frazesy dochodziła do głosu sama istność jego, nic nie mogło zatrzeć tej twarzy, tych oczu, wyrażających jakiś fakt nieubłagany — a on, czując, że staje się straszny, więc i niebezpieczny dla siebie samego, na głowie stawał aby być przyjemny i toczył pojednawczą retorykę w duchu arcymoralnym, arcykatolickim, o „rodzinie, jako komórce społeczeństwa” i o „szanownych tradycjach”. Jednocześnie zaś bił w twarz Amelię i wszystkich swoją twarzą, pozbawioną złudzeń i nieuchronnie obecną. Siła tej „mowy” była zaiste niesłychana. Najbardziej druzgoczące przemówienie, jakie zdarzyło mi się słyszeć. I widać było, że siła, ta nawiasowa, ta marginesowa, porywa mówcę, jak koń!

Zakończył, życząc szczęścia. Powiedział coś w tym rodzaju:

— Proszę państwa, zasługują na szczęście, więc będą szczęśliwi.

Co oznaczało:

— Mówię, żeby mówić.

Pani Amelia z pośpiechem rzekła:

— Bardzo, bardzo jesteśmy wdzięczni!

Trącanie się kieliszkami zatarło zgrozę, Amelia, niezmiernie uprzejma, skupiła się na swoich obowiązkach pani domu: może ktoś jeszcze pozwoli mięsa, może wódki...

Wszyscy zaczęli mówić, po prostu aby usłyszeć własny głos i w gwarze zrobiło się różniej. Podano sernik. Pod koniec kolacji pani Amelia wstała i poszła do kredensu, my zaś, już rozgrzani wódką, dowcipkowaliśmy opowiadając panience, co i ja się jadło w podobnych okazjach przed wojną i jakie smakołyki ją ominęły. Karol śmiał się pocziwie i szczerze, podsuwaj kieliszek. Zauważyłem, że Amelia, która powróciła z kredensu siadła na swoim krześle jakoś dziwnie — stanęła obok i po chwili, jakby na rozkaz, siadła — ale nie zdążyłem nad tym się zastanowić, gdy z krzesła upadła na ziemię. Wszyscy zerwali się. Ujrzeliśmy na podłodze czerwoną plamę. Z kuchni rozległ się wrzask kobiety, a potem gruchnął strzał za oknami i ktoś, bodaj Hipolit,

rzucił marynarkę na lampę. Ciemno i znów strzał. Gwałtowne zamykanie drzwi, przenoszono Amelię na kanapę, gorączkowa ruchliwość w ciemnościach... wtem marynarka na lampie zaczęła się tlić, zdeptali, jakoś nagle uspokoiło się i ucichło, nastąpiło nasłuchiwanie, a mnie Wacław wcisnął do ręki dubeltówkę i popchnął do okna w sąsiednim pokoju: niech pan uważa! Ujrzałem cichą noc ogrodową i księżycową, a liść na pól zeschnięty na gałązce, która zaglądała w okno, wywijał się co chwila srebrnym brzusz -kiem. Ścisnąłem broń i wyglądałem, czy nie wynurzy się coś, stamtąd, z miejsca gdzie zaczynała się wilgoć splełanych pni. Lecz tylko poruszył się w gąszczu wróbel. Aż wreszcie trzasnęły jakieś drzwi, ktoś odezwał się głośno, znów coś mówiono i zrozumiałem, że minęła panika.

Pani Maria pojawiła się obok mnie. — Czy pan zna się na medycynie? Chodźmy. Ona umiera. Nożem dostała... Czy pan zna się na medycynie ?

Amelia leżała na kanapie, z głową na poduszce, a w pokójku było pełno — ta rodzina uchodźców, służba... Bezruch tych ludzi poraził mnie, wiało od nich impotencją... tą, którą często pojawiała się u Fryderyka... Odstąpili od niej i pozostawili ją, aby załatwiła się ze swoim konaniem. Już tylko asysto - wali.

Profil jej sterczał nieruchomo, jak cypel skalny, a w pobliżu Wacław, Fryderyk, Hipolit — stojący... Czy długo będzie umierać? Na podłodze miednica z watą i krwią. Ale ciało Amelii nie było jedynym ciałem, leżącym w tym pokoju<sup>^</sup> i tam, na podłodze, w kącie, leżało inne... i nie wiedziałem| co to, skąd ono się wzięło, nie mogłem zresztą rozeznaczyć, czy leży, a zarazem doznałem niejasnego wrażenia, że to rotacyjne... że coś erotycznego przyplątało się... Karol? Gdzie był Karol? Oparty ręką o krzesło, stał, jak wszyscy, Henia zaś klęczała z rękami na fotelu. I wszyscy zwróceni byli w stronę Amelii do tego stopnia, że nie mogłem bliżej rozpatrzeć tamtego ciała, nadliczbowego i nieprzewidzianego. Hikt się nie ruszał. Ale przyglądali się jej z napięciem i czytało się w nich pytanie, jak ona umrze — gdyż należało oczekiwać od niej śmierci godniejszej niż śmierć pospolita, i tego spodziewał się po niej jej syn i Hipolitowie, i Henia, i nawet Fryderyk, który nie spuszczał z niej oczu. Paradoksalne, bo domagali się czynu od osoby nie będącej w stanie się ruszyć, zastygłej w niemocy, a jednak ona była jedyną powołaną tutaj do działania. Wiedziała o tym. Naraz Hipolitowa wybiegła i powróciła z krucyfiksem, a to było jak wezwanie do akcji skierowane pod adresem



konającej i nam spadł z serca ciężar oczekiwania — teraz już wiedzieliśmy, że zaraz się zacznie. Pani Maria z krzyżem w ręku stanęła przy kanapie.

Wtedy nastąpiło coś tak skandalicznego, pomimo całej subtelności swojej, że zakrawało na cios... Umierająca, zaledwie dotknąwszy wzrokiem krzyża, zwróciła oczy w bok ku Fryderykowi i związała się z nim spojrzeniem — otóż to było niewiarygodne, nikomu do głowy by nie przyszła możliwość takiego pominięcia krzyża, który w rękach pani Marii stał się zbędny — i właśnie to pominięcie przysporzyło spojrzeniu Amelii, wbitemu we Fryderyka, tyle wagi. Nie spuszczała z niego oczu. Nieszczęsny Fryderyk, przyłapany wzrokiem umierającym, a więc niebezpiecznym, zeszywniał i, blady, prawie stanął na baczność — spoglądali na siebie. Pani Maria w dalszym ciągu trzymała krzyż, ale minuty mijały i pozostawał niewykorzystany — ten smętny, bezrobotny krucyfiks. Czyżby zatem dla tej świętej, w godzinie śmierci, Fryderyk stał się ważniejszy niż Chrystus? Czy więc naprawdę była w nim zakochana? Ale nie była to miłość, tu chodziło o coś jeszcze bardziej osobistego, ta kobieta widziała w nim sę-ziego — ona nie mogła pogodzić się z tym, że umrze, nie przekonawszy go do siebie, nie wykazawszy, że jest nie mniej od niego „ostateczna”, równie fundamentalna, zasadni jako zjawisko, nie mniej ważna. Tak bardzo liczyła się z jego opinią. To jednak, że nie do Chrystusa zwracała się o uznanie i zatwierdzenie swojej egzystencji, a do niego, śmiertelnika, tyle tylko, że obdarzonego niepowszednią swi domością, było zdumiewającą w niej herezją, wyrzeczeni się absolutu na rzecz życia, wyznaniem, że nie Bóg a czfowi ma być sędzią człowieka. Wówczas może nie rozumiała tego tak jasno, a przecież ciarki mnie przeszły od tego j sprzęgnięcia się wzrokiem z istotą ludzką, gdy Bóg w rekai Marii został po prostu nie zauważony.

Umieranie jej, które właściwie wcale nie posuwało si naprzód, pod naciskiem naszego skupienia i oczekiwania: z każdą chwilą stawało się bardziej napięte — to my ładowa-; liśmy w nie nasze napięcie. I dość dobrze znałem Fryderykaj aby obawiać się, iż mając przed sobą śmierć ludzką, to coś tak specjalnego, gotów nie wytrzymać i popełnić jakąś niewłaściwość... Ale stał, jak na baczność, jak w kościele, i jedyne co można by mu zarzucić, to iż co pewien czas i mimowolnie!

oczy jego uchylały się Amelii aby sięgnąć w głąb pokoju^ tam gdzie leżało to drugie ciało, dla mnie tajemnicze, którego zresztą nie mogłem dobrze zobaczyć z mojego miejsca; ale coraz częstsze wypadki oczne Fryderyka sprawiły, że w końcu postanowiłem to zobaczyć... i zbliżyłem się do tamtego kąta. Jakież było moje przerażenie, czy też poruszenie, gdy ujrzałem (chłopca), którego szczupłość była powtórzeniem szczupłości (Karola), który leżał i był żywy i, co więcej, był uosobieniem złotego wdzięku blond z oczami ciemnymi i ogromnymi, a ciemność jego i smagłość tonęła w dzikości skulonych na podłodze rąk i bosych nóg!

Dziki, drapieżny blondynek, bosy, ze wsi, ale dyszący pięknościami — pyszny brudny bożek, który grał tu na podłodze swoimi cierpkimi uwodzeniami. To ciało? To ciało?; Co oznaczało to ciało tutaj? Dlaczego leżał? I tak... to było j powtórzenie Karola, ale o kilka tonacji niżej... i nagle w pokoju: 72 młodość wzrosła nie tylko ilościowo (bo co innego dwoje, co innego troje), ale i w samej jakości swojej stała się odmienna, ziksza i niższa. I natychmiast, jakby przez reperkusję, ożyło iiało Karola, wzmożone, spotęgowane, a Henia, choć pobożna klęcząca, runęła całą białością swoją w sferę grzesznych i tajemnych porozumień z tymi dwoma. Jednocześnie konanie Amelii uległo skażeniu, stało się jakieś podejrzone — cóż łączyło ją z tym wiejskim młodym przystojniakiem, dlaczego ów (chłopak) przyplątał się do niej w godzinę śmierci? Pojąłem że ta śmierć odbywa się w okolicznościach dwuznacznych, o wiele bardziej dwuznacznych niż mogło się zdawać...

Fryderyk, który przez zapomnienie włożył rękę do kieszeni, natychmiast ją wyjął i opuścił ręce wzdłuż boków.

Wacław klęczał.

Pani Maria niestrudzenie trzymała krzyż, ponieważ nic innego nie mogła zrobić — odłożenie go na bok było niemożliwością.

Palec Amelii drgnął i podniósł się i zaczął kiwać... kiwał i kiwał... na Fryderyka, który podchodził powoli i ostrożnie. Kiwała jeszcze na jego głowę, póki nie nachylił się nad nią, a wtedy nadspodziewanie głośno rzekła:

— Proszę nie odchodzić. Pan zobaczy. Chcę żeby pan widział. Wszystko. Do końca. Fryderyk uklonił się i odstąpił.

Wtedy dopiero ona wpatrzyła się w krzyż i chyba modliła się, wnosząc z drżenia, które czasem pojawiało się na jej wargach — i na koniec było, jak być powinno, krzyż, jej modlitwa, nasze skupienie — i trwało to niezmiernie długo, a upływ czasu był jedyną miarą żarliwości tych modłów nie kończących się, nie mogących oderwać się od krzyża. I ta nieruchoma, prawie już martwa, a przecież wibrująca koncentracja, rosnąc w czasie, uświęcała ją; podczas gdy Wacław, Hipolitowie, Henia, służba, towarzyszyli jej na kolanach. Fryderyk też ukląkł. Ale nadaremnie. Gdyż mimo wszystko, i choć tak była zaprzepaszczona w krzyżu, zachowało moc jej żądanie aby on to widział. Po co jej to było? Aby nawrócić go ostatnim przedśmiertnym wysiłkiem? Aby tym pokazać, jak umiera się po katolicku?

Cokolwiek chciała, Fryderyk, a nie Chrystus, był tutaj ostatnią instancją, jeśli) modliła się do Chrystusa, to dla Fryderyka, i nie pomogło, że padł na kolana, on to, nie Chrystus, stawał się sędzią najwyższym i Bogiem, gdyż dla niego działo się to konanie. Cóż za kłopotliwa sytuacja — i nie dziwiło mnie, że schował twarz w rękach. Tym bardziej, że mijały minuty a wiedzieliśmy, że z każdą minutą życie jej ucieka — ale ona przedłużała modlitwę po to właśnie aby natężyła się jak struna, do ostateczności. I znów wysunął się jej palec i zaczął kiwać, tym razem na syna. Wacław podszedł, obejmując Henię. Palec skierował się wprost na nich i rzekła z pośpiechem: — Przysięgnijcie mi zaraz, teraz... Miłość i wierność. Prędko.

Zniżyli głowy do jej rąk, Henia rozplakała się. Ale już palec znowu się podniósł i kiwał, teraz w tamtym kierunku — gdzie ką, gdzie w kącie leżący... Zrobił się ruch. Podniesiono go — i zobaczyłem, że był poraniony, udo, zdaje się — zanieśli go przed nią. Poruszyła wargami i myślałem, że w końcu się dowiem co to, dlaczego on tu z nią, ten (młody) i też okrwa-wiony, co jest między nimi... Lecz nagle zachłysnęła się raz, drugi i zbielała. Pani Maria wzniosła krzyż. Pani Amelia wlepiła się oczami we Fryderyka i umarła. h"

Część druga 8.

Fryderyk podniósł się z kolan i wystąpił na środek pokoju: — Oddajcie jej cześć! — zawołał. — Oddajcie hołd! Wyjął z wazonu róże i rzucił je przed kanapę, po czym wyciągnął rękę do Wacława. — Dusza godna anielskich chórów! Nam zaś pozostaje tylko pochylić czoło! Te słowa byłyby teatrem na ustach każdego z nas, nie mówiąc

już o gestach, lecz on przeszył nas nimi władczo, jak król, któremu patos jest dozwolony — który ustanawia inną naturalność, wyższą od przeciętnej.

Król-władca i mistrz ceremoniału! Wacław, porwany suwerennością tego patosu, powstał z klęczek, gorąco uścisnął mu dłoń. Wydawało się, że ta interwencja Fryderyka zmierza do zatarcia wszystkich tych dziwnych niewłaściwości, które przyćmiły zgon, do przywrócenia mu pełnego blasku. Postąpił kilka kroków w lewo, potem w prawo — i było to jakimś chwilowym miotaniem się jego pośród nas — i zbliżył się do leżącego (chłopca). — Na kolana! — rozkazał. — Na kolana! Ten rozkaz był, z jednej strony, naturalnym przedłużeniem poprzedniego rozkazu; ale, z drugiej strony, był niezręcznością, gdyż odnosił się do rannego, który nie mógł się ruszyć; a niezręczność wzrosła, gdy Wacław, Hipolit i Karol, sterroryzowani jego autorytetem, rzucili się żeby (chłopca) umieścić w żądanej pozycji. Tak, to już była przesada! Gdy zaś ręce Karola ujęły go pod ramiona, Fryderyk zwichnął się, ucichł i zgasł.

Oszołomiony byłem, wyczerpany... tyle wrażeń... ale przecież już znałem go... i wiedziałem, że znów przystąpił do jakiejś gry z nami i z sobą... w napięciu, stworzonym przez trupa, rozwijała się jakaś jego akcja, dążąca do celu zawartego w jego wyobraźni. Wszystko to było zamierzone, choć może zamiar nie był uchwytny i dla niego, może należałoby powiedzieć, że jemu znany był tylko wstęp do zamiaru — ale zdziwiłbym się, gdyby tu chodziło o hołd, złożony Amelii, nie, tu szło o wprowadzenie między nas tego leżącego w całym jego drastycznym i kompromitującym sensie, o „wydobycie” go, uwydatnienie i „związanie” z Henią i Karolem. Jakież jednak związanie mógł powstać między nimi? Zapewne, ta złocista dzikość nadawała się do naszej pary już choćby dlatego, że także była szesnastoletnia, lecz poza tym nie widziałem żadnego związku i myślę, że Fryderyk także nie widział — ale działał na oślep, powodując się tym samym, co moje, niewyraźnym odczuciem że on, ten leżący, wzmaga ich — demonizuje... I wobec tego, Fryderyk torował drogę do nich leżącemu.

Dopiero dnia następnego (wypełnionego przygotowaniami do pogrzebu) dowiedziałem się dokładnie o przebiegu fatalnego zdarzenia — które było w najwyższym stopniu za-wikłane, dziwaczne, niesamowite. Rekonstrukcja tych faktów

nie była łatwa, wiele było w niej luk rozpaczliwych — tym bardziej, że jedyni świadkowie, ten właśnie Józek, Józiek Skuziak, oraz stara służąca, Waleria, gubili się w chaosie swoich głów niewydarzonych i nieoświeconych. Wszystko wskazywało na to, że pani Amelia, wyszedłszy do kredensu, posłyszała szmery na schodach, wiodących do kuchni i natknęła się na tego Józka, który wśliznął się do domu żeby coś zwędzić. Usłyszawszy jej kroki, rzucił się w pierwsze lepsze drzwi i wpadł do pokoiku służbowego budząc z głębokiego snu Walerię, która zapaliła zapałkę.

Dalszy tok wypadków znany był przede wszystkim z jej bełkotliwej relacji. „Jakem zaświe-76 ciła zapałkę i jak zobaczyłam, że ktoś stoi, takem ścierpła, że nawet ruszyć się nie mogłam, a zapałka mnie się w dopalała, cały palie mam poparzony. A pani naprzeciw niego stoi, przy drzwiach, i tyż się nie rusza.

zapałka zgasła. Nic widać nie było, okno zasłonięte, leżę, patrzę, nic nie widzę, ciemno, żeby to choć podłoga skrzypnęła, nic, nic, jakby ich nie było, leżę, już tylko Panu Bogu się polecam, a nic, cicho, to patrzę na podłogę bo tam ostatek zapałki się żarzył, ale niczego nie oświecał, dopalił się, nic, żeby choć które zadyszało, nic. Raptem... (wymowa jej zahamowała się, jakby natrafiwszy na kłody rzucone w poprzek)... raptem... tak jakoś... a to jak pani dziedziczka nie szurgnie! Na niego!... Tak chyba jakoś jemu pod nogi... chyba rzuciła się... To się przewrócili!... Nie wiem co, niech ręka boska broni, a żeby to choć zakłęto które, nic, nic, tylko tak się siłowali na podłodze, ja chciałam na pomoc, ale gdzie tam, zemglło mnie, tu słyszę, że nóż w mięso włazi, raz, drugi raz, znowuj słyszę nóż w mięso, a potem oboje uciekli przez drzwi i tyle! To zemglałam ze szczętem! Zemglałam!"

— To niemożliwe! — komentował gwałtownie Wacław jej opowiadanie. — Tak być nie mogło! Nie wierzę żeby matka... zachowała się w ten sposób! Ta baba coś pokręciła, pokiełbasiła w swojej głupocie, ach, wolę gdakanie kury, wolę — krzyknął — gdakanie kury!

Przesuwał ręką po czole.

Ale zeznania Skuziaka zgadzały się z tym, co mówiła Waleria: dziedziczka rzuciła się pierwsza i „wywaliła” go, bo rzuciła się „pod nogi”. Z nożem. I pokazywał nie tylko bok i udo poharatane, ale i wyraźne ślady ukąszeń na karku i rękach.

Gryzła — mówił. — Nóż wydarłem, to na nóż się nadziała, to uskokczyłem i uciekłem, ale karbowy za mną strzelali, a mnie noga zmięła, to siadłem...

Złapali mnie.

No, w to że Amelia „nadziała się” na nóż, nikt nie wierzył. — Łgarstwo — mówił Fryderyk. — A co do ukąszeń, mój Boże, w walce o życie, w kurczowym zmaganiu z uzbrojonym zbirem (bo to on miał nóż, nie ona)... no, nerwy... Trudno się dziwić. Instynkt, wie pan, instynkt samoobrony... Tak mówił. Niemniej wszystko to było co najmniej dziwne... i gorszące... pani Amelia gryząca się z... A co do noża, to sprawa nie była jasna, gdyż, jak się okazało, nóż był Walerki, długi i ostry nóż kuchenny, którego używała do krajania chleba. Otóż nóż ten leżał na stoliku przy łóżku, tam właśnie gdzie stała Amelia. Z czego wynikałoby, że ona, namacawszy po ciemku nóż, rzuciła się z nim na...

Morderca Amelii był bosy z ciemnymi stopami i lśniły w nim dwie nieco pospolite barwy — złoto kędziorów opadających na czarne oczy, w których była ponurość, jak w leśnych kałużach. Te kolory zaś wzmagały się od wykwintnego, czystego połysku zębów o bieli kojarzącej go z...

Więc co? Więc jakże? Więc wynikałoby, że pani Amelia, znalazłszy się w ciemnym pokoiku z tym (chłopcem) w kleszczach natężającego się wyczekiwania, nie wytrzymała i... i... Namacała nóż. Namacawszy stała się dzika. Rzuciła się, żeby zabijać, a gdy upadli we dwoje, gryzła jak szalona gdzie popadło. Ona? Z jej świętością? W jej wieku? Ona, przykładna, ze swoim prawem moralnym? Nie byłaż to raczej fantazja, urodzona w ciemnych łbach kuchty i parobka, legenda dzika na ich miarę, stworzona przeinaczeniem tego co rozgrywało się po ciemku i było właściwie nieuchwytnie? Ciemność pokoiku została podwojona ciemnością ich wyobraźni — i Wacław, osaczony tymi ciemnościami, które ścinały go z nóg, nie wiedział co począć, to mu zabijało matkę bardziej niż ten nóż, zatruwało mu ją i zniekształcało — nie wiedział, jak uratować ją sobie z tej furii, wypisanej na ciele szesnastoletnim jej zębami, nożem, którym go cięła. Taka śmierć jej rozrywała mu na strzępy jej życie. Fryderyk starał się, jak mógł, podtrzymywać go na duchu. — Nie można polegać na ich świadectwie — mówił. — Przede wszystkim, nie widzieli niczego bo było ciemno. Po wtóre, przecież to zupełnie niepodobne do matki pana, to nie nadaje się do niej — i

możemy powiedzieć tylko jedno, ale to możemy powiedzieć z absolutną pewnością, że tak, jak oni mówią, być nie mogło, musiało być jakoś inaczej w tej ciemności, im równie niedostępnej, jak nam... to pewnik, to nie ulega kwestii... choć naturalnie, 78 jeśli w ciemności to... (— To co? To co? — pytał Wacław, widząc że się zawahał)... to... no, ciemność, uważa pan... ciemność jest czymś... wytrącającym z... Trzeba pamiętać, że człowiek żyje w świecie. Po ciemku świat znika. Pan wie, nie ma nic naokoło, jest się tylko z sobą.

Oczywiście pan wie. Naturalnie jesteśmy przyzwyczajeni, że za każdym razem gdy zgasimy lampę, robi się ciemno, to jednak nie wyklucza, że w pewnych wypadkach ciemność może oślepić na wskroś, rozumie pan... ale przecież pani Amelia nawet w takiej ciemności pozostałaby panią Amelią, nieprawdaż? Choć w danym wypadku ciemność zawierała w sobie coś... (— Co? — zapytał Wacław. — Niech pan mówi!)... Nic, nic, idiotyzm, bzdura... (— Co takiego?)... Ależ nic, tylko że... ten chłopak młody, że w :i, może analfabeta... (— Co z tego, że analfabeta?)... Nic, nic, chcę powiedzieć tylko, że w danym wypadku ciemność zawierała w sobie młodość... zawierała bosego chłopaka... a na młodym łatwiej coś podobnego dokonać niż na... to znaczy, że gdyby to był ktoś poważniejszy, wówczas... (— Co wówczas?!)... Chcę powiedzieć, że z młodym jest łatwiej, tak, łatwiej — i po ciemku — że łatwiej dokonać czegoś takiego na młodym, niż na starszym i...

— Niech pan mnie nie ciągnie za język! — zawołał i był naprawdę przestraszony, gdyż nawet pot wystąpił mu na czoło. — To tylko tak... teoretycznie... Ale matka pana... ach, nie, absurd, niepodobieństwo, nonsens! Nieprawdaż, Karol? Co, Karol? Dlaczego zwracał się do Karola? Jeśli był w strachu — czemuż i jego zaczepiał? Ale należał do tych, którzy wywołują wilka z lasu, ponieważ nie chcą go wywołać — samym strachem przyciągającym, wyolbrzymiającym, stwarzającym. A raz wywoławszy, już nie mógł nie drażnić się z nim, nie rozbestwiać. Świadomość jego dlatego była tak dręcząca i nieobliczalna, że on sam nie odczuwał jej jako światła, tylko jako ciemność — była dla niego żywiołem równie ślepym, co instynkt, nie ufał jej, czuł się w jej mocy, ale nie wiedział, dokąd go prowadzi. I był złym psychologiem, gdyż za wiele miał inteligencji i wyobraźni —

w jego rozszerzonym widzeniu człowieka mogło zmieścić się wszystko — więc i panią Amelię mógł wyobrazić sobie w każdej sytuacji. Po południu Waław wyjechał żeby „załatwić sprawę z policją”, to jest żeby grubszą łapówką ostudzić jej śledcze zapędy —

gdyby władze dobrały się do tego, nie wiadomo na czym by się skończyło. Pogrzeb odbył się nazajutrz rano — skrócony, nawet wyraźnie przyśpieszony. Następnego dnia wyruszyliśmy z powrotem do Powórnej, a z nami Waław, pozostawiając dom na łasce bożej. To mnie nie dziwiło — rozumiałem, że nie chciał teraz rozstawać się z Henią. Pierwszy szedł powóz, w którym jechały panie, Hipolit i Waław, a za nim bryczka powożona przez Karola, na niej ja z Fryderykiem i jeszcze ktoś:

Józiek. Zabraliśmy go, ponieważ nie wiedzieliśmy co z nim zrobić. Puścić? Był mordercą. I zresztą Waław za nic by go nie wypuścił, przecież ta śmierć była niezałatwiona, przecież nie można było tego tak zostawić... i, nade wszystko, żywił nadzieję, że jednak zdoła wyciągnąć z niego inną wersję śmierci, bardziej przyzwoitą a mniej skandaliczną. A zatem, na dnie naszej bryczki, na słomie, przed przednim siedzeniem, leżał nieletni zabójca blondyn, a Karol, który powoził, miał go pod nogami — dlatego, siedząc ukośnie, opierał nogi o wachlarz.

Fryderyk i ja — z tyłu. Wjeżdżała, zjeżdżała bryczka po znieruchomiłym falowaniu ziemi, okolica otwierała się i zamykała, konie klusowały w gorącym zapachu zbóż i w kurzu. Fryderyk zaś, siedząc z tyłu, miał przed sobą tych dwóch razem, w takiej właśnie, a nie innej, kombinacji — i my czterej, na owej bryczce, która ze wzgórze wtaczała się na wzgórze, też stanowiliśmy niezgorszą kombinację, formułę znaczącą, dziwne zestawienie... i, w miarę jazdy milczącej, figura, którą tworzyliśmy, stawała się bardziej natrętna. Niezmierna była skromność Karola, jego zbita z tropu chło-pięćść chyba zmizerniała pod uderzeniami tak tragicznych wypadków i był jak najcichszy, a także poczciwy, potulny... i nawet wymyślił sobie czarny krawat. A jednak oni obaj, tuż przed Fryderykiem i przede mną, o pół metra, na przednim siedzeniu bryczki. Jechaliśmy. Konie klusowały. Twarz Fryderyka z konieczności zwrócona ku nim — więc czego 80 w nich się dopatrywał ? Te dwa kształty rówieśne były niejako jednym kształtem, tak bardzo łączyła ich braterska wspólność wieku. Ale Karol tkwił nad leżącym, z lejcami, z batem, z nogami obutymi, ze spodniami wysoko podciągniętymi



— i nie było między nimi sympatii, ani porozumienia. Raczej ostrość chłopca dla chłopca, niechętna i nawet wroga brutalność, którą oni żywią dla siebie, tam gdzieś, między sobą. I widać było, że Karol należy do nas, do Fryderyka i do mnie, jest z nami, ludźmi swojej klasy, przeciw temu koledze z gminu, którego pilnował. Ale mieliśmy ich przed sobą i to przez wiele godzin drogi piaszczystej (która czasem rozszerzała się w gościniec, aby wkrótce wryć się w ściany wapienne), byli we dwóch przed nami i to jakoś działało, coś wytwarzało, w czymś ich ustalało... Tam zaś, dalej, ukazywał się na wzgórzach powóz, w którym jechała ona — narzeczona. Powóz ten ukazywał się i ginął, ale nie pozwalał o sobie zapomnieć, nieraz długi czas go nie było i znów wyrastał —

a skośne kwadraty pól i taśmy łąk, nanizane na naszą jazdę, nawijały się i odwijały — i w tej geometrii, utopionej w perspektywach, nudnej, kłusującej, powolnej, zwisła twarz Fryderyka, którego profil był tuż obok mego. Co myślał?

Co myślał? Jechaliśmy za powozem, ścigaliśmy powóz. Karol, mając pod nogami tego drugiego z ciemnymi oczami, chabrowo-złocistego, bosego i niemytego, ulegał jakby chemicznej przemianie, wprawdzie podążał za powozem, jak gwiazda za gwiazdą, ale już z kolegą — i po koleżeńsku — ujęty od dołu sobą z nim, prawie jak w kajdanach, i chłopcem swym zespolony z chłopcem tym do tego stopnia, że gdyby razem zaczęli jeść wiśnie, albo jabłka, to by mnie wcale nie zdziwiło.

Jechaliśmy. Konie kłusowały. Tak, oto co wyobrażał sobie zapewne Fryderyk — lub może wyobrażał sobie, że to ja tak sobie wyobrażam — i profil jego tuż obok mego, a ja nie wiedziałem, w którym z nas to się poczynało. Niemniej, gdy po wielu, wielu godzinach przesuwania się przez okolicę dojechaliśmy do Powórnej, ci dwaj koleżkowie byli już „razem wobec Heni”, złączeni w odniesieniu do niej, utwierdzeni w tym wielogodziną jazdą za nią i przed nami.

Umieściliśmy więźnia w pustej spizarni, o zakratowanym oknie. Rany jego były powierzchowne — mógł uciec. Zmęczeni do nieprzytomności, runęliśmy na łóżka, noc i ranek przespałem ciężkim snem, a nazajutrz obskoczyły mnie nieuchwytnie wrażenia, natrętne, jak mucha, kręcące się wokół nosa. Nie mogłem uchwycić muchy bzykającej, wciąż uciekającej — co za mucha? Już przed obiadem mnie to napadło, gdym zagadnął Hipolita o jakiś szczegół związany z tak świeżymi jeszcze

przeżyciami, a w jego odpowiedzi dała się słyszeć niedostrzegalna prawie zmiana tonu — nie żeby mnie po- • częstował opryskliwością, ale jakby wyniosłość, czy też lekceważenie, lub duma, jakby to już mu się przejadło, lub jakby miał ważniejsze kłopoty. Ważniejsze kłopoty od tego morderstwa? A potem i w głosie Wacława wyłowilem coś — bo ja wiem —

oschłego, a także bodaj dumą nacechowanego. Dumni? Dlaczego dumni? Zmiana tonu równie subtelna jak rażąca, bo jakżeż Wacław mógł zadzierać nosa w dwa dni po tej śmierci? — i moje wyczulone nerwy naraz podyktowały mi podejrzenie, że gdzieś na naszym niebie powstał nowy ośrodek ciśnienia i inny wiatr powiał — ale jaki? Coś się przeinaczało. Coś jakby zmieniało kierunek. Dopiero pod wieczór te obawy przybrały postać wyraźniej szą, gdy mianowicie ujrzałem Hipolita przechodzącego przez stołowy i mówiącego, tudzież szepczącego: — Chryja, panie, chryja! Naraz usiadł na krześle, osowiały... i podniósł się, kazał zaprzęgać konie, wyjechał. Teraz już wiedziałem, że coś nowego wdzierало się, ale nie chciałem się pytać, a tylko wieczorem, widząc że Fryderyk z Wacławem okrążają dziedziniec w rozmowie, przyłączyłem się do nich w nadziei iż może dowiem się co w trawie piszczy. Nic podobnego. Znów omawiali śmierć przedwczorajszą — i w tonie tym samym, co dawniej — była to poufna gawęda, prowadzona głosem ściszym. Fryderyk z głową pochyloną, ze wzrokiem wbitym we własne buciki, znów grzebał się w tym morderstwie, rozpatrywał, rozważał, analizował, szukał... aż Wacław, udręczony, zaczął się bronić, prosił aby mu pozwolono wytchnąć, dał nawet do zrozumienia, że to niedelikatność! — Co? — rzekł Fry-82 deryk. — Jak to mam rozumieć? Wacław zabłągał o litość.

To jeszcze za świeże, on dotąd nie przyzwyczyił się, nie może uchwycić, wie, jakby nie wiedział, to zbyt nagłe, straszne! A wtedy Fryderyk rzucił się na jego duszę jak orzeł.

Porównanie może zbyt górnolotne. Ale wyraźnie było widać, że się rzuca — i że rzuca się z wysoka. W tym co mówił nie było pociechy, ani litości, wręcz przeciwnie zawierało się żądanie aby syn wychylił puchar matczynego zgonu aż do ostatniej kropli. Tak właśnie, jak katolicy przeżywają minutę za minutą gólgotę Chrystusa. Zastrzegł się, że nie jest katolikiem. Że nawet nie ma tak zwanych zasad moralnych.

Że nie jest cnotliwy. Więc dlaczego, zapyta pan (mówił), w imię czego ja żądam od pana aby pan to wyczerpał do ostateczności? Odpowiem, że tylko i jedynie w imię rozwoju. Czym jest człowiek? Któż to może wiedzieć. Człowiek jest zagadką (i ten banał pojawił mu się na ustach, jak rzecz wstydliva i sarkastyczna, jak ból — anielska i diabelska otchłań, bardziej otchłanna, niż zwierciadło). Ale musimy (to „musimy” było konfidencyjne i dramatyczne), musimy coraz pełniej przeżywać. To, wie pan, nieuniknione. To konieczność naszego rozwoju. Jesteśmy skazani na rozwój. To prawo spełnia się w historii ludzkości, jak i w historii pojedynczego człowieka. Proszę przypatrzeć się dziecku. Dziecko zaczyna się dopiero, dziecko nie jest, dziecko jest dzieckiem czyli wstępem, inicjacją... A młodzieniec (prawie wypuł to słowo)... cóż on wie? Co może odczuć... on... ten embrion? Ale my?

— My? — zawołał — My ?! I zauważył ubocznie.

— Ja z matką pana od razu i głęboko się porozumiałem. Nie dlatego, że katoliczka. Dlatego że była poddana wewnętrznemu przymusowi powagi... wie pan... nie była wcale lekkomyślna...

Spojrzał mu w oczy — co dotąd chyba nigdy z nim się nie zdarzyło i co mocno skonfundowało Waclawa — który jednak nie powążył się odwrócić wzroku.

— Ona docierała... do sedna.

— Co ja mam robić? — krzyknął Waclaw podnosząc ręce. — Co ja mam robić?!

Rozmawiając z kimkolwiek innym nie pozwoliłby sobie ani na ten krzyk, ani na podniesienie rąk. Fryderyk ujął go pod ramię i ruszył naprzód, a palcem drugiej ręki wskazywał przed siebie. — Być na wysokości zadania! — mówił. — Niech pan robi co pan chce. Ale niech to będzie nie mniej skrupulatne w swojej... w swojej powadze. Powaga jako najwyższy i nieubłagany postulat dojrzałości — żadnej folgi — nic co było mogło osłabić przez chwilę napięcie spojrzenia, doszukującego się uparcie sedna... Waclaw nie umiał bronić się przed tą surowością — ponieważ była to surowość. Gdyby nie ona, mógłby podać w wątpliwość powagę tego zachowania, szczerść tej gestykulacji, będącej jakimś miotaniem się... ale ów teatr dokonywał się w imię surowego wezwania do podjęcia i wypełnienia najwyższego obowiązku pełnej świadomości — to w oczach Waclawa czyniło go nieodpartym.

Katolicyzm jego nie mógł pogodzić się z dzikością ateizmu — dla wierzącego ateizm jest dziki — i świat Fryderyka był dla niego chaosem, pozbawionym władcy, więc i prawa, zaludnionym jedynie bezgraniczną arbitralnością człowieczą... a jednak katolik nie mógł nie uszanować nakazu moralnego choćby pojawiającego się na tak dzikich ustach. A przy tym Wacław drżał, aby ta śmierć matki nie rozeszła mu się po kościach — że nie sprostą swemu dramatowi, a także swojej miłości i czci — i bardziej jeszcze niż bezbożności Fryderyka bał się własnej swojej mierności, fego co czyniło go przyzwoitym adwokatem „ze szczoteczką od zębów”.

Więc garnął się do stanowczej wyższości Fryderyka, szukając w niej oparcia, ach, wszystko jedno jak, wszystko jedno z kim, ale doznać tej śmierci. Przeżyć ją!

Wydobyć z niej wszystko! Do tego potrzebne mu było dzikie, ale wlepione w sedno spojrzenie, i ta swoista, ta straszna zawziętość w przeżywaniu.

— Ale co ja mam począć z tym Skuziakiem? — krzyknął. — Pytam się — kto go ma sądzić? Kto ma go skazać? Czy mamy prawo go więzić? Dobrze, policji nie oddaliśmy go, to niemożliwe — ale przecież nie możemy trzymać go wiecznie w tej spiżarni!

Poruszył tę sprawę dnia następnego z Hipolitem, ale wydobył z niego tylko machnięcie ręki: — Warto się przejmować! Nie ma czym zawracać sobie głowy!

Trzymać w spiżarni, oddać policji, albo wsypać batów i puścić, niech idzie!

Wszystko jedno! A gdy Wacław próbował mu wytłumaczyć, że to jednak zabójca jego matki, zirytował się: — Jaki tam zabójca! G...rz, nie zabójca! Róbcie co chcecie,

dajcie mi spokój, mam co innego na głowie. Po prostu nie chciał o tym słuchać, miało się wrażenie, że całe to morderstwo jest dla niego ważne od jednego końca — którym

był trup Amelii — a błahe od drugiego, którym był morderca. I zresztą był wyraźnie zaprzątnięty jakąś troską. Fryderykowi, który stał pod piecem, coś nagle się

przytrafiło, poruszył się, jakby miał mówić, ale szepnął tylko: — Ohooo!... Nie

powiedział głośno. Szepnął. I dlatego, że nie byliśmy na szept przygotowani, rozległ się on bardziej, niż gdyby Fryderyk odezwał się pełnym głosem — i szepczący stał z

szeptem swoim podczas gdy my oczekiwaliśmy, że coś więcej powie. Nic nie

powiedział. Wtedy Wacław, który już nauczył się śledzić najdrobniejsze zmiany we

Fryderyku, zapytał: — Co takiego, o co panu chodzi? — Zagadnięty rozejrzał się po

pokoju.

— No tak, z takim właściwie wszystko jedno... można robić co się chce... co kto chce...

— Z jakim? — krzyknął Hipolit, z niezrozumiałą złością. — Z jakim takim?

Fryderyk tłumaczył się, nieco stropiony.

— Z takim, no, wiadomo z jakim! Z nim — wszystko-jedno. Co kto chce. Co komu się zechce.

— Zaraz. Zaraz. To samo pan mówił o mojej matce — wmieszał się nagle Wacław. — Że moja matka jego właśnie mogła... nożem... bo... Zająknął się. Na co Fryderyk, już z wyraźnym wstydem: — Nic, nic, ja tylko tak... Nie mówmy o tym!

Co za aktor! Wyraźnie było widać szwy jego gry, on ich nie ukrywał. Ale też było widoczne, ile go kosztuje, jak naprawdę błędnie i drży w jej obieżach. Dla mnie, przynajmniej, było jasne że on usiłuje nadać temu morderstwu i temu mordercy jak najbardziej drastyczny charakter — lecz może nie usiłował, może była to konieczność silniejsza od niego, której ulegał w bładości i strachu. Zapewne, była to gra — ale ta gra go stwarzała i stwarzała także sytuację. W rezultacie wszyscy poczuli się jakoś niewyraźnie. Hipolit zakręcił się i wyszedł, a Wacław zamilkł. Ale te ciosy, zadawane przez gracza, dosięgały ich mimo wszystko i Józio w spizarni stawał się coraz trudniejszy, w ogóle cała atmosfera była jak zatruta szczegółną a niezrozumiałą intencją (wiedziałem do kogo się odnosi, kogo ma na celu...). Co wieczór należało przemywać Józkowi rany i zajmował się tym Fryderyk, który coś niecoś wyznawał się na leczeniu — przy pomocy Karola. A Henusia trzymała lampę. Był to znów zabieg tyleż znaczący co kompromitujący, gdy oni we troje pochylali się nad nim, przy czym każde z nich miało w ręku coś, co uzasadniało owo pochylenie, a więc Fryderyk wateę, Karol miednicę i flaszkę ze spirytusem, a Henia lampę; ale to pochylenie się ich we troje nad jego poranionym udem wydierało się niejako tym przedmiotom, które trzymali, i było już tylko samym pochylaniem się nad nim. A lampa świeciła. Potem Wacław zamykał się z nim i wypytywał — pojednawczo lub z groźbą — ale niższość chłopca i jego ciemność, wraz z jego wiejskością, były jak automat i powtarzał wciąż to samo, że rzuciła się, gryzła, a on co miał robić? I, przyzwyczajwszy się do pytań, zadomowił się w swoich odpowiedziach.

Pani dziedziczka mnie gryzła. Przecie są ślady.

Gdy Wacław powracał z tych indagacji, wycieńczony jak po chorobie, Henia przysiadła się do niego i była z nim cicho i wiernie... towarzysząca... Karol zaś nakrywał do stołu albo przeglądał stare ilustracje... i gdym patrzył na nią, usiłując widzieć ją „z Karolem”, przecierałem oczy, nie mogąc rozpoznać podnieceń, które już nie podniecały — i wypierałem się własnego szału. Nic między nimi, nic, nic! Ona tylko z Wacławem! Ale za to, z tym, jaka zachłanna!

Co za apetyt! Jaka żądza straszna! Jak ona łapczywie do niego się zabierała, niczym mężczyzna do panny! Przepraszam, nie mam na 86 myśli nic złego, chcę powiedzieć tylko, że z nieposkromioną lubieżnością dobierała mu się do ducha — iż pożądała jego sumienia, że jego honor, odpowiedzialność, godność i wszystkie związane z tym cierpienia były obiektem jej żądz, że łakomiła się na wszelką w nim starszość aż wydawało się, iż jego łysina bardziej ją kusi niż nawet jego wąsik! Lecz wszystko to, naturalnie, w bierności jej właściwej — ona tylko chłoneła mu starszość, przytulona i towarzysząca. I poddawała się pieszczocie ręki męskiej, nerwowej i wysubtelnionej, już dorosłej, ona — także szukająca powagi wobec dramatycznej śmierci, która przerastała jej wczesną, cielesną nieumiejętność czepiającą się cudzej dorosłości! Przeklęta! Albowiem, zamiast być świetna z Karolem (co by potrafiła), wołała partaczyć się i łajdaczyć z adwokatem i garnęła się do jego wychu-chanych brzydota! Adwokat zaś był jej wdzięczny i gładził ją cicho. A lampa świeciła. Tak upłynęło kilka dni. Pewnego popołudnia zawiadomił nas Hipolit, że spodziewana jest nowa osoba, pan Siemian, który przyjedzie z wizytą... I szepnął oglądając paznokcie: — Przyjedzie z wizytą.

I zamknął oczy.

Przyjeliśmy to do wiadomości nie zadając niepotrzebnych pytań. Osowiła rezygnacja w jego głosie nie próbowała ukrywać, że poza „wizytą” czai się sieć, która wszystkich nas spowijała, wiążąc ze sobą, lecz zarazem czyniąc nas obcymi sobie — konspiracja. Każdy mógł powiedzieć tyle tylko, ile było mu wolno — reszta to było dolegliwe, ciężące milczenie, oraz domyślniki. Ale w każdym razie stawało się namacalne zagrożenie, które już od kilku dni zakłócało z dala jednolitość naszego uczucia po tragicznych zdarzeniach w Rudzie, a ciężar, ten ciężar który nas gniótł, przerzucał się z bliskiej przeszłości w bezpośrednią przyszłość, niebezpieczną.

Wieczorem, pod deszczem z tych drobnych, porywistych i zacinających, zamieniających się w całonocną pluchę, nadjechał wolant i w uchylonych przypadkowo drzwiach przedpokoju zamajaczył mi się wysoki pan w palcie, z kapeluszem w ręku, jak kroczył, poprzedzany przez Hipolita z lampą, zmierzając do schodów na górę, gdzie przygotowano mu pomieszczenie. Powstał przeciąg i omal nie wytrącił Hipolitowi lampy, drzwi trzasnęły.

Poznałem go. Tak, tego człowieka znałem już z widzenia, choć on mnie nie znał — i znienacka poczułem się w tym domu, jak w pułapce. Przypadkowo było mi wiadomo, że ten jegomość to teraz gruba szyszka w ruchu podziemnym, przywódca mający na rozkładzie niejedną karkołomną śmiałość, poszukiwany przez Niemców... tak, to był on, a, jeśli on, to wejście jego w dom było wejściem nieobliczalności, wszak byliśmy na jego łasce i niełasce, śmiałość nie była tylko jego osobistą sprawą, narażając siebie nas narażał, mógł wciągnąć, uwikłać nas — i przecież, gdyby zażądał czegokolwiek, nie moglibyśmy mu odmówić. Albowiem naród nas wiązał, byliśmy towarzyszami i braćmi — tylko, że to braterstwo było zimne jak lód, tu każdy był narzędziem każdego i każdym wolno było się posłużyć jak najbezwzględniej, dla wspólnego celu.

Ten więc człowiek, tak bliski a tak niebezpiecznie obcy, przeszedł przede mną jak majacząca się groźba i odtąd wszystko nastroszyło się i utaiło. Znałem ryzyko, jakie wnosił, a jednak nie mogłem opędzić się od niesmaku spowodowanego całą tą scenerią — akcja, podziemie, wódz, konspiracja — jak z kiepskiego romansu, jak późne ucieleśnienie marnego młodzieńczego marzenia — i wołałbym doprawdy aby nam weszło w paradę wszystko oprócz właśnie tego, w tej chwili naród i wszystkie z nim związane romantyzmy to była dla mnie mikstura nie do zniesienia, jakby umyślnie, na złość, wymyślona! Ale nie można było grymasić i odrzucać tego, czym los nas częstował. Poznałem „wodza”, gdy zszedł na kolację.

Wyglądał na oficera, którym zresztą był — oficer kawalerii, kresowiak, z Ukrainy chyba, po czterdziestce, z twarzą ciemną od zgolonego zarostu i suchą, elegancki a nawet szarmancki. Przywitał się ze wszystkimi — widać było, że nie pierwszy raz tu przyjeżdża — paniom ucałował rączki. — A tak, już wiem, co za nieszczęście! A panowie z Warszawy?... Co pewien czas przymykał oczy i był jak ktoś, kto od

długiego czasu jedzie i jedzie pociągiem... Posadzono go na jednym z dalszych miejsc, widocznie przebywał tutaj w charakterze technika, lub urzędnika dla kontroli krów, czy planowania !8 zasiewów — ostrożność konieczna ze względu na służbę.

Co się tyczy nas, siedzących przy stole, to od razu było widać, że wszyscy są mniej lub więcej poinformowani — choć rozmowa wlokła się sennie i blado. Ale na końcu stołu wyrabiały się dziwne rzeczy, z Karolem mianowicie, tak, z (młodym) naszym Karolem, który obecnością przybysza wtrącony zosta! w natężone, chętne posłuszeństwo i skwapliwą gotowość — i, zachłyśnięty wiernością, zaostrzony, znalazł się nagle w pobliżu śmierci, partyzant, żołnierz, konspirator, któremu mordercza a cicha siła błąkała się po rękach i barkach, gotów jak pies na zawołanie i posłusznie sprawny, technicznie umiętny. Nie on jeden zresztą. I nie wiem, czy stało się to poprzez niego, ale cała ta, tak drażniąca przed chwilą, romantyczna kiepskość doznała nagłego uzdrowienia, a my wszyscy dostąpiliśmy prawdy i siły w zespoleniu i byliśmy przy tym stole jak oddział, oczekujący rozkazu, już wtrąceni w ewentualność działania i walki. Konspiracja, akcja, wróg... to stało się prawdą silniejszą, niż codzienne życie, i wtargnęło niby wiatr odświeżający, zniknęła bolesna odmienność Heni i Karola, wszyscy poczuliśmy się towarzyszami. A jednak zbratanie to nie było czyste! Nie... było także dręczące, a nawet obmierzłe! Gdyż, Bogiem a prawdą, czyż nie byliśmy my, starsi, już trochę komiczni i cokolwiek obrzydliwi w owej walce — podobnie jak bywa z miłością w starszym wieku — czyż to nadawało się do nas, do nabrzmiałości Hipa, chudości Fryderyka, wycieńczenia pani Marii? Ten oddział, który stanowiliśmy, był oddziałem rezerwistów, a nasze zespolenie było zespoleniem w rozkładzie — melancholia, niechęć, wstręt, obrzydzenie unosiły się nad naszym zbrataniem w walce i w zapale. Chwilami wydawało mi się cudowne, iż zbratanie, zapał, są jednak mimo to, możliwe. A chwilami miałem ochotę wołać do Karola i Heni, ach, bądźcie osobno, nie zadawajcie się z nami, unikajcie naszego brudu, naszej farsy! Lecz oni (bo ona też) garnęli się do nas — i napierali na nas — i chcieli z nami — i oddawali się nam, byli na rozkazy, gotowi z nami, za nas, dla nas, na skinienie wodza! Tak trwało przez cały czas kolacji. Tak to odczuwałem.

Czy ja tak odczuwałem, czy Fryderyk? < i ;• •• -:-' •



Co się tyczy nas, siedzących przy stole, to od razu było widać, że wszyscy są mniej lub więcej poinformowani — choć rozmowa wlokła się sennie i blado. Ale na końcu stołu wyrabiały się dziwne rzeczy, z Karolem mianowicie, tak, z (młodym) na- !-szym Karolem, który obecnością przybysza wtrącony został w natężone, chętne posłuszeństwo i skwapliwą gotowość — > i, zachłyśnięty wiernością, zaostrozony, znalazł się nagle w pobliżu śmierci, partyzant, żołnierz, konspirator, któremu mordercza a cicha siła błąkała się po rękach i barkach, gotów jak pies na zawołanie i posłusznie sprawny, technicznie umiętny. Nie on jeden zresztą. I nie wiem, czy stało się to poprzez niego, ale cała ta, tak drażniąca przed chwilą, romantyczna kiepskość doznała nagłego uzdrowienia, a my wszyscy dosta- s piliśmy prawdy i siły w zespoleniu i byliśmy przy tym stole!

jak oddział, oczekujący rozkazu, już wtrąceni w ewentualność ? działania i walki. Konspiracja, akcja, wróg... to stało się prawdą i silniejszą, niż codzienne życie, i wtargnęło niby wiatr odświe- f żający, zniknęła bolesna odmienność Heni i Karola, wszyscy f poczuliśmy się towarzyszami. A jednak zbratanie to nie było i czyste! Nie... było także dręczące, a nawet obmierzłe!

Gdyż, i Bogiem a prawdą, czyż nie byliśmy my, starsi, już trochę: komiczni i cokolwiek obrzydliwi w owej walce — podobnie; jak bywa z miłością w starszym wieku — czyż to nadawało; się do nas, do nabrzmiałości Hipa, chudości Fryderyka, s wycieńczenia pani Marii? Ten oddział, który stanowiliśmy, { był oddziałem rezerwistów, a nasze zespolenie było zespoleniem w rozkładzie — melancholia, niechęć, wstręt, obrzydź- f nie unosiły się nad naszym zbrataniem w walce i w zapale. Chwilami wydawało mi się cudowne, iż zbratanie, zapał, są jednak mimo to, możliwe. A chwilami miałem ochotę wołać do Karola i Heni, ach, bądźcie osobno, nie zadawajcie się z nami, unikajcie naszego brudu, naszej farsy! Lecz oni (bo ona też) garnęli się do nas — i napierali na nas — i chcieli z nami — i oddawali się nam, byli na rozkazy, gotowi z nami, za nas, dla nas, na skinienie wodza! Tak trwało przez cały czas kolacji. Tak to odczuwałem. Czy ja tak odczuwałem, czy Fryderyk? < Kto wie, a może jedną z najmroczniejszych tajemnic ludzkości — i najtrudniejszych — jest właśnie ta, która dotyczy takiego „zespalania się"

wieków — sposobu i trybu w jakim młodość staje się nagle dostępna starszości i vice versa. Kluczem do tej zagadki był w danym wypadku oficer, który, będąc oficerem, był już tym samym nastawiony na żołnierza i młodego... i uwidoczniło się to jeszcze silniej gdy, po kolacji, Fryderyk zaproponował Siemianowi obejrzenie zabójcy w spiżarni. Co do mnie, nie wierzyłem w przypadkowość tej propozycji, wiedziałem, że przebywanie Józka-mordercy-młodego w spiżarni zaczęło napierać i stało się natrętne odkąd Karol oddał się oficerowi. Poszliśmy tam —

Siemian, Fryderyk, ja, Henia, oraz Karol z lampą. W zakratowanym pokoiku leżący na słomie — śpiący i skulony — a gdy stanęliśmy nad nim poruszył się i dłonią przez sen zakrył oczy. Dziecinny. Karol oświetlał go lampą. Siemian dał znak ręką, żeby go nie budzić. Przyglądał mu się, jako mordercy pani Amelii, a jednak Karol oświetlał go lampą nie jako mordercę — lecz raczej, jakby pokazywał go wodzowi — nie tyle młodego mordercę, ile młodego żołnierza — jakby pokazywał go, jak kolegę. I oświetlał go nieomal jak rekruta, jakby chodziło o pobór... a Henia stała tuż za nim i patrzyła, jak on go oświetla. Uderzyło mnie, jako rzecz szczególna, a nawet ze wszechmiar godna uwagi, iż to żołnierz oficerowi oświetla żołnierza — co było koleżeńskie i braterskie między nimi, żołnierzami, ale też okrutne, ale wydające na pastwę. A bardziej jeszcze znaczące wydało mi się to, że młody starszemu oświetlał młodego — choć dobrze nie chwyciłem, co to znaczy...

W tej spiżarni, z jej zakratowanym oknem, nastąpił wybuch niemy ich trojga wokół lampy i w jej blasku — wybuchnęli z cicha treścią nieznaną, dyskretną, skwapliwą. Siemian nieznacznie objął ich wzrokiem, była to chwila tylko, ale dość abym się dowiedział, że nie jest mu to tak zupełnie obce.

9.

Czy już wspomniałem, że cztery małe wysepki, przedzielone zzieleniałymi od rzęsy kanałami, stanowiły przedłużenie stawu? Mostki przerzucono przez kanały. Alejka u samego krańca ogrodu, wijąca się w zaroślach leszczyny, jaśminów i tuj, pozwalała obejść łądem ten archipelag rozmokły stojącymi wodami. Idąc tamtędy przywidziało mi się, że jedna z wysepek nie jest jak inne... dlaczego?...

wrażenie przelotne, ale ogród zanadto już był wciągnięty do gry abym mógł je pominąć. Jednakże... nic. Gąszcz tej wysepki z pióropuszcami drzew — zamarty. Był

dzień upalny i pora podwieczorkowa, kanał wysechł prawie i szklął się skorupą szlamu z zielonymi oczami wody — trzciny zarastały brzegi. Wszelką niesamowitość należało w naszych warunkach poddać niezwłocznej inspekcji, przedostałem się zatem na drugi brzeg. Wysepka oddychała upałem, trawa panoszyła się tutaj gęsta i wysoka, obfita w mrówki, i, w górze, korony drzew o własnym, zamkniętym istnieniu. Przelazłem przez zarośla i... Zaraz. Zarazi Niespodzianka!

Tam była ławka. Na ławce, siedząca, ona, ale z niesłychanymi nogami — bo jedną nogę miała obutą i w pończosze a druga obnażona aż poza kolano... i nie byłoby to takie nieprawdopodobne, gdyby on, leżący, leżący przed nią, na trawie, również nie miał jednej nogi obnażonej z nogawką podciągniętą powyżej kolana.

Nie opodal jego bucik, w nim skarpetka. Ona twarz i oczy miała skierowane w bok. On nie patrzył na nią, głowę na trawie otoczył ramieniem. Nie, nie, to wszystko nie byłoby może skandaliczne, gdyby nie było tak niezgodne z ich naturalnym rytmem, zastygłe, dziwnie znieruchomiłe, jakby nie z nich... i te nogi tak niesamowicie obnażone, po jednej tylko z każdej pary, i świecące swoją cielesnością w dusznej, gorącej wilgoci, przerywanej pluskiem żabim! On z gołą nogą i ona z gołą nogą. Może brodzili w wodzie... nie, w tym było coś więcej, to nie dawało się wytłumaczyć... on z gołą nogą i ona z gołą nogą. Noga jej poruszyła się z lekka, wyciągnęła. Stopę oparła na jego stopie. Nic więcej. Patrzyłem. Ukazała mi się naraz cała głupota moja. Ach, ach! Jakże mogłem być tak naiwny — z Fryderykiem — aby mniemać, że między nimi „nic nie ma”... dać się uwieść pozorom! Oto miałem przed sobą jak obuchem bijące zaprzeczenie. A więc tutaj spotykali się, na wyspie... Olbrzymi, wyzwalający krzyk nasycający bił niemo z tego miejsca — a ich zetknięcie trwało bez ruchu, bez głosu, bez wzroku nawet (bo nie patrzyli na siebie). On z gołą nogą i ona z gołą nogą. Dobrze... Ale... To nie mogło tak być. W tym była sztuczność jakaś, coś niepojętego, coś perwersyjnego... skąd ta martwota, jak zaklęta? Skąd ten chłód w ich rozpaleniu? Przez ułamek sekundy nawiedziła mnie myśl zupełnie szalona, że to tak być powinno, że tak właśnie powinno to odbywać się między nimi, że tak jest prawdziwiej niż gdyby... Nedorzecznosc! I zaraz nawiedziła mnie druga myśl, ta mianowicie, iż w tym kryje się heca, komedia, iż może oni jakimś cudem zwiedzieli się, że ja będę tędy szedł i umyślnie to robią — dla mnie. Bo przecież to było jak dla mnie, ściśle na miarę

mojego o nich marzenia, mojego wstydu! Dla mnie, dla mnie, dla mnie! I pod ostrogą tej myśli — że dla mnie —

przedarłem się przez krzaki, już nie bacząc na nic. A wtedy uzupełnił się obraz.

Fryderyk siedział na kupie igliwia pod sosną. To było — dla niego!

Zatrzymałem się... On, ujrzawszy mnie, powiedział do nich:

— Trzeba będzie jeszcze raz powtórzyć.

A wtedy, choć jeszcze nic nie rozumiałem, powiało od nich chłodem młodego wyuzdania. Zepsucie. Nie ruszali się — świeżość ich młoda była okropnie zimna.

Fryderyk podszedł do mnie, szarmancki. — A! Jak się pan ma, kochany panie Witoldzie! (To powitanie było niepotrzebne, rozstaliśmy się przed godziną). Cóż Pan powie na tę pantominę? (wskazał w ich stronę okrągłym ruchem). Nieźle grają, co, ha, ha, ha! (ten, śmiech był też niepotrzebny— ale głośny). Na bezrybiu i rak ryba! Nie wiem, czy znany Panu mój feblik reżyserski? Ja też byłem jakiś czas aktorem, 92 nie wiem czy znany panu ten szczegół mojej biografii?

Ujął mnie pod ramię i wiódł wkoło po trawniku z gestykulacją jak najbardziej teatralną. Tamci przyglądali się nam bez słowa. — Mam pewien pomysł... scenariusza... scenariusza filmowego... ale niektóre sceny są trochę ryzykowne, wymagają opracowania, trzeba eksperymentować z żywym materiałem.

— Dość na dzisiaj. Możecie się ubrać.

Nie oglądając się na nich, uprowadził mnie przez mosty, opowiadając głośno, z ożywieniem, rozmaite swoje pomysły. Jego zdaniem, dotychczasowa metoda pisania sztuk lub scenariuszów „w oderwaniu od aktora” była najzupełniej przestarzała. Należało zacząć od aktorów „zestawiając ich” w jakikolwiek sposób i tymi zestawieniami budować wątek sztuki. Sztuka bowiem „powinna wydobyć to tylko, co zawiera się już potencjalnie w aktorach, jako w ludziach żywych, mających własną skalę możliwości”. Aktor „nie powinien wcielać się w urojonego bohatera scenicznego, udając kogoś kim nie jest — wręcz przeciwnie, postać sceniczna ma być do niego przystosowana, uszyta na jego miarę, jak ubranie”. — Próbuje — mówił ze śmiechem — osiągnąć coś takiego z tymi dzieciakami, obiecałem im za to prezencik, bo to przecież praca! Ha, cóż, człowiek nudzi się na tej wsi zabitej, trzeba się czymś zająć dla zdrowia chociażby, panie Witoldzie, dla zdrowia!

Wolę naturalnie nie afiszować się z tym, bo — czy ja wiem — może to trochę za śmiało dla pocziwego Hipa i jego Hipowej, nie chciałbym narazić się na komeraże!... Tak mówił, głośno, żeby się rozlegało, a ja idąc przy nim i patrząc w ziemię i mając w głowie rozpalony ćwiek tego odkrycia zaledwie słuchałem.

Spryciarz! Kombinator! Lis! Takie cuda z nimi wyrabiał — taką wykalkulował zabawę!... I wszystko spadało w dół, stracone w cynizm i w perwersję, a ogień tej deprawacji mnie pożerał, i, po prostu, wilem się w mękach zazdrości ! I luny rozżarzone wyobraźni oświetlały mi to chłodne ich rozpasanie, niewinnie diabelskie — zwłaszcza jej, jej — bo przecież było osłupiające żeby ta wierna narzeczona chodziła w krzaki na takie seanse... w zamian za obiecany „prezencik”...

— Zapewne, ciekawy eksperyment teatralny, naturalnie — odpowiadałem — tak, tak, ciekawy eksperyment! I co prędzej opuściłem go aby dalej móc to rozważać — bo przecież wyuzdanie nie było tylko po ich stronie i, jak się okazywało, Fryderyk działał bardziej skutecznie, niż myślałem — i nawet zdołał dobrać się do nich aż tak bezpośrednio! Robił swoje, bez przerwy. I za moimi plecami, na własny rachunek! Nie przeszkadzała mu w tym patetyczna retoryka, rozwinięta z Wacławem wskutek śmierci pani Amelii — on działał — i pytanie, jak daleko zaszedł na tej drodze? I dokąd mógł jeszcze zajść? Gdy o niego chodziło, ten problem granicy stawał się palący — zwłaszcza że i mnie za sobą ciągnął. Zląkłem się. Znów wieczór — i to zaledwie dostrzegalne ulatnianie się światła, pogłębianie się i nasycanie barw ciemniejszych oraz wzmaganie się dziur i zakamarków, które wypełniał sos nocy. Słońce już za drzewami. Przypomniałem sobie, że na ganku zostawiłem książkę, więc poszedłem po nią... i w książce znalazłem kopertę bez adresu, w niej papier niewyraźnie ołówkiem zabazgrany:

„Piszę żeby się porozumieć. Nie chcę być w tym moim zupełnie sam, samopas, samograj.

Kiedy jest się samemu, nie można mieć pewności, że np. się nie zwariowało. We dwóch — co innego. Dwóch daje pewność i obiektywną gwarancję. We dwóch nie ma wariacji!

Nie obawiam się tego. Bo wiem, że nie mógłbym zwariować. Choćbym chciał. To u mnie wykluczone, jestem antywariat. Chcę zabezpieczyć się przed inną rzeczą, może

poważniejszą, to jest mianowicie przed pewną, powiedziałbym, Anomalią, pewnym zwielokrotnieniem możliwości, które następuje gdy człowiek oddala się i schodzi z jednej jedynej, dozwolonej, drogi... Czy pan rozumie? Nie mam czasu na jasne precyzowanie. Gdybym z ziemi robił wycieczkę na jaką inną planetę, lub choćby na księżyc, też wolałbym być z kimś — na wszelki wypadek, żeby moja ludzkość miała się w czym przejrzeć.

Będę pisywał, informując. Ścisłe konfidencjonalne — nieoficjalne — w tajemnicy także przed nami tj. spalić papier i z nikim nie omawiać, nawet ze mną. Jakby nigdy nic. Po co 94 drażnić — kogo, czy siebie? Najlepiej bez ostentacji.

Nawet dobrze, że pan zobaczył to na wyspie. Co dwóch widzi to nie jeden. Ale do diabła cała robota, zamiast żeby to ich podekscytowało i spiknęło, oni na zimno jak aktorzy... dla mnie tylko, na moje żądanie, i jeśli kim się podniecają to mną, nie sobą! Co za pech! Co za pech! Pan wie jak jest, bo pan widział. Ale to nic. My ich w końcu rozpalimy.

Pan widział, ale teraz trzeba by żeby pan Wacława na to zwabił. Niech on zobaczy! Proszę mu powiedzieć tak: 1) Pan spacerując, przypadkowo dojrzał ich rendez-vous na wyspie; 2) uważa pan za swój obowiązek donieść mu; 3) oni nie wiedzą, że pan ich widział. I jutro niech pan go zaprowadzi na spektakl, o to chodzi żeby on ich widział mnie nie widząc, szczegółowo wszystko obmyślę i napiszę, otrzyma pan instrukcje. Koniecznie! To ważne! Zaraz jutro! Musi wiedzieć, musi zobaczyć!

Pyta pan, jaki mam plan? Żadnego planu. Idę po linii napięć, rozumie pan? Idę po linii podnieceń. Mnie teraz zależy, żeby on zobaczył, a także niech oni wiedzą, że zostali zobaczeni. Trzeba zafiksować ich w zdradzie! Potem zobaczymy co dalej.

Proszę załatwić. Proszę nie odpisywać. Listy będę zostawiał na murze, koło bramy, pod cegłą. Proszę palić listy.

A ten drugi, ten Nr 2, ten Józiek, co z nim, jak, w jakiej kombinacji jego z nimi skombinować żeby to wszystko zagrało, zagrało, on przecież nadaje się jak ulał, w głowę zachodzę, nic nie wiem, ale powoli jakoś zadzierzgnie się, splecie, tylko naprzód, tylko dalej! Proszę ściśle wszystko wykonać".

Ten list mnie sparzył! Zacząłem chodzić po pokoju i wreszcie wyszedłem z nim na pole — gdzie powitała mnie senność wzdymającej się ziemi, zręby wzgórz na tle

pierzchającego nieba i wzrastający przednocny napór wszystkich rzeczy. Krajobraz już doskonale znany, o którym wiedziałem że go tu zastanę — ale list wytrącał mnie z krajobrazów, o, list mnie wytrącał i medytowałem, co robić, co robić? Co robić?

Wacław, Wacław — ależ tego za nic bym nie zrobił, to w ogóle nie nadawało się do zrobienia — i przerażające, że mgławica żądry fantastycznej materializuje się w fakt, w konkretny fakt, który miałem w kieszeni, w określone żądanie. Czy jednak Fryderyk nie oszalał? Czy nie byłem mu potrzebny po to tylko, aby szaleństwo jego mogło się mną wylegitymować? Zaiste był to ostatni moment aby zerwać z nim — i miałem przed sobą bardzo proste rozwiązanie, wszak mogłem porozumieć się z Wacławem i Hipolitem... i już widziałem siebie rozmawiającego z nimi: —

Posłuchajcie, kłopotliwa sprawa... Obawiam się, że Fryderyk... cierpi na jakies zaburzenia psychiczne... obserwuję go od dłuższego czasu... no, po tych wszystkich cholernych przejściach nie on pierwszy i nie ostatni... ale w każdym razie trzeba by na to zwrócić uwagę, mam wrażenie że to jakaś mania, mania erotyczna i bodaj na punkcie Heni i Karola... Tak bym mówił. A każde z tych słów wyrzucałoby go poza obręb ludzi zdrowych, czyniło wariatem — i to wszystko mogło być dokonane za jego plecami, przemieniając go w obiekt dyskretnej naszej opieki i dyskretnego dozoru. On nic by o tym nie wiedział — nie wiedząc nie mógłby się bronić — z demona stałby się wariatem, oto wszystko. Ja zaś powróciłbym do równowagi. Jeszcze nie było za późno. Jeszcze nie uczyniłem nic, co by mnie kompromitowało, ten list był pierwszym ucieleśnieniem mego z nim współdziałania... dlatego tak nade mną zaciążył. A zatem trzeba się zdecydować —

i, wracając do domu, gdy drzewa rozlewały się w płamy, zasnute nieokreślonością, której jedyną treścią był mrok, niosłem ze sobą moje postanowienie unieszkodliwienia go i wyrzucenia w sferę zwykłego obłędu. Ale cegła zabieliła się przy bramie — i zajrzałem — a tam już czekał na mnie nowy list.

„Glista! Pan to wie! Pan to zrozumiał! Pan to wtedy na pewno wyczuł, jak ja !

Ta glista to Wacław! Połączyli się na gliście. Połączą się na Wacławie. Depcząc Wacława.

Nie chcą ze sobą? Nie chcą? Zobaczysz Pan, że z Wacława zrobimy dla nich wkrótce łożko, w którym się sparzą.

Trzeba koniecznie wpakować w to Wacława, trzeba 1) żeby on to zobaczył. D.c.n.  
Dalszy ciąg nastąpi".

Zniosłem list na górę, do mego pokoju, tam dopiero go przeczytałem.

Upakarzające, że jego zawartość tak była mi jasna — jakbym sam do siebie pisał.

Tak, Wacław miał być glistą wspólnie rozdeptaną, miał dostarczyć grzechu, uczynić ich grzesznymi, wtrącić w noc rozpalającą. Co właściwie, co stało na przeszkodzie, dlaczego oni NIE CHCIELI ze sobą? Ach, wiedziałem — ale nie wiedziałem — wiadome a nieuchwytnie — jakby młodo wymykające się dorosłej myśli... ale w każdym razie była to jakaś wstrzemięźliwość, jakaś moralność, jakieś prawo, tak, zakaz wewnętrzny, któremu byli posłuszni... więc chyba nie mylił się Fryderyk sądząc że gdy we dwoje stratują Wacława, gdy staną się wyuzdani na Wacławie, to właśnie ich rozkrochmali! Gdy dla Wacława staną się kochankami... kochankami staną się dla siebie. A dla nas, już za starych, oto jedyna możliwość zbliżenia się do nich erotycznego... Wtrącić ich w tę zdradę!

Gdy znajdą się w niej razem z nami, nastąpi zmieszanie i zespolenie! Ja to rozumiałem! I wiedziałem też, że grzech ich nie oszpeci, przeciwnie, ta młodość i świeżość będą potężniejsze gdy staną się czarne, ściągnięte przejrzałymi rękami naszymi w zepsucie i złączone z nami. Tak! Ja to wiedziałem! Dość już młodości potulnej i zwyczajnie wdzięcznej — tu szło o wytworzenie innej młodości, tragicznie nami, starszymi, przenikniętej.

Entuzjizm. Czyżby mnie to nie entuzjasmowało? Ależ tak, ależ bez kwestii. Ja będący już poza pięknnością, wykluczony z migotliwej sieci oczarowania — i nieczarujący, nie umiejący zjednać sobie, obojętny naturze... ha, jeszcze byłem zdolny do zachwyty, ale wiedziałem, że zachwyt mój już nigdy nie będzie zachwycający... więc uczestniczyłem w życiu jak zbity pies i pies parszywy...

Gdy jednak w tym wieku zdarzy się okazja otarcia się o kwitnienie, wejścia w młodość, choćby kosztem deprawacji i gdy okazuje się, że brzydota może być zużytkowana, wchłonięta przez pięknność... Pokusa, unicestwiająca opory, wprost nie do odparcia! Entuzjizm, tak, szął nawet i dławiący — ale z drugiej strony...

Ale przecież !^ Ale jakżeż! Nie! Zbyt obłudne! Tego się nie robi! Zanadto własne — zanadto prywatne i odrębne — i bez prece4 Pornografia densów! I wejść na tę drogę



demoniczną, osobną, z nim, z istotą, której się lękałem, ponieważ wyczuwałem ją jako krańcową, wiedziałem, że musi zaprowadzić za daleko!

I, niczym Mefistofeles, niszczyć Wacławowi miłość? Nie, fantazjo podła i głupia! Nie dla mnie! Za nic! Więc co? Wycofać się, pójść do Hipolita, Wacława, zrobić z tego casus kliniczny, diabła przemienić w wariata, piekło w szpital... i już chciałem iść aby, jak szczypcami, ująć w karby to rozwydrzenie, które grasowało.

Grasowało? Gdzie? Co robił w tej chwili? To że on w tej chwili robi coś — o czym ja nie wiem — poderwało mnie jak sprężyna, wyszedłem na dwór, psy mnie obskoczyły — nikogo, tylko dom, z którego się wyłoniłem — zaistniał przede mną i stał obok, jak rzecz. Okna kuchenne oświetlone. Na pierwszym piętrze okno Siemiana (zapomniałem o nim). Ja przed domem, przewiercony naraz dystansem rozgwieźdzonego sklepienia i zgubiony wśród drzew. Zawahałem się, zachybotalem, a tam dalej była brama, przy niej cegła, i poszedłem do niej, jakbym spełniał obowiązek, poszedłem, a gdym już był blisko, rozejrzałem się... czy on się nie czai gdzieś w krzakach. Pod cegłą — nowy list. A to się rozpisal!

„Czy pan jasno rozumie dobrze? Ja już coś tam spenetrowałem.

1) ZAGADKA : dlaczego oni ze sobą nie?... Co? Pan wie? Ja wiem. To byłoby zbyt PEŁNE dla nich. Zbyt CAŁKOWITE.

NIEPEŁNOŚĆ — PEŁNIA, oto klucz! Boże wielki! Ty jesteś Pełnią! Ale to piękniejsze od Ciebie i ja Ciebie wyrzekam się niniejszym.

2) ZAGADKA : dlaczego do nas się garną? Dlaczego z nami flirtują?

Bo oni między sobą nami chcą. Nami. A także — Wacławem. Nami, panie Witoldzie, drogi mój, nami, nami. Oni muszą poprzez nas. Dlatego nas kokietują!

Widział pan kiedyś coś podobnego? Że my im jesteśmy po-98 trzebni do tego?

3) Pan wie, co jest groźne? Że ja jestem w pełni mego rozwoju duchowointelektualnego, a znajduję się w rękach lekkich, niecałkowitych, dopiero wzrastających. Boże! Oni jeszcze rosna! Oni lekko, lekko, powierzchownie wprowadzą mnie w coś, co ja będę musiał wyczerpać całkowicie myślowo i uczuciowo. Podadzą mi lekko-lekkomyślnie puchar, który będę musiał wychylić do ostatniej kropli...

Zawsze wiedziałem że co's takiego mnie czeka. Ja jestem Chrystus, rozpięty na 16-letnim krzyżu. Pa! Do zobaczenia na Golgocie. Pa!".

A to się rozpisiał! Znów siedziałem przy lampie w pokoju na górze: zdradzić go? Wydać? Lecz w takim razie i siebie musiałbym zdradzić i wydać!

I siebie!

Nie tylko jego było to wszystko. To było także moje. Z siebie zrobić wariata?

Zdradzić w sobie jedyną sposobność wejścia, wejścia... w co? W co? W co?! Co to było? Zawołano mnie z dołu na kolację. Gdy znalazłem się w tym codziennym układzie, jaki tworzyliśmy przy stole, wszystkie sprawy otaczające, wojna i Niemcy, wieś i kłopoty, powróciły i uderzyły we mnie... ale uderzyły jak z obcości jakiejś... i już nie były moimi.

Fryderyk też siedział tutaj, na swoim miejscu — i rozprawiał, jedząc pierożki z sera, o sytuacji na frontach. I kilkakrotnie zwrócił się do mnie, zapytując o zdanie.

10.

Wtajemniczenie Wacława odbyło się ściśle według programu. Nic nieprzewidzianego nie skomplikowało wtajemniczenia, które miało przebieg gładki i spokojny.

Powiedziałem, że „coś chcę mu pokazać”. Zaprowadziłem nad kanał, na miejsce wyznaczone, skąd przez lukę w drzewach można było oglądać scenę. W tym miejscu kanału woda była dość wysoka — konieczna ostrożność aby nie wdarł się na wyspę i nie odkrył obecności Fryderyka. Pokazałem.

Scena, którą obmyślił Fryderyk na jego cześć, była następująca: Karol pod drzewem; ona tuż za nim; oboje z zadartymi głowami, wpatrzeni w coś na drzewie, może w ptaka. I on podniósł rękę. Ona podniosła rękę.

Dłonie ich, wysoko ponad głowami, splotły się „mimowolnie”. A, gdy się splotły, uległy ściągnięciu w dół, szybkiemu i gwałtownemu. Oboje przez chwilę, schyliwszy głowy, przyglądali się swoim rękom. I niespodziewanie upadli, nie było właściwie wiadomo kto kogo przewrócił, wyglądało, jakby to j ręce przewróciły ich.

Upadli i przez moment leżeli razem, ale natychmiast zerwali się..., i znowu stali, jakby nie wiedzieli, co mają począć. Powoli ona odeszła, on za nią, zniknęli za krzakami.

Scena wymyślna w swojej pozornej prostocie. W tej scenie prostota owego połączenia rąk doznawała nieoczekiwanego wstrząsu — to rzucenie się na ziemię — naturalność

ulegała prawie konwulsyjnej komplikacji, odchyleniu od normy tak gwałtownemu, że przez sekundę wydawali się marionetkami w mocy żywiołu. Ale był to tylko moment i ich powstanie, ich spokojne odejście, kazały się domyślać, że już byli do tego' przyzwyczajeni... Jakby to nie pierwszy raz im się zdarzyło. Jakby to znali.

Wyziwy kanału. Wilgoć duszna. Nieruchome żaby. Była piąta, ogród był znużony. Upał.

— Dlaczego pan mnie tu przyprowadził? Zadał to pytanie, gdyśmy wracali do domu. Odpowiedziałem.

— Uważałem to za swój obowiązek. Zastanowił się.

— Dziękuję panu.

Kiedy byliśmy już blisko domu, powiedział: — Nie przypuszczam żeby to... miało większe znaczenie... Ale w każdym razie dziękuję, że pan mi zwrócił uwagę...

Pomówię z Henią.

Nic więcej. Poszedł do swego pokoju. Pozostałem sam, rozczarowany, jak zawsze bywa, gdy coś się urzeczywistnia — albowiem urzeczywistnianie jest zawsze mętne, nie dość wyraziste, pozbawione wielkości i czystości zamierzenia. Po dokonaniu zadania stałem się nagle bezrobotny — co robić z sobą? — wypróżniony faktem, który urodziłem. Ściemniało się. Znów się ściemniało. Wyszedłem na pole i szedłem miedzą, z pochyloną głową, byle iść, a ziemię miałem pod stopami zwyczajną, cichą i pocziwą. Wracając zajrzałem pod cegłę, ale nic na mnie nie czekało, cegła tylko — ciemna od wilgoci, chłodna. Kroczyłem drogą przez dziedziniec do domu i zatrzymałem się, niezdolny tam wejść, w obręb odbywającej się w nim sprawy. Lecz w tej samej chwili upał ich spleceń, ich krwi wczesnej i zbudzonej, splot, uścisk ich, wywalił się na mnie takim gorącem, że wywalając drzwi wpadłem do domu aby dalej urzeczywistnić! Wtargnąłem! Lecz tutaj oczekiwał mnie jeden z tych nagłych zwrotów, które, bywało, zaskakiwały...

Hipolit, Fryderyk i Wacław w gabinecie — zawołali na mnie.

Ja, podejrzewając że ta sesja pozostaje w związku ze sceną na wyspie, zbliżyłem się ostrożnie... ale coś mnie ostrzegło, że to z innej beczki. Hipolit siedział za biurkiem, osowiały, i wytrzeszczył na mnie oczy. Wacław chodził po pokoju.

Fryderyk na pół leżał na fotelu. Milczenie. Rzekł Wacław:

— Trzeba powiedzieć panu Witoldowi.

— Chcą zlikwidować Siemiana — wyjaśnił jakoś pobieżnie Hipolit.

Jeszcze nie rozumiałem. Zaraz nastąpiło wytłumaczenie, osadzające mnie w nowej sytuacji — i znów zaleciało teatralną sztampą patriotycznej konspiracji — a od tego wrażenia chyba i Hipolit nie był wolny, bo zaczął mówić szorstko, nawet jakby z łaski. I surowo. Dowiedziałem się, iż w nocy Siemian „widział się z osobami przybyłymi z Warszawy” w celu ustalenia szczegółów pewnego działania, które miał poprowadzić w okolicy. Ale w toku tej rozmowy wydarzyła się „heca, panie”, gdyż jakoby Siemian miał powiedzieć, że ani tej akcji, ani żadnej innej, już nie poprowadzi, oraz że wycofuje się raz na zawsze z konspiracji i „wraca do domu”. Heca, rzeczywiście! Powstał gwałt, zaczęli naciskać, w końcu już bardzo zdenerwowany wyrzucił z siebie, że zrobił co mógł \Q\

i więcej nie może — że „odwaga mu się wykończyła” — „odwaga mu się w strach przemieniła” — że „dajcie mi spokój coś mi się zepsuło, we mnie trwoga poczęła się, sam nie wie: jak” — że już nie nadaje się, że byłoby lekkomyślnością wierzenie mu czegokolwiek w tych warunkach, że lojalni o tym uprzedza i prosi o zwolnienie. Tego już było za dużo. W gwałtownej wymianie zdań nerwowych zaczęło rodzić się podejrzenie z początku niejasne, potem coraz ostrzejsze, że Siemian zwariował, albo przynajmniej jest zupełnie nerwowo wykończony — i wtedy uderzyła fala paniki, że pewien inny sekret, jaki w nim ulokowano, jest niepewny i już nie można mieć pewności, czy nie sypnie... a to ze względu pewne okoliczności postronne, przybrało postać katastrofy klęski, prawie końca świata i tak w tym stężeniu, naciskuj napięciu wystrzeliła w końcu przerażona i przerażająca de cyzja uśmiercenia, natychmiastowej likwidacji. Hip opowiada! że chcieli od razu iść za Siemianem do jego pokoju i zastrzelić — ale że wybłagał zwłokę do nocy następnej tłumacząc że trzeba technicznie rzecz opracować z uwagi na bezpieczeństwo nas, domowników. Zgodzili się na odroczenie, nie dłużej wszakże niż na dobę.

Bali się, że zwącha co mu grozi i ucieknie Powórna zresztą najlepiej nadawała się do ich zamysłu, gdy: Siemian przybył tu w najgłębszej tajemnicy i nikt by go tuta nie szukał. Stańło na tym, że powrócą dzisiejszej nocy „załatwić”.

Dlaczego ta prawda walki naszej z wrogiem i najeźdźca musiała objawiać się w stroju tak jaskrawym — i do jakiego; stopnia było to rozwścieczającoupokarzające! — jak z teatru marnego — choć przecież była w tym krew, była śmierć i najprawdziwsza?

Zapytałem aby lepiej zrozumieć — przy zwyczaję się do nowego położenia: — Co on robi teraz Hipolit udzielił mi odpowiedzi:

— Na górze. W pokoju. Zamknął się na klucz. Proszę o konie, upiera się żeby wracać. Przecie nie mogę dać ko:

I szepnął do siebie:

•; — Przecie nie mogę dać koni.

•;'.< Bez wątpienia, nie mógł. Inna rzecz, że tego tak się ułatwiało — wykańczać człowieka bez sądu, bez formalności, bez żadnego papierka?

Ale to nie do nas należało. Rozmawialiśmy jak ludzie na których spadło nieszczęście. Gdy jednak zapytałem, co zamierzają robić, spotkała mnie odpowiedź prawie ordynarna. — Co pan chce? Nie ma o czym gadać! Musi być zrobione! Ton Hipolita wyjawiał piorunującą zmianę w naszych stosunkach. Przestałem być gościem, byłem na służbie, wsadzony wraz z nimi w ostrość, w okrucieństwo, które zwracało się tyłem przeciw nam co przeciw Sie-mianowi. Cóż on nam zawinił?

Nagle, z pieca na łeb, należało zarzynać go z narażeniem własnego karku.

— Póki co nie ma nic do roboty. Mają wrócić o wpół do pierwszej. Stróża wysłałem do Ostrowca, niby z pilnym sprawunkiem, psy nie będą spuszczone. Ja tylko ich zaprowadzę do niego, na górę, i niech robią co chcą. Tylko za warunek postawiłem żeby bez hałasu, bo cały dom gotów się zbudzić. Co do ciała, to usunie się...

już to obmyśliłem, w szopie. A jutro ktoś z nas niby to odwiezie Siemiana na stację i kwita. Byle po cichutku, można to gładko załatwić i żywa dusza nie będzie wiedziała.

Fryderyk zapytał: — W tej starej szopie, za wozownią?

Zapytał rzeczowo, jak spiskowiec, jak wykonawca — i, mimo wszystko, doznałem ulgi widząc go tak zmobilizowanym — niczym pijak wzięty w rekruty. Czy już pić nie mógł? I naraz ta nowa awantura wydała mi się czymś zdrowym i o wiele przyzwoitszym, niż dotychczasowe nasze poczynania. Ale to uspokojenie moje trwało niedługo.

Zaraz po kolacji (spożytej w- nieobecności Siemiana, który już od kilku dni był „niezdrow” — jedzenie posyłano mu na górę) poszedłem na wszelki wypadek do bramy, a tam pod cegłą bielił się papier.

„Jest komplikacja. To nam wlało w paradę.

Trzeba odczekać. Cicho sza.

Trzeba zobaczyć jak i co. Jak się potoczą wypadki. Jeżeli będzie granda i trzeba będzie wiać, my np. do Warszawy, oni gdzie indziej, no, trudno — wtedy wszystko rozsypie się. Trzeba znać starą k... Wie pan o kim myślę? Ona tj. Natural Jeśli Ona naciśnie z boku czymś takim niespodziewanym, ra<j trzeba protestować, opierać się, trzeba posłusznie, potulni^ zastosować się, faire bonne mine... ale wewnątrz nie po\ puszczając, nie tracić z oczu naszego celu, w ten sposób aby Ona wiedziała, że jednak mamy inny, własny cel. Ona bywa z początku w swoich interwencjach b. stanowcza, zdecydowana etc. ale potem jak gdyby przestaje ją to interesować, folguje i wtedy można po kryjomu wrócić do własnej roboty i nawet wtedy można liczyć na pobłażliwość... Uwaga! Niech pan reguluje swoje zachowanie wg. mego.

Żeby nie było sprzeczności. Będę pisał. Ten list spalić koniecznie”.

Ten list... Ten list, który bardziej jeszcze niż poprzedni był listem wariata — ale ja tak doskonale rozumiałem to szaleństwo. Ono było dla mnie tak czytelne!

Ta taktyka, jaką uprawiał w stosunkach swoich z naturą — ależ nie była mi obca!

I było jasne, że nie spuszcza z oka swojego celu, to było pisane, żeby nie ustąpić, zaznaczyć że się jest wciąż wiernym swemu zamierzeniu, ten list, udający uległość, był jednocześnie wezwaniem do oporu i uporu. I kto wie, czy do rnie był pisany, czy do Niej — żeby wiedziała, iż nie zamierzamy ustąpić — on poprzez mnie z Nią rozmawiał. Zastanowiłem się, że każde słowo Fryderyka, podobnie jak każdy czyn jego, tylko na pozór odnosiły się do tego, do kogo były skierowane, a w rzeczywistości były niez mordowanym dialogiem jego z Mocami...

dialogiem chytrym, gdzie kłamstwo służyło prawdzie, prawda — kłamstwu. Och, jak on udawał w tym liście, że pisze w tajemnicy przed Nią — gdy naprawdę pisał, żeby Ona się dowiedziała! I liczył na to, że rozbroi Ją ta chytrość — może rozśmieszy...

Reszta wieczoru zeszła nam na oczekiwaniu. Spoglądaliśmy po kryjomu na zegarki.

Lampa za ledwie oświetlała pokój. Henia, jak co wieczór, przycupnęła przy Wacławie, on, jak zwykle, objął ją, ja zaś odkryłem, że „wyspa”

nic zupełnie nie zmieniała w jego uczuciach. Nieprzenikniony, siedział przy niej, a ja głowiłem się o ile wypełniony jest Siemianem, a o ile może go dosięgać ruch i hałas Karola, który coś tam przewracał i porządkował w skrzyniach. Pani Maria szyla (podobnie jak i „dzieci” nie była dopuszczona do sekretu). Fryderyk z nogami, wyciągniętymi, z rękami na poręczach fotela.

Hipolit na krześle, zapatrzone. Podniecenie nasze spowite było zmęczeniem.

Wyodrębnieni Siemianem, tym tajnym zadaniem naszym, my, mężczyźni stanowiliśmy osobną grupę. Ale zdarzyło się, że Henia zapytała: — Co ty wyprawiasz z tymi rzeczami, Karol? — Nie nudź! — odpowiedział. Głosy ich rozległy się in blanco, nie wiedzieć co oznaczające i o niewy-wyjaśnionym działaniu — my ani drgnęliśmy.

Okolo jedenastej oni poszli spać wraz z panią Marią, a my, mężczyźni, zaczęliśmy się krzątać. Hipolit przygotował łopaty, worek, sznury, Fryderyk na wszelki wypadek opatrzył broń, ja z Wacławem dokonaliśmy inspekcji na dworze. Okna domu zgasty oprócz jednego na piętrze — Siemianowego — bijącego poprzez firankę bladym oparem światła i trwogi, trwogi i światła. Jak to mogło być, że jemu tak nagle odwaga przemieniła się w strach? Co się stało z tym człowiekiem, że tak z pieca na łeb się załamał? Z wodza przetrworzyć się w tchórza? Proszę! Proszę! Co za przygoda!

Znienacka dom wydał mi się wypełniony dwiema odrębnymi możliwościami szaleństwa, z Siemianem na pierwszym piętrze, z Fryderykiem na parterze (wiodącym swoją grę z naturą)... obaj byli w jakiś sposób przyparci do muru, doprowadzeni do ostateczności. Powróciwszy do domu omal nie roześmiałem się głośno na widok Hipolita, który oglądał dwa noże kuchenne i próbował ich ostrza. Boże! Ten zacny grubas, przemieniony w mordercę i sposobiący się do zarzynania, był jak z farsy — i naraz partactwo naszej przyzwoitości, wpakowanej w mord i tak nieudolnej, uczyniło z tego przedstawienie grane przez trupę amatorów i bardziej zabawne, niż groźne.

Zresztą było to robione na wszelki wypadek, nie miało decydującego charakteru. A jednocześnie błysk noża poraził, jak coś nieodwołalnego : już kości były rzucone, już się pojawił nóż!

Józio!... i oczy Fryderyka, wbite w nóż, nie pozwalały wątpić, że o tym myśli. Józio... Nóż... Identyczny z tam nożem, od pani Amelii, ten sam prawie, i tu między nami ach, ten nóż nawiązywał do tamtej zbrodni, wywoływał ją, był niejako jej powtórzeniem a priori — już tutaj, już teraz, zawieszony w powietrzu — dziwna co najmniej analogia, znamienne powtórzenie.

Nóż. Wacław także przyglądał mu się z natężeniem — i tak te dwa umysły, Fryderyk i Wacław, dopadły tego noża i już pracowały nad nim. Byli jednak na służbie, w działaniu — zamknęli to w sobie — nadal oddawaliśmy się przygotowaniom i oczekiwaniu.

Robota, którą trzeba było odrobić — ale jakżeż już byliśmy zmęczeni, zbrzydzeni, melodramatem Historii, jak spragnieni odświeżenia! Po północy Hipolit udał się po cichu na spotkanie z Akowcami. Wacław poszedł na górę pilnować drzwi Siemiana — zostałem na dole z Fryderykiem i nigdy sam na sam z nim nie przygniotło mnie takim ciężarem. Wiedziałem, że ma coś do powiedzenia — lecz mówienie było nam wzbronione — więc milczał — i, choć nikogo nie było i nikt nie mógł podsłuchać, zachowywaliśmy się jak ludzie obcy, a ta ostrożność wywoływała właśnie z nicości jakąś trzecią obecność niewiadomego charakteru, coś nieuchwytnego a nieustępliwego. I jego twarz — tak mi już bliska, twarz współnika — a jak zamurowana przede mną... Jeden obok drugiego byliśmy jeden obok drugiego i nie tylko byliśmy i byliśmy, póki ciężkie stapanie i sapanie Hipolita nie ozwały się, powracające. Był sam. Co się stało? Komplikacja! Coś nawaliło. Coś się pokręciło. Popłoch. Ci, co mieli się stawić, nie przybyli. Zjawił się ktoś inny i już odjechał. A co do Siemiana — powiedział Hip — to...

— Nie ma rady, my to będziemy musieli sami załatwić. Oni nie mogą, muszą wiać. Taki jest rozkaz.

Co?! Ale ze słów Hipolita parł na nas przymus, rozkaz, pod żadnym pozorem nie można go puścić, zwłaszcza teraz, od tego zależy los wielu ludzi, nie można ryzykować jest nakaz, nie, nie na piśmie, nie było czasu, w ogóle nie ma czasu, szkoda gadać, musi być zrobione! Nam zostało zlecone! Tak wyglądał ten rozkaz, brutalny, paniczny, zrodzony w okolicach nie zn\*anego nam naprężenia. Podać go w wątpliwość? To by przerzuciło na nas odpowiedzialność za wszystkie następstwa, a te



mogły być katastrofalne, przecież nie chwymano by się tak drastycznych środków bez powodu. I opór z naszej strony mógł wyglądać na szukanie wykrętów — gdy my domagaliśmy się od siebie pełnej gotowości. Więc nikt nikomu nie mógł pozwolić nawet na pozór słabości i gdyby Hipolit zaprowadził nas od razu do Siemiana, prawdopodobnie załatwilibyśmy to z rozpędu. Ale ta niespodziewana komplikacja dawała nam pretekst do odłożenia działania do następnej nocy, wszak trzeba było rozdzielić role, przygotować, zabezpieczyć... i stało się jasne, że jeśli można odłożyć to trzeba odłożyć... więc mnie zlecono pilnowanie drzwi Siemiana do świtu, po czym miał mnie zluzować Wacław, i powiedzieliśmy sobie dobranoc gdyż byliśmy jednak osobami dobrze wychowanymi. Hipolit oddalił się do sypialni, zabierając lampę, a my zatrzymaliśmy się jeszcze na chwilę przy schodach wiodących na piętro, gdy postać czyjaś przesunęła się w ciemnej amfiladzie pokój ów. Wacław miał latarkę, wypuścił świetlisty słup. Karol. W koszuli.

— Gdzie byłeś? Co robisz po nocy? — krzyknął z cicha Wacław, nie mogąc opanować nerwów.

— Byłem w łazience.

To mogło być prawdą. I zapewne. Wacław nie wydałby niespodziewanie jęku tak przejmującego, gdyby nie to, że wyłaniał sobie Karola światłem własnej swej latarki. Ale wyłoniwszy, zajęczał głośno, prawie nieprzyzwoicie. Zaskoczył nas tyrn jękiem. Niemniej zaskoczył niebywale ordynarny i wyzywający ton Karola.

— Czego pan chce?

Był gotów do bitki. Narzeczony natychmiast zgasił latarkę. — Najmocniej przepraszam — usłyszeliśmy w ciemnościach. — Ja tylko tak zapytałem.

I odszedł szybko, po ciemku.

Nie potrzebowałem wychylać się z mego pokoju aby stróżować Siemiana — mieszkaliśmy przez ścianę. Było cicho u niego, ale lampy nie zgasił. Wolałem się nie kłaść z obawy, że zasnę, zasiadłem przy stole, a jeszcze pulsował mi w głowie rytm rozpędzonego biegu wypadków, z którym nie mogłem dać sobie rady — gdyż nad materialnym potokiem faktów unosiła się sfera mistyczna akcentów i znaczeń, jak blask słoneczny nad wirem wodnym. Z godzinę tak siedziałem, wpatrzony w nurt

błyskotliwy, i zauważyłem na koniec papier, który mnie oczekiwał, wciśnięty w szparę drzwi.

s „A propos ostatniego śpięcia W — K. Jak wystrzeliła złość. \ K. byłby go pobił!

Oni już wiedzą, że on ich widział. To dlatego.

Już wiedzą, bo im powiedziałem. Powiedziałem, że pan mi powiedział, że Wacław panu powiedział — że przypadkowo zobaczył to na wyspie. Ze ujrzał ich (nie mnie) spacerując po ścieżce, przypadkiem.

Jak łatwo się domyślić, roześmieli się tj. roześmieli się wspólnie, bo powiedziałem obojgu naraz, a oni, będąc razem, musieli się roześmiać... bo razem i do tego wobec mnie! Teraz już są ZAFIKSOWANI jako roześmiani dręczyciele W. To znaczy o tyle, o ile są razem, w parze, jako para — bo pan widział przecie przy kolacji, ona, jako ona tylko, tj. pojedynczo, pozostaje wierna narzeczonemu swemu. Ale we dwoje śmieją się z niego.

A teraz NÓŻ :

Ten nóż stwarza związek S (Siemian) — S l (Skuziak).

Z czego dalej: (SS1) — W. Poprzez A, poprzez zamordowanie Amelii.

Co za chemia! Jak wszystko się łączy! To jeszcze niewyraźne połączenia, ale już widać, że istnieje SKŁONNOŚĆ w tym kierunku... I pomyśleć, że ja nie wiedziałem co zrobić z tym Skuziakiem — a tu teraz on sam włazi tym NOŻEM. Ale ostrożnie. Żeby nie spłoszyć! Nie trzeba forsować... nie trzeba narzucać się, płynmy z prądem jakby nigdy nic, a tylko wyzyskując każdą sposobność żeby przybliżyć się do naszego celu.

Trzeba współdziałać w Hipa akcji podziemnej. Nie zdrad-108 dzając, że nasza akcja podziemna jest inna. Niech pan zachowuje się, jakby pan tkwił, w walce narodowej, w AK, w dylemacie Polska-Niemcy, jakby o to chodziło... gdy naprawdę nam chodzi aby HEŃKA Z KAROLEM Ale tego nie można objawiać. Tego nie trzeba zdradzić przed nikim. O tym ani mru-mru. Nikomu. Nawet do siebie. Nie trzeba tego podsuwać — proponować. Cicho!

Niech samo robi...

Potrzeba odwagi i uporu, bo musimy po cichu upierać się przy swoim choćby to wyglądało na lubieżne świństwo. Świństwo przestanie być świństwem, jeśli przy nim

się uprzemy! Musimy przeć naprzód, bo, jeśli pofolgujemy, świństwo nas zatopi.

Niech pan nie daje się wytrącić — nie zdradza! Nie ma odwrotu.

Kłaniam się. Uszanowanie. Niech pan to spali".

„Niech pan to spali" — rozkazywał. Ale już zostało napisane. „CHODZI O TO ABY HEŃKA Z KAROLEM" :..

Do kogo to było skierowane? Do mnie? Czy do Niej, do natury?    "-• ~'- '

Ktoś zastukał do drzwi.    •

— Proszę. Wszedł Wacław.

— Czy mogę z panem pomówić?

Ustałem mu krzesła, na którym usiadł. Ja siadłem na łóżku.

— Bardzo przepraszam, wiem, że pan zmęczony. Ale właśnie przed chwilą przekonałem się, że nie będę mógł oka zmrużyć póki nie rozmówię się z panem.

Inaczej niż dotąd. Bardziej szczerze. Mam nadzieję, że nie weźmie mi pan za złe.

Pan domyśla się o co chodzi. O... o to na wyspie.

— Niewiele mógłbym panu...

— Ja wiem. Wiem. Proszę darować że przerwałem. Wiem że pan nic nie wie. Ale chcę wiedzieć", co pan myśli. Nie mogę dać sobie rady z moimi myślami. Co pan o tym myśli? Co pan — myśli ? — Ja? Cóż ja mogę myśleć? Ja tylko pokazałem to panu, uważając za swój obo...

— Oczywiście. Bardzo jestem zobowiązany. Nie wiem doprawdy, jak dziękować. Ale chciałbym poznać pański punkt widzenia. Może naprzód ja przedstawię mój punkt widzenia Według mnie to nic nie jest. To nic ważnego — bo znają się od dzieciństwa i... Więcej w tym głupoty niż... W tym wieku zresztą! Zapewne w latach poprzednich coś tam między nimi., było... może takie na pół dziecinne, wie pan, zaczepki i poufałości, i to przybrało nieco specyficzną formę —

dziwacz? na, co? I teraz do tego czasem wracają. Taka początkująca pączkująca zmysłowość. A także jest dopuszczalne pewne złudzenie optyczne, bo patrzyliśmy z daleka, zza krzaków Nie mogę wątpić o uczuciach Heni. Nie mam prawa. Nis mam podstawy. Wiem, że mnie kocha. Jak mógłbym w ogoli porównywać naszą miłość z takimi... dzieciństwami. Bezsensownymi !

Ciało! Siedział wprost przede mną. Ciało! Był w szlafroku — był z ciałem swoim zażywnym, wychuchanym, pulchi nawym i białawym, toaletowym i szlafrokowym! Siedzi; z tym ciałem, jak z walizką, czy nawet z neseserem. Ciało!] Ja, rozwścieczony ciałem i przez to cielesny, przypatrywałem: się kpiąco i kpiłem sobie na całego, prawie pogwizdując, krzty litości. Ciało!

— Może pan mi wierzyć, albo nie wierzyć, ale naprawdę nie byłbym się tym przejął... Tylko że... jedna rzecz mnie meczy. I nie wiem, może to złudzenie...

Dlatego chciałbym zapytać. Z góry przepraszam, jeśli to będzie trochę...

fantastyczne. Przyznam się, że nawet nie wiem jak powiedzieć. To co oni robili... wie pan, upadli tak z nagła, potem wstali... zgodzi się pan, że to było... dość szczególne.

Tego tak się nie robi!

Zamilkł i przełknął ślinę, i zawstydził się, że przetyka.

— Takie pan miał wrażenie?

— To nie odbywało się normalnie. Wie pan, gdyby oni całowali się — ale zwyczajnie... Gdyby on, powiedzmy, prze-^ wrócił ją — zwyczajnie. Gdyby nawet zwyczajnie posiadał vV moich oczach. To wszystko mniej by mnie... speszyło... diż ta... dziwność...

dziwność tych ruchów...

Ujął mnie za rękę. Spojrzał w oczy. Ścierpłem ze wstrętu. [ zniechęciłem.

— Proszę mi szczerze powiedzieć, czy mam rację? A może nie zobaczyłem tego tak, jak trzeba? Może dziwactwo jest We mnie? Sam nie wiem. Proszę powiedzieć!

Ciało!

Ukrywając skrzętnie złośliwość lekkomyślną, ale bezlitosną, powiedziałem — właściwie nic — ale nic dolewające oliwy do ognia: — Bo ja wiem...

Rzeczywiście... Może do pewnego stopnia...

— Ale ja nie wiem, jaką mam do tego przywiązywać wagę?! Czy to jest coś — istotnego? I jak dalece? Przede wszystkim niech pan mi powie: czy pan nie sądzi że ona i on?...

— Co?

— Przepraszam! Mam na myśli sex-appeal. To co nazywamy sex-appeal. Kiedy ich zobaczyłem razem po raz pierwszy... to było przed rokiem... od razu mi wpadło w

oczy. Sex-appeal. Pociąg. Pociąg płciowy. On i ona. Ale wtedy jeszcze nie myślałem na serio o Heni. A potem, kiedy ona obudziła we mnie uczucie, tamto przeniosło mi się na drugi plan, wobec uczucia mojego stało się bez znaczenia i przestałem zwracać uwagę. Dziecinne przecież! Dopiero teraz...

Odetchnął.

— Teraz boję się, że to może — gorsze od wszystkiego, co ja byłbym w stanie sobie wyobrazić. Wstał.

— Rzucili się na ziemię... nie tak, jakby powinni się rzucić. A wstali zaraz — też nie tak. I odeszli też nie tak... Co to jest? Co to znaczy? Tego tak się nie robi!

Usiadł.

— Co? Co? Na czym to polega? Spojrzał.

— Jak mi to wykręca wyobraźnię! Niech pan powie! Niech pan w końcu coś powie! Niech pan mnie nie zostawia samego z tym! — Uśmiechnął się blado. — Proszę darować. J5 A więc i ten szukał mego towarzystwa i wołał „nie być w tym sam” — zaiste, miałem powodzenie!

Lecz, w przeciwnieństwie do Fryderyka, błagał żeby nie potwierdzać mu szału i z biciem serca oczekiwał mego zaprzeczenia, spychającego wszystko w sferę chimery. Ode mnie zależało — czy uspokoić go... Ciało! Gdy by ż przemawiał do mnie jako dusza tylko! Ale ciało! I ta lekkość moja! I na to, żeby osadzić go na stałe w piekle, nie potrzebowałem się wysilać, wystarczyło, jak poprzednio, bąknąć kilka słów niewyraźnych: „Muszę przyznać... Chyba... Trudno mi powiedzieć... Być może...;: Powiedziałem. Odrzekł:

— Kocha mnie i wiem na pewno, że mnie kocha, ona mnie kocha!

Bronił się, mimo wszystko.

— Kocha? Nie wątpię. Ale czy pan nie uważa, że między nimi miłość jest zbędna. Miłość potrzebna jej z panem, nie z nim.

Ciało!

Długi czas nic nie mówił. Siedział po cichu. Ja też siedziałem i milczałem.

Objęła nas cisza. Fryderyk? Czy spał? A Siemian? A Józiek w szpiarni? Cóż on?

Czy śpi? Dom był jak zaprzężony w wiele koni, z których każdy w inną stronę wrywał.

Uśmiechnął się z zażenowaniem.

— To rzeczywiście przykre — rzekł. — Niedawno ub<sup>^</sup> mi matka. A teraz...

Zastanowił się.

— Naprawdę nie wiem jak przeprosić za to najście po nocy. Było mi z sobą — niemożliwie. Chcę panu jeszcze coś powiedzieć, jeśli pan pozwoli. Zależy mi, żeby to zostało powiedziane. To co powiem będzie... takie. Niech pan posłucha.

Mnie samego nieraz dziwi, że ona... do mnie coś czuje. Jeśli o moje uczucie idzie — co innego. Ja czuję do niej to, co czuję, bo ona jest do miłości stworzona, jest dla miłości, żeby ją kochano. Cóż jednak ona mogła we mnie pokochać? '

Moje uczucie, moją miłość do niej? Nie, nie tylko, ona i mnie samego także kocha — ale dlaczego? Ale co kocha we mnie?. Pan przecież widzi, jaki jestem. Nie mam, złudzeń, ja sobie niezbyt się podobam i naprawdę nie wiem, nie mogę zrozumieć, że ona coś we mnie sobie upatrzyła, a nawet, przyznam się, to mnie razi, jeśli miałbym jej coś do zarzucenia, to właśnie że mnie... przyjmuje tak łaskawie. Czy uwierzy pan, że w chwilach najgorętszej ekstazy ja mam jej za złe tę właśnie ekstazę, to, że ona ze mną jej się oddaje? I nigdy nie mogłem poczuć się z nią swobodnie, zawsze to dla mnie była jakaś łaska, koncesja udzielona mi, musiałem nawet zdobyć się na cynizm, żeby wykorzystać to „udogodnienie”, to takie dobrotliwe urządzenie natury. Dobrze. Z tym wszystkim jednak — ona mnie kocha. To fakt. Niezasłużone czy zasłużone, udogodnienie czy nieudogodnienie, ona mnie kocha.

— Kocha. Niewątpliwie.

— Niech pan czeka! Wiem co pan chce powiedzieć: że tamto jest poza miłością, w innej dziedzinie. Prawda! Wskutek tego właśnie ta przygoda, jaka mnie spotyka, jest... niemoralnie barbarzyńska, wyjątkowo wyszukana w swojej złośliwości — aż trudno zrozumieć jakim cudem diabelskim to stać się mogło. Gdyby zdradzała mnie z innym mężczyzną...

— Moja narzeczona puszcza się z kimś takim — rzekł nagle innym tonem i spojrzał na mnie. — Co to znaczy? I jak ja mogę się bronić? Co mam robić?

— Puszcza się z kimś poza... — uzupełnił — i w dziwnym sposobie... wyłącznym... niespotykanym... który mnie dotyka, przenika, wie pan, bo wyczuwam ten smak, chwytam to... Czy pan uwierzy, że ja na podstawie tej próbki, cośmy oglądali,

zrekonstruowałem myślowo wszystko, co między nimi jest możliwe, całość ich obcowania. I to jest tak... erotycznie genialne, że nie wiem jak oni na to wpadli! To jak ze snu! Kto to wymyślił? On, czy ona? Jeśli ona — to jest artystka!

Po chwili.

— I wie pan, co mi się zdaje? Że ona jemu nie oddała się. I że to jest okropniejsze, niż gdyby żyli ze sobą. Taka myśl, to czysty obłąd, nieprawdaż? A przecież! Bo, gdyby 5 Pornografia ona oddała się, to ja mógłbym się bronić, a tak... nie mogę... i jest możliwe, że ona, nie oddając się mu, jest bardziej jego. Bo to wszystko między nimi odbywa się inaczej, inaczej! To inne! To inne!

Ha! O jednym nie wiedział. Że, co ujrzał na wyspie, działo się dla Fryderyka i przez Fryderyka — było rodzajem bastarda, zrodzonego przez nich z Fryderykiem. I jaka satysfakcja — trzymać go w niewiedzy, nie mającego pojęcia, że ja, powiernik jego, jestem po tamtej stronie, z żywiołem, który go niszczy.

Aczkolwiek nie był to mój żywioł (bo za młody). Aczkolwiek ja byłem jego kolegą, nie ich — i rujnując jego właściwie siebie rujnowałem. Ale — cudowna lekkość!

— To z wojny — powiedział. — To z wojny. Ale dlaczego ja muszę wojnę toczyć ze szczeniakami? Jeden mi zabił matkę, a drugi... To za dużo, o odrobinę za dużo.

To już przesada. Pan chce wiedzieć, jak ja się zachowam?

Ponieważ nie odpowiedziałem, powtórzył z naciskiem.

— Pan chce wiedzieć, jak będę postępował?

— Słucham. Niech pan mówi.

— Ja nie ustąpię ani na cal.

— Aha!

— Nie pozwolę jej uwieść — ani żeby mnie uwiedzione.

— Jak pan to rozumie ?

— Potrafię uprzeć się przy swoim i swego pilnować. Ja ją kocham. Ona mnie kocha.

To tylko jest ważne. Reszta musi ustąpić, reszta musi być bez znaczenia, bo ja tak chcę. Potrafię chcieć tego. Wie pan, ja właściwie nie wierzę w Boga. Moja matka była wierząca, ja nie. Ale ja chcę żeby Bóg istniał. Chcę — to ważniejsze, niż gdybym tylko był o jego istnieniu przekonany. W tym wypadku także potrafię chcieć i

utrzymam moją rację, moją moralność. Przywołam Henię do porządku. Dotąd z nią nie rozmawiałem, ale zaraz jutro rozmówię się i przywołam do porządku.

— Co pan jej powie?

— Zachowam się przyzwoicie i ją zmuszę do przyzwoitości. Zachowam się z szacunkiem — ja ją uszanuję i zmuszę aby i mnie uszanowała. Potraktuję ją tak, że nie będzie mogła odmówić mi swego uczucia i swej wierności. Ja wierzę, że szacunek, poszanowanie, wie pan — zobowiązują. I wobec tego młokosa także zachowam się jak trzeba.

Teraz, ostatnio, wyprowadził mnie trochę z równowagi — to się nie powtórzy.

— Pan chce zachowywać się... poważnie?

— Z ust pan mi to wyjął! Poważnie! Ja ich — przywołam do powagi!

— Tak, ale „powaga” pochodzi od „wagi”. Poważny jest ten kto się zajmuje tym co najważniejsze. Cóż jednak jest najważniejsze? Dla pana może być najważniejsze jedno, dla nich — drugie. Każdy wybiera to sobie wedle uznania — i na swoją miarę.

— Jak to? Ja jestem poważny, nie oni. Jak oni mogą być poważni, jeśli to dzieciństwa — bzdury — głupstwa. Idiotyzmy!

— A jeśli — dla nich — dzieciństwo jest ważniejsze?

— Co? Dla nich ważniejsze musi być to, co dla mnie jest ważne. Co oni wiedzą? Ja wiem lepiej! Ja ich zmuszę! Nie zaprzeczy pan, że chyba ja jestem ważniejszy od nich, moja racja musi być decydująca.

— Zaraz. Ja myślałem że pan uważa siebie za poważniejszego ze względu na swoje zasady... ale teraz wychodzi na to, że pańskie zasady są ważniejsze, ponieważ pan sam jest ważniejszy. Osobiście. Jako osoba. Jako starszy.

— Nie kijem go to pałką! — krzyknął. — To jedno i to samo! Najmocniej przepraszam. Te zwierzenia o tak późnej godzinie. Najmocniej dziękuję.

Wyszedł. Mnie na śmiech się zbierało. Heca! Połknął haczyk — i rzucał się, jak ryba! Jakiego figla spłatała mu nasza parka!

— Cierpiał? Cierpiał? No tak, cierpiał, ale to było cierpienie tłustawe — znużone — łysawe...

Wdzięk był po tamtej stronie. Więc i ja byłem „po tamtej stronie”. Wszystko co stamtąd — rozkoszne i... umiejące zjednać... ujmujące... Ciało.



Ten byk, który udawał, że broni moralności, a naprawdę pchał się na nich własnym swoim ciężarem. Pchał się na nich sobą. Narzucał tę swoją moralność nie z innego powodu jak, że była „jego” —

cięższa, starsza, bardziej rozwinięta... moralność mężczyzny. Narzucał gwałtem!

A to mi byk! Nie mogłem go ścierpieć. Tylko że... czyż sam nie byłem jak on? Ja — mężczyzna... O tym myślałem, gdy znów odezwało się pukanie do drzwi. Byłem pewny, że Wacław powraca — a to był Siemian! Rozkaszałem mu się w twarz — tego się nie spodziewałem!

— Wybaczy pan, że niepokoję, ale słyszałem głosy i wiedziałem, że pan nie śpi.

Czy mógłbym prosić o szklanekę wody?

Pił wolno, drobnymi łykami, nie patrząc na mnie. Bez krawata, z rozpiętą koszulą i zmięty — a włosy miał wypomadowane, ale sterczące, i co chwila przebierał w nich palcami. Wychylił szklanekę, ale nie wychodził. Stał i przebierał we włosach.

— Jaka to arabeska! — mruknął. — Nie do uwierzenia!... Stał dalej, jakby mnie nie było. Umyślnie nie odzywałem się. Rzekł półgłosem, nie do mnie.

— Potrzebuję pomocy.

— Czym mogę panu służyć?

— Pan wie za ja zupełnie załamane się nerwowo? — zapytał obojętnie, jakby nie o niego chodziło.

— Przyznam się... Nie rozumiem...

— Pan musi być jednak au courant — roześmiał się. — Pan wie kim jestem. I że się załamane.

Rozczesywał włosy i oczekiwał mojej odpowiedzi. Mógł czekać bez końca ponieważ zamyślił się, czy też raczej był skupiony na jakiejś myśli, choć nie myślał.

Postanowiłem dowiedzieć się, czego chce — odpowiedziałem, iż rzeczywiście jestem au courant...

— Pan człowiek sympatyczny... Ja tam obok już dłużej nie mogłem... w

odosobnieniu... — wskazał palcem na swój pokój. — Jak by tu wyrazić się?

Zdecydowałem, że zwrócę się do kogoś. Zdecydowałem, że zwrócę się do pana. Może dlatego, że pan sympatyczny, a może dlatego, że przez ścianę... Dłużej ja nie mogę być sam. Nie mogę i kwita! Pozwoli pan, że spocznę.

Usiadł, a ruchy jego były jakby po chorobie — ostrożne, jakby nie miał pełnej władzy nad członkami i musiał naprzód obmyślić każde poruszenie. — Prosiłbym o informację — rzekł — Czy tu coś się knuje przeciwko mnie?

— Dlaczego? — zapytałem.

Postanowił roześmiać się, a potem powiedział: — Wybacz pan, ja bym chciał otwarcie... ale wpierw muszę wyjaśnić w jakim charakterze tu zjawiam się przed panem szanownym. Będę musiał trochę zreferować mój żywot. Proszę łaskawie posłuchać. Pan zresztą sporo musi o mnie wiedzieć ze słyszenia. Pan słyszał o mnie, jako o człowieku śmiałym, niebezpiecznym, można powiedzieć... No tak...

Ale teraz, niedawno, napadło mnie to... Zapeszyłem się, wie pan. Taki feblik.

Tydzień temu. Siedziałem, wie pan, przy lampie i naraz mnie do głowy przychodzi takie pytanie: dlaczego tobie dptąd nie pośliznęła się noga? A jeśli jutro pośliznie się i wpa- t dniesz?

— To przecież nieraz musiało się panu nasunąć.

— Naturalnie! Nieraz! Ale rym razem na tym nie skończyło się — bo mnie zaraz przyszła do głowy druga myśl, taka, że ja nie powinienem tak myśleć, bo to mnie mogłoby ewentualnie zmiękczyć, otworzyć, diabli wiedzą, udostępnić niebezpieczeństwu. Pomyślałem, że lepiej tak nie myśleć. A jak tylko tak pomyślałem, już nie mogłem się opędzić tej myśli, i złapało, i teraz ciągle, ciągle muszę myśleć, że mnie powinie się noga i że nie powinienem o tym myśleć, bo mnie powinie się noga, i tak w kółko. Panie! Złapało mnie!

— Nerwy.

— To nie nerwy. Wie pan co? To przeinaczenie. Przeinaczenie śmiałości w strach.

Na to nie ma rady.

Zapalił papierosa. Zaciągnął się, dmuchnął. — Panie, ja jeszcze trzy tygodnie temu miałem przed sobą cel, zadanie, miałem walkę, obiekt taki czy inny... Teraz nic nie mam. Wszystko ze mnie opadło jak, za przeproszeniem, gacie. Teraz tylko myślę żeby mnie się coś nie stało. I mam rację. Ten kto się boi o siebie, zawsze ma rację!

Najgorsze jest to, że mam rację, dopiero teraz mam rację!. Ale czego wy chcecie ode mnie? Już piąty dzień tu siedzę. Proszę o konie — nie dają. Trzymacie mnie jak w

więzieniu. Co chcecie ze mną zrobić? Ja w tym pokoiku na górze skręcam się... Co chcecie?

— Niech się pan uspokoi. To nerwowe.

— Chcecie mnie wykończyć?

— Pan przesadza.

— Taki głupi nie jestem. Ja nawaliłem... Nieszczęście się stało, że ja się im wygadałem ze strachem moim, już wiedzą. Póki się nie bałem, oni się mnie nie bali. Teraz, kiedy się boję, stałem się niebezpieczny. Ja to rozumiem. Nie można mieć do mnie zaufania. Ale zwracam się do pana, jak do człowieka. Powziąłem takie postanowienie: żeby wstać, przyjść do pana i odezwać się wprost. To moja ostatnia szansa. Przychodzę do pana wprost, bo człowiek w moim położeniu nie ma innej drogi. Niech pan posłucha, to jest błędne koło. t Wy mnie się boicie, bo ja boję się was, ja was się boję, bo wy mnie się boicie. Ja nie mogę inaczej z tego wydobyć się, jak tylko skokiem i dlatego buch, uderzam do pana po nocy, choć się nie znamy... Pan jest inteligentny człowiek, pisarz, niech pan zrozumie, niech pan mi rękę poda, żebym ja z tego wydobył się.

— Co mam zrobić?

— Niech mi pozwolą odjechać. Odczepić się. Ja tylko o tym marzę. Żeby się odczepić. Wycofać się. Odszedłbym na piechotę — ale gotowicie mnie na polu gdzie zdybać i... Niech pan wyperswaduje, żeby mi pozwolili odjechać, że ja nikomu już nic nie zrobię, że mnie się przejadło, że już nie mogę. Ja chcę być —

spokojny. Spokojny. Jak raz się rozszczepimy, nie będzie trudności. Panie, niech pan to zrobi, ja błagam pana bo, wie pan, nie mogę... Albo niech pan mi pomoże uciec. Zwracam się do pana, bo przecie nie mogę być sam przeciwko wszystkim, jak banita, niech pan mi rękę poda, niech pan mnie tak nie zostawia. Nie znamy się, ale ja pana wybrałem. Ja do pana. Po co mnie chcecie prześladować, jeśli jestem już unieszkodliwiony — i na amen! Skończyło się.

Nieoczekiwany szkopuł w osobie tego człowieka, który zaczął się trząść... co mu powiedzieć? Ja pełny jeszcze byłem Wacława, a tu przede mną ten człowiek wymiotujący — dość, dość, dość! — i błagający o litość.

Ujrzałem w przeblysku całą fatalność problemu: nie mogłem go odtrącić, bo teraz śmierć jego nasiliła się jego drżącym przede mną życiem. Przyszedł do mnie, stał się bliski i wskutek tego ogromny, życie jego i śmierć piętrzyły się teraz przede mną, niebotyczne. A zarazem zjawienie się jego przywracało mnie — wytrącając z Wacława — służbie, akcji naszej pod przewodem Hipolita, i on, Siemian, stawał się tylko obiektem naszego działania... a jako obiekt, był wyrzucony na zewnątrz, wykluczony z nas i nie mogłem uznać go, ani porozumieć się z nim ani nawet z nim mówić naprawdę, musiałem zachować dystans i, nie dopuszczając do siebie stosować manewr, politykę... więc przez chwilę duch stanął mi dęba niczym koń przed przeszkodą nie do pokonania... bo on mnie wzywał do ludzkości i zbliżał się do mnie, jak do człowieka, a mnie nie wolno było ujrzeć w nim człowieka. Jaką miałem mu dać odpowiedź? Jedno najważniejsze — nie dopuścić go do siebie, nie pozwolić żeby mnie przeniknął! — Panie — powiedziałem — jest wojna. Kraj jest okupowany. Dezercja w tych warunkach to luksus, na który nie możemy sobie pozwolić. Jeden drugiego musi pilnować. Pan to wie.

— To znaczy że... pan nie chce ze mną... naprawdę pomówić?

Odczekał chwilę, jakby lubując się milczeniem, które coraz bardziej nas rozdzielało.

— Panie — rzekł — nigdy panu portki nie opadły?

Znów nie odpowiedziałem, zwiększając dystans. — Panie — rzekł cierpliwie — ze mnie to wszystko opadło — ja jestem bez tego. Pomówmy bez ceregieli. Jeśli ja przychodzę do pana po nocy, jak nieznajomy do nieznajomego, pomówmy bez tego wszystkiego, chce pan?

Zamilkł i czekał co powiem. Nic nie powiedziałem.

— Obojętne, jaka pana opinia o mnie — dodał apatycznie. — Ale ja pana wybrałem —

na mego zbawcę, lub zabójcę. Co pan woli? Wówczas zastosowałem do niego wyraźne kłamstwo — wyraźne tyleż dla mnie, co dla niego — i tym wyrzuciłem go ostatecznie z naszego grona: — Nic mi nie wiadomo aby panu co groziło. To przesada. Nerwy.

To go ścięło. Nie odrzekł nic — ale nie ruszał się, nie odchodził, pozostał...

bierny. Jakbym pozbawił go możliwości odejścia. J pomyślałem, że może tak trwać godzinami, nie ruszy się, po co ma się ruszać — pozostanie... ciężąc nade mną. Nie wiedziałem co począc z nim — i on nie mógł mi w tym pomóc, bo go odtrąciłem, wyrzuciłem, i bez niego znalazłem się wobec niego — sam... Jakbym go miał w ręku. A między mną, a nim, nie było nic oprócz obojętności, zimnej nieżyczliwości, odrazy, był mi obcy, był mi ohydny! Pies, koń, kura, nawet robak były mi bardziej sympatyczne od tego mężczyzny już w latach, zużytego, z wypisaną na sobie całą historią swoją — mężczyzna nie znosi mężczyzny! Nic bardziej odrażającego dla mężczyzny, niż drugi mężczyzna — mowa, rzecz jasna, o mężczyznach w starszym wieku z wypisaną na twarzy historią. Nie pociągał mnie, nie! Nie był w stanie mnie zjednać sobie. Nie mógł wkupić się w łaski. Nie mógł się podobać! Odpychał mnie tyleż swoją istotą duchową, co cielesną, jak Waclaw, bardziej jeszcze — odpychał mnie, jak ja jego odpychałem, i wzięlibyśmy się na rogi jak dwa stare tury — i to, że ja jemu byłem równie wstrętny w zużyciu moim, wzmagalo jeszcze mój wstręt. Waclaw — a teraz on — obaj ohydni! I ja z nimi!

Mężczyzna może być znośny dla mężczyzny tylko jako wyrzeczenie, gdy wyrzeka się siebie na rzecz czegoś — honoru, cnoty, narodu, walki... Ale mężczyzna będący tylko mężczyzną — co za potworność!

Ale on mnie wybrał. On do mnie się zgłosił — i teraz nie ustępował. Był przede mną. Kaszlnąłem i kaszelek ten mnie powiadomił, że sytuacja stawała się coraz trudniejsza. Jego śmierć — choć odstręczająca — była teraz o krok przede mną, jak coś nie dającego się wyminąć.

O jednym marzyłem tylko — aby odszedł. Potem się zastanowię, naprzód niech odejdzie. Dlaczego nie miałbym powiedzieć, że zgadzam się i udzielię pomocy? To nie było wiążące, przecież zawsze mogłem uczynić z tego przyrzeczenia podstęp i manewr —

to jest, gdybym zdecydował się go zgubić i wyjawiał wszystko Hipolitowi — wszakże dla celów naszej akcji, naszej grupy, było nawet wskazane pozyskać jego zaufanie i móc nim powodować. Jeśli postanowię go zgubić... Cóż szkodzi skłamać człowiekowi, którego się gubi?

\_ Niech pan posłucha. Przede wszystkim — opanować nerwy. To najważniejsze. Niech pan zejdzie jutro na obiad. Niech pan powie, że to był kryzys nerwowy, który już mija. Że pan wraca do formy. Niech pan udaje, że panu przeszło. Ja ze swej strony także pomówię z Hipolitem i postaram się jakoś urządzić panu ten wyjazd.

A teraz niech pan wraca do siebie, tu może ktoś przyjść...

Mówiąc to nie miałem pojęcia, co mówię. Prawda czy kłamstwo? Pomoc czy zdrada? Potem się okaże — a teraz niech się oddali! Wstał i wyprostował się, nie dostrzegłem w nim ani cienia nadziei, nic w ogóle w nim nie drgnęło, nie próbował ani dziękować, ani, choćby spojrzeniem, przypodobać się... wiedząc z góry, że to się nie uda i że nic mu nie pozostaje jak tylko być, być takim jak jest, być tym swoim bytem niewdzięcznym, niemiłym — którego zgładzenie byłoby wszakże jeszcze wstrętniejsze. On tylko szantażował swym istnieniem... o, jakież to odmienne od Karola!

Karol!

Po jego odejściu zacząłem pisać list do Fryderyka. Był to raport — zdawałem relację z obu tych nocnych wizyt. I był to dokument, którym już wyraźnie zgłaszałem się do wspólnego działania. Zgłaszałem się na piśmie. Nawiązałem dialog.

11.

Nazajutrz Siemian zjawił się na obiad. Wstałem późno i zeszedłem akurat gdy siadano do stołu — wtedy ukazał się Siemian, ogolony, wypomadowany i wonny, chusteczką wystającą z kieszonki. Było to pojawienie się Pornografia trupa — przecież my jego uśmiercaliśmy bez przerwy od dwóch dni. Trup wszakże z gracją kawalerzysty ucałował rączki pani i przywitawszy się ze wszystkimi tłumaczył, że „już zaczyna przechodzić niedyspozycja, co go opadła” i że mu raźniej — że obrzydło mu kisać samemu na gorze „gdy tu familia cała zgromadzona”. Hipolit własnoręcznie podsunął mu krzesło, szybko przygotowano nakrycie, powróciła, jakby nietknięta, nasza atencja dla niego i zasiadł —

równie przeważający i przygniatający, co pierwszego wieczoru. Podano zupę.

Poprosił o wódkę. Musiał to być nie lada wysiłek — mówienie trupie, jedzenie trupie, picie trupie, wydarte gwałtem wszechmożnej jego niechęci, wydarte mocą strachu

jedynie. „Z apetytem jeszcze nie tego, ale tej zupki spróbuję”. „Wódki bym gołnął jeszcze, jeśli łaska”.

Obiad ten... zamazany, a podszyty dynamiką ukrytą, obfitujący w crescendo nieokiełznane i przenikający sprzecznymi sensami, niejasny, niczym tekst wpisany w tekst... Wacław na swoim miejscu przy Heni — i chyba rozmówił się z nią i „zdobył szacunkiem”, gdyż oboje okazywali sobie wiele uwagi, co chwila świadczyli sobie uprzejmości, ona wyszła-chetniała i on wyszlachetniał — oboje szlachetni. Co do Fryderyka — rozmowny jak zawsze, towarzyski, ale wyraźnie zepchnięty na drugi plan Siemianem, który niepostrzeżenie zawładnął... tak, bardziej jeszcze niż kiedy zjawił się po raz pierwszy, udzielał się nam posłuch i wewnętrzne napięcie wobec życzeń jego, najdrobniejszych, które poczynały się w nim jako prośba a w nas kończyły się rozkazem. Ja, poinformowany, że to nędza jego ubiera się ze strachu w dawniejszą, już przepadła władczość, patrzyłem na to jak na farsę! Z początku było to jeszcze maskowane dobroduszością kresowcaoficera, trochę kozaka, trochę zawadiaki — w dalszym ciągu jednak ponurość zaczęła wyłazić mu wszystkimi porami, ponurość, a także tą zimną, apatyczną obojętność, którą już wczoraj w nim zauważyłem. Mroczniał i brzydł. I musiał wytwarzać się w nim splot nie do zniesienia, gdy ze strachu wcielał się przed nami w dawnego Siemiana, którym już nie był, którego się bał bardziej od nas, któremu już nie mógł sprostać — tamtego Siemiana „niebezpiecznego”, który był od rozkazywania i posługiwania się ludźmi, od uśmiercania człowieka człowiekiem. „Upraszałbym o tę cytrynkę” — brzmiało to pocziwie, po kresowemu, nawet trochę z rosyjska, ale posiadało szpony, nacechowane było gdzieś w głębi nie-poszanowaniem cudzego istnienia i on, wyczuwając to, bał się, a groza jego rosła mu na jego strachu.

Fryderyk, wiedziałem, musiał wchłaniać w siebie to jednoczesne narastanie w jednej osobie grozy i przerażenia. Ale gra Siemiana nie stałaby się niepohamowana gdyby Karol nie zgrał się z nim z drugiego końca stołu i nie poparł całym sobą jego władczości.

Karol jadł zupę, smarował chleb masłem — ale Siemian momentalnie zapanował nad nim, jak za pierwszym razem. Chłopak znów miał nad sobą pana. Ręce jego stały się żołnierskie i sprawne. Całe to istnienie niewyrośnięte poddało się od razu i gładko

Siemianowi, poddało się i oddało — i jeśli jadł, to żeby mu służyć, jeśli smarował chleb, to za jego pozwoleniem, a głowa jego podporządkowała się z miejsca swymi krótko ostrzyżonymi włosami, które tylko nad czołem miękko mu się kłębiły. Niczym tego nie wyraził — po prostu stał się taki — jak zmienia się ktoś zależnie od oświetlenia. Siemian być może nie zdał sobie z tego sprawy, jednakże między nim a chłopcem ustalili się zaraz jakiś stosunek i mrok jego, ta chmura niechętna, naładowana władczością (już tylko udaną) zaczęła szukać Karola i na nim się piętrzyć. A temu asystował Wacław, Wacław siedzący obok Heni i szlachetny... Wacław sprawiedliwy, domagający się miłości i cnoty... patrzył on, jak wódz ciemnieje chłopcem, chłopiec — wodzem.

Musiał on wyczuwać — Wacław — że to zwraca się przeciwko temu szacunkowi, którego bronił, który jego bronił — albowiem między wodzem a chłopcem wytwarzało się nie co innego, jak właśnie lekceważenie — lekceważenie przede wszystkim śmierci. Czyż chłopiec nie oddawał się wodzowi na śmierć i życie dlatego właśnie, że tamten nie bał się ani umrzeć, ani zabić — to przecież czyniło go panem innych ludzi. A w ślad za takim lekceważeniem śmierci i życia szły wszystkie inne możliwe deprecjacje, całe oceany dewaloryzacji i chłopięca zdolność do lekceważenia spajała się w jedno z ponurą władczą nonszalancją tamtego — wzajem siebie potwierdzali, ponieważ nie bali się śmierci ani bólu, jeden dlatego że chłopiec, drugi dlatego że wódz. Sprawa zaostrzyła się i wyolbrzymiała, ponieważ zjawiska wywoływane sztucznie są bardziej nieokiełznane — a Siemian przecież już tylko robił z siebie wodza ze strachu, żeby się ratować. I ten wódz sztuczny, a zamieniany w prawdę przez wyrostka, dusił go, dławił, terroryzował. Fryderyk musiał wchłaniać w siebie (wiedziałem)

gwałtowne spotężnienie tych trzech osób. Siemiana, Karola, Wacława, zwiastujące możliwość wybuchu... gdy ona, Henia, pochylała się spokojnie nad talerzem.

Siemian jadł... aby wykazać że już może jeść, jak wszyscy... i próbował wdzięczyć się tym swoim stepowym szarmem, który wszakże zatruty był trupim jego zinnem i który, na Karolu, przetwarzał się natychmiast w gwałt i w krew.

Fryderyk to wchłaniał. Ale wtedy zdarzyło się, że Karol poprosił o szklanę i Heńka podała mu ją — i może ten moment, w którym szklanka przechodziła z rąk do rąk,



został trochę, troszeczkę tylko, przedłużony, mogło się zdawać, że ona spóźniła się o ułamek sekundy z oderwaniem swojej ręki. Mogło to być. Czy było?

Drobiazg tej poszlaki dosięgną! Waclawa, jak maczuga — zszarzał — a Fryderyk przesunął po nich spojrzeniem, jakże obojętnym.

Podano kompot. Siemian zamilkł. Siedział teraz coraz bardziej nieprzyjemny, jakby skończyły mu się uprzejmości i jakby już ostatecznie zrezygnował z podobania się i jakby wrota zgrozy otwarły się przed nim na oścież. Był zimny.

Henia zaczęła bawić się widelcem i tak się złożyło, że Karol również dotykał swojego widelca — właściwie nie było wiadomo, czy się nim bawi, czy tylko dotyka, i mogło to być czysto przypadkowe, wszak widelec miał pod ręką —

jednakże j Waclaw znowu spopieliał — czyż bowiem było to przypadkowe? Ach, naturalnie, mogło być przypadkowe — i takie drobne, że prawie niedostrzegalne.

Lecz nie było także wykluczone... a nuż ta drobność właśnie pozwalała im na igraszkę, ach> lekką, leciutką, tak mikroskopijną, iż (dziewczyna) mogła oddawać się temu z (chłopcem) nie naruszając swej cnoty z narzeczonym — wszak było to zupełnie nieuchwytnie... I czyż nie ta lekkość nęciła ich — tym, że najlżejszy ruch ich dłoni uderza w Waclawa, jak cios — może nie mogli powstrzymać się od tej zabawki, która będąc prawie niczym była zarazem — w Waclawie — okropnym pogromem. Siemian zjadł kompot. Jeśli Karol naprawdę uprawiał takie drażnienie się z Waclawem, ach, może niedostrzegalne nawet dla niego samego, to jednak w niczym nie naruszało ono jego wierności wobec Siemiana, albowiem bawił się jak żołnierz gotów na śmierć, więc lekkomyślny. A i to nacechowane było dziwnym nieokiełznaniem, którego udziela sztuczność — bo przecież ta gierka z widelcami była tylko dalszym ciągiem teatru na wyspie, ten flirt między nimi był „teatralny”. Znalazłem się przeto, przy tym stole, między dwiema mistyfikacjami, bardziej natężonymi niż wszystko, na co mogłaby się zdobyć rzeczywistość. Sztuczny wódz i sztuczna miłość.

Powstano. Obiad się skończył.

Siemian przystąpił do Karola.

— Ej ty... szczeniaczek... — rzekł.

— No to co! — odparł Karol, uszczęśliwiony.

Oficer zwrócił się do Hipolita bladymi oczami, nieprzyjemnie zimno. — Pogadamy?

— zaproponował przez zęby.

Chciałem być obecny przy ich rozmowie, ale zahamował mnie krótkim: — Pan — nie... Cóż to? Rozkaz? Czyżby zapomniał, jakeśmy w nocy rozmawiali? Ale zastosowałem się do jego życzenia i pozostałem na werandzie, gdy on z Hi-pem oddalał się w ogród. Henia była obok Wacława i ujęła go ręką za ramię, jakby nic między nimi nie zaszło, znów wierna; ale nie bez tego żeby Karol, stojący obok drzwi otwartych, nie założył na nie ręki (ręka jego na drzwiach — ręka jej na Wacławie). I narzeczony rzekł do panny: — Chodźmy się przejść, na co odpowiedziała, jak echo: — Chodźmy. Odeszli aleją, a Karol pozostał jak nieposkromiony i nie dający się uchwycić żart... Fryderyk śledząc wzrokiem narzeczonych i Karola mruknął: — Kpiny! Odpowiedział mu nieznaczny uśmiech mój... dla niego tylko. Po kwadransie Hipolit powrócił i wezwał nas do gabinetu — Trzeba kończyć z nim — powiedział. — Dzisiejszej nocy trzeba to załatwić.

Naciska!

I, opadłszy na sofę, powtórzył do siebie z lubością przymykając oczy: — Naciska! Okazało się, że Siemian znowu zażądał koni — ale tym razem nie była to prośba — nie, to było takie, że Hip dłuższy czas nie mógł przyjść do siebie. — Panowie, to jest żulik! To jest morderca! Chciał koni, powiedziałem że dziś nie mam, może jutro... wtedy ścisnął mi rękę palcami, rękę mi wziął w palce i ścisnął, mówię wam, jak typowy zabójca... i powiedział, że jeśli do jutra, do 10-ej rano, koni nie będzie, to... — Nacisnął! — powiedział przerażony. — Dziś w nocy trzeba to załatwić, bo jutro będę musiał dać konie. I dodał po cichu:

— Będę musiał.

Była to dla mnie niespodzianka. Widocznie Siemian nie wytrzymał w roli, jaką wczoraj planowaliśmy, zamiast rozmawiać układowie, uspakajająco, przemówił groźnie... widać był najechany, sterroryzowany ex-Siemianem, tym niebezpiecznym, którego wywoływał w sobie podczas obiadu i z tego urodziła się w nim groźba, rozkaz, nacisk, okrucieństwo (którym nie mógł się oprzeć, ponieważ bał się ich bardziej, niż ktokolwiek inny)... Dość, że stał się znów groźny. Ale to przynajmniej było dobre, że już nie czułem się wyłącznie odpowiedzialny za niego, jak w nocy, w pokoju, wszak przekazałem sprawę Fryderykowi.

Hipolit wstał. Panowie, no, jak to zrobimy? Kto? Wyciągnął cztery zapałki i ukreślił jedną główkę. Spojrzałem na Fryderyka — oczekiwałem jakiegoś znaku — czy wyjawić moją rozmowę nocną z Siemianem? Ale on był okropnie blady. Przełknął ślinę.

— Przepraszam — rzekł. — Nie wiem czy...

— Co? — zapytał Hipolit.

— Śmierć — powiedział krótko Fryderyk. Patrzył w bok. Z-a-b-i-ć go?

— A co? Jest przecie rozkaz.

— Z-a-b-i-ć — powtórzył. Na nikogo nie patrzył. Był sam na sam z tym słowem.

Nikogo — tylko on i z-a-b-i-ć. Nie mogła kłaniać kredowa bladość jego, pochodząca stąd że on wiedział co znaczy zabić. Wiedział — w tej chwili — ^0 cna \_ ja... tego... nie... — rzekł i strzepnął jakoś palcami w bok, w bok, w bok, gdzieś za siebie... Wtem zwrócił twarz w stronę Wacława.

I było to jak gdyby pojawił się adres na bladości jego — zanim się odezwał wiedziałem już z całą pewnością, że się nie załamał, a tylko wciąż kieruje wypadkami, manewruje — nie tracąc z oczu Heni i Karola — w ich kierunku! Więc co? Bał się? Czy za nimi się uganiał?

— Pan także nie! — zwrócił się wprost do Wacława.

— Ja?

— Jak pan to zrobi... nożem — bo to nożem trzeba — nie z rewolweru, za głośno — jak pan to nożem, jeśli panu matkę niedawno też nożem?... Pan? Pan, ze swoją matką i katolik? Ja się pytam! Jak pan się urządzi, żeby to zrobić?

Wikłał się w słowach, ale były one przeżyte do gruntu, poparte twarzą, która krzyżąc „nie” wlepiła się w twarz Wacława. Niewątpliwie — „wiedział co mówił”.

Wiedział co znaczy „zabić” i był u kresu wytrzymałości, nie mogący sprostać...

Nie, to nie była gra, ani taktyka, on w tym momencie był prawdziwy!

— Pan dezertuje? — odezwał się chłodno Hipolit.

W odpowiedzi uśmiechnął się bezradnie i głupio.

Wacław przełknął ślinę, jakby zmuszano go do zjedzenia czegoś niejadalnego.

Przypuszczam, że on dotąd podchodzi! do tego, jak ja, czyli w trybie wojennym, to zabicie było dla mego jednym z wielu, jednym więcej — odrażające, ale przecież

zwyczajne i konieczne nawet, i nieuniknione — aż tu wydobyto mu je z ilości i umieszczono osobno, jako niezmierne Zabicie same w sobie! On także zbladł. A. do tego matka! I nóż! Nóż identyczny z tym którym jemu matkę...

zabijałby więc nożem wydobytym z matki, wymierzyłby to samo pchnięcie i ten sam czyn powtórzyłby na ciele Siemiana... Lecz być może pod jego czołem napiętym zmarszczkami matka zmieszała mu się z Heńką i nie matka, a właśnie Heńka stała się decydująca. Musiał zobaczyć siebie w roli Skuziaka zadającego cios... lecz wtedy jakże ostać się wobec Heni z Karolem, jak oprzeć się ich zespoleniu, Heni w ujęciu (chłopca), Heni zniedośłałej w jego ramionach, Heni bezczelnie schłopakowanej?... Zabić Siemiana, jak Skuziak — ależ wtedy kimże się stanie? Skuziakiem? Co przeciwstawi tamtej sile — nieletniej? Gdyby Fryderyk nie był wyodrębnił i wyolbrzymił Zabicia... ale teraz to już było Zabicie i ten cios nożem godził w jego własną godność, honor, cnotę, we wszystko czym walczył ze Skuziakiem o matkę, z Karolem o Henię.

To chyba sprawiło, że, zwróciwszy się do Hipolita, zameldował tępo, jakby stwierdzając coś już wiadomego:

— Ja tego nie mogę...

Fryderyk zagadnął mnie prawie triumfalnie, tonem który dyktował odpowiedź:

— A pan? Pan zabije?

Ha! Co? Więc tylko taktyka! Do czegoś zmierzał udając strach, zmuszając nas do odmowy. Niepojęte: ten strach jego, blady, spotniały, drżący, tak ostateczny w nim, był tylko koniem na którym on galopował... do młodych kolan i rąk!

Posługiwał się swoim przerażeniem w celach erotycznych! Szczyt szalbierstwa, niewiarygodna nikczemność, coś nie do przyjęcia i nie do zniesienia! Siebie on jak konia swego traktował! Lecz pęd jego mnie porwał i poczułem, że z nim razem muszę galopować. I zresztą nie chciałem, rzecz jasna, zabijać. Byłem szczęśliwy, że wolno mi się wykręcić od tego — już pękła nasza dyscyplina i jednolitość.

Odpowiedziałem: —

Nie.

— Bajzel — zareplikował ordynarnie Hipolit. — Dość zawracania głowy. W takim razie ja sam załatwię. Bez pomocy.

— Pan? — powiedział Fryderyk. — Pan?

— Ja.

— Nie.

•'••,,,,•, •:•• - • - -;-!-... , , w. •

\_ Dlaczego?

— Nnnie..-

\_ panje \_ powiedział Hipolit — niech się pan zastanowi.

Przecie nie można być świnia. Trzeba mieć trochę poczucia obowiązku. To jest obowiązek, panie! To jest służba!

\_ pan chce z poczucia obowiązku za-bi-jać niewinnego człowieka?

\_ To jest rozkaz. Myśmy otrzymali rozkaz. To akcja, panie! Ja nie będę się wyłamywał z szeregu, wszyscy muszą razem. Tak trzeba! To jest odpowiedzialność! Co pan chce? Żeby go wypuścić żywcem?

\_ To niemożliwe — zgodził się Fryderyk. — Wiem, to niemożliwe.

Hipolit wybałuszył oczy. Czy spodziewał się, że Fryderyk odpowie: „tak, wypuście go”? Na to liczył? Jeśli taką żywił skrytą nadzieję, ta odpowiedź Fryderyka odcinała odwrót.

— Więc czego pan chce?

— Ja wiem, naturalnie... konieczność... obowiązek... rozkaz... Nie można nie...

Ale przecie pan mnie... Pan nie będzie za-rzy-nał... Pan nniee... Pan nie może!

Hipolit, natknąwszy się na to „nniee” skromne, wyszeptane — usiadł. To „nniee” wiedziało co znaczy zabić — i ta wiedza, teraz, kierowała się wprost na niego piętrząc olbrzymią trudność. Zamknięty w cielsku spoglądał na nas, jak przez okno, wytrzeszczony. „Zwyczajne” zlikwidowanie Siemiana ;uż nie wchodziło w rachubę po naszych trzech odmowach, pełnych abominacji. To stało się wstrętne pod naciskiem naszego obrzydzenia. I już nie mógł pozwolić sobie na płytkość.

Nie będąc osobą zbyt głęboką, ani przenikliwą, był jednak człowiekiem pewnego środowiska, pewnej sfery, i gdy my staliśmy się głębocy, on nie mógł pozostać płytki, ze względów jPo prostu towarzyskich. W pewnych razach nie można być „mniej głębokim”, podobnie jak nie można być „mniej subtelnym”, to dyskwalifikuje

towarzysko. Tak to konwenans muszał go do głębi, do wyczerpania wraz z nami treści wyrazu „zabić”, ujrzał to, jak myśmy ujrzeli — jako okropność.

211 się, jak my, bezsilny. Mordować kogoś własnymi rękami? Nie, nie, nie! Ale w takim razie pozostawało tylw „nie zabijać” — „nie zabijać” oznaczało wszakże wyłamać; się, zdradzić, stchórzyć, nie spełnić zadania! Rozłożył ręce Był pomiędzy dwiema obrzydliwościami — i jedna z nich musiała stać się jego obrzydliwością.

— No to co? — zapytał.

— Niech Karol to załatwi.

Karol! Oto do czego zmierzał przez cały czas — ten lis! Ten chytrus! Dosiadając siebie, jak konia!

— Karol?

— Pewnie. On to załatwi. Jak pan mu każe.

Mówił, jakby to było niezmiernie łatwe — cała trudność mu się ulotniła. Jakby chodziło o załatwienie przez Karola sprawunku w Ostrowcu. Nie wiadomo dlaczego ta zmiana tonu wydawała się poniekąd uzasadniona. Hipolit zawahał się.

— Mamy na niego to zwalać?

— A na kogo? My tego nie zrobimy, to nie dla nas... a zrobić trzeba, nie ma rady! Pan mu powie. On robi, jeśli mu się powie. Dla niego to nie będzie problem. Dlaczegożby nie miał zrobić? Niech pan mu każe.

— Pewnie że, jak każe, zrobi... Ale jakże tak? Co? To on niby... za nas?

Wacław wmieszał się nerwowo.

— Pan nie uwzględnia, że to jest ryzykowne... To jest odpowiedzialność. Nie można wyręczyć się nim, przerzucać na niego ryzyka, to niemożliwe! Tego się nie robi!

— Ryzyko możemy wziąć na siebie. Gdyby sprawa wyszła na jaw, powiemy, że my jesteśmy sprawcami. O co chodzi? O to tylko żeby ktoś za nas wziął nóż i ciachnął — to jemu pójdzie gładziej, niż nam.

— Ależ mówię panu, że nie mamy prawa posługiwać się nim dlatego tylko że ma szesnaście lat, pakować go w to... Wyręczać się...

Panika go ogarnęła. Karola pakować w mord, którego on nie był zdolny popełnić, Karola, wyzyskując jego młodość.

130 Karola — bo szczeniak... ależ to nie było w porządku i to OS:

h'ąło go wobec chłopca... on zaś musiał być silny wobec "hłopca! Zaczął chodzić po pokoju. — To byłoby niemoral-c , \_ wybuchnął ze złością i zaczerwienił się jak dotknięty najpoufalszych swoich wstydach. Hip natomiast oswajał się powoli z tą myślą.

— Możliwe... rzeczywiście najprostsze... Od odpowiedzialności nikt się nie uchyla. Chodzi o to tylko, żeby się nie zba-brać... samym faktem... To nie dla nas robota. To dla niego.

I uspokoił się, jakby pod dotknięciem różdżki czarodziej-skiej \_ jakby na koniec nasunęło się jedyne naturalne rozwiązanie. Poznał, że to zgodne z porządkiem natury. On się nie uchylał. On był od wydawania rozkazów — Karol od wykonywania. Odzyskał spokój i rozum. Stał się arystokratyczny.

— Że też mi to do głowy nie przyszło. Pewnie!

Dość szczególnie, zaiste, widok: dwóch mężczyzn, jeden zawstydzony tym co drugiemu przywróciło godność. Owo „wyzyskiwanie nieletniego" jednego napęniało hańbą, a drugiego — dumą, i jak gdyby jeden stawał się od tego mniej męski, drugi bardziej męski. Ale Fryderyk — jakież genialny! Że Karola zdołał wmieszać w to... że ku niemu zwichnął całą sprawę... dzięki czemu zamierzona śmierć rozgrzała się naraz i rozgorzała nie tylko Karolem, ale i Heńką, ich rękami, ich nogami — i trup projektowany zakwitnął wzbronioną, chtopięco-dziewczęcą, niezgrabną i szorstką zmysłowością. Wtargnęło gorąco — ta śmierć już stała się miłosna. I wszystko — ta śmierć, nasz strach, wstręt, nasza niemoc — po to tylko aby ręka młoda i zbyt młoda sięgnęła po nią... Już zagłębiałem się w to, nie jak w morderstwo, a jak w awanturę ich ciał niedorozwiniętych, głuchych. Rozkosz!

A jednocześnie była w tym zjadliwa ironia i nawet posmak klęski — że my, dorośli, uciekaliśmy się do pomocy młodzika, który mógł zrobić to, czego my nie mogliśmy — c/yzby to morderstwo było wiśnią na cienkiej gałęzi, dostępną jedynie lżejszemu?... Lekkość! Nagle w tym kierunku wszystko zaczęło przeć, Fryderyk, ja, Hipolit, jęliśmy dążyć do nie-etniego jak do sekretnej jakiejś alchemii odciążającej.

\*t\* Wtem Wacław także wyraził zgodę na Karola. \ Gdyby odmówił, sam musiałby zabrać się do tego, bo mv już byliśmy poza konkursem. A po wtóre coś mu się chyba pomieszało — odezwał się w nim katolicyzm i nagle bodaj wydało mu się, że Karol

jako morderca będzie równie odstręcza-; jacy dla Heni co on, Wacław, jako morderca — błąd pochodzący stąd, iż zanadto wahał kwiaty duszą, a nie nosem, zanadto wierzył w piękność cnoty i brzydotę grzechu. Zapomniał, że zbrodnia w Karolu może mieć inny smak, niż w nim. Uczepiwszy się tej iluzji, zgodził się — bo zresztą nie mógł się nie zgodzić, jeśli nie chciał zrywać z nami i znaleźć się zupełnie na uboczu, w tak mętnych okolicznościach.

Fryderyk obawiając się aby nie zmienili zdania, co prędzej! zaczął szukać Karola — ja z nim. Nie było go w domu. Heńkę zobaczyliśmy odbierającą bieliznę w kredensie, ale nie ona była nam potrzebna. Nerwowość nasza wzrosła. Gdzie Karol?

Szukaliśmy z wzrastającym pośpiechem, nie mówiąc nic, jakby! obcy sobie.

Był w stajni, opatrywał konie — wywołaliśmy go — i podszedł uśmiechnięty.

Przypominam sobie doskonale ten uśmiech, ponieważ w momencie gdyśmy wołali na niego uprzytomnił sobie karkołomność naszej propozycji. Przecież uwielbiał Siemiana. Był mu oddany. Jakże więc do czegoś takiego go zmusić? Ale uśmiech przeniósł nas od razu w inną krainę gdzie wszystko było przyjazne i chętne. To dziecko znało już swoje przewagi. Wiedział, że jeśli czegoś chcemy od niego to jego młodości — podszedł tedy, kpiący nieco, ale i gotów się zabawić. I to podejście jego wypełniało szczęściem, wskazywało bowiem jak dalece już się z nami spoufalił. I rzecz dziwna: ta zabawa, ta lekkość uśmiechnięta, były najlepszym wstępem do brutalności, jaka miała nastąpić.

— Siemian zdradził — wytłumaczył zwięźle Fryderyk. — Są na to dowody.

— Aha! — rzekł Karol.

— Trzeba go zakatrupić dziś jeszcze, w nocy. Zrobisz to?

—Ja?

\_ Boisz się?

\_\_ Nie.

Stał przy dyszlu, na którym zawieszony był popręg. Niczym nętnie nie wyraziła się jego wierność dla Siemiana. Jak Iko usłyszał o zabiciu, stał się małomówny i nawet może trochę wstydlivy. Zamknął się i stężał. Wydawało się, że nie będzie protestował. Ja pomyślałem, że dla niego zabić Siemiana, czy też zabijać z rozkazu Siemiana, było właściwie tym sa-mym — to co go łączyło z nim, to była śmierć, obojętne czyja. On,



wobec Siemiana, ślepo posłuszny i żołnierz — ale był posłuszny i był żołnierzem także gdy zwracał się przeciw Siemianowi z naszego rozkazu. Widać było, że jego ślepotą wobec wodza przerodziła się w natychmiastową, milczącą, zdolność uśmiercenia. Nie zdziwił się.

Tyle tylko, że (chłopiec) spojrział na nas przelotnie. Jakiś sekret zawierało to spojrzenie (jakby pytał: czy wam chodzi o Siemiana, czy... o mnie?). Ale nie powiedział nic. Stał się dyskretny.

Oszołomieni tą nieprawdopodobną łatwością (jakby wprowadzającą nas w zupełnie inny wymiar) poszliśmy z nim do Hipolita, który udzielił dodatkowych instrukcji — że trzeba pójść w nocy z nożem — i żeby wszystko odbyło się bez hałasu. Hip odzyskał już zupełnie równowagę i wydawał polecenia jak oficer — był na swoim miejscu.

— A jak nie otworzy drzwi? Przecie on zamyka się na klucz.

— Znajdzie się sposób żeby otworzył. Karol odszedł.

I to, że odszedł, wzburzyło mnie i rozszalało. Odszedł dokąd? Do siebie? Co znaczyło — do siebie? Co to było, ta s<sup>^</sup>era Jego, gdzie umiera się równie łatwo jak się zabija? atarafiliśmy w nim na gotowość, posłuszeństwo, z których wynikało, że on nadawał się do tego — jak gładko to poszło!

' PrzePysznie oddalił się, cicho i posłusznie... i nie mogłem wątpić, że do niej, do Heni oddała się z rękami, w które wsadziliśmy nóż. Henia! Nie ulegało kwestii, on teraz, jako chłopiec z nożem, chłopiec zabijający, był bliższy zdobycia jej i posiadania — i gdyby nie Hipolit, który zatrzymał nas na dalszą naradę, bylibyśmy wypadli za nim, aby go śledzić. Lecz dopiero po jakimś czasie opuściliśmy gabinet Hipolita aby wyjść do ogrodu, za nim, za nią — i już byliśmy w przedpokoju, gdy ze stołowego doszedł nas stłumiony, ucięty nagle, głos Wacława — coś tam się stało! Zawróciliśmy. Scena niczym z tych na wyspie. Wacław o dwa kroki od Heni — nie było wiadomo o co im poszło, ale coś musiało zajść między nimi.

Karol stał trochę dalej, przy bufecie.

Na nasz widok Wacław powiedział:

— Spoliczkowałem ją.

Wyszedł.

Wtedy ona powiedziała:

— Bije!

— Bije — powtórzył Karol.

Śmiali się. Kpili. Złośliwi, ale rozbawieni. Zresztą nie bardzo — nie zanadto — tak tylko pokpiwali sobie. Jakaż elegancja w tej ich kpinie! I raczej podobało im się, że „bije”, jak gdyby wyzywali się w tym.

— Co go ugryzło? — zapytał Fryderyk. — O co mu poszło?

— O cóż by? — odrzekła. Zabawnie łypnęła oczami, kokieteryjnie, i od razu zrozumieliśmy, że to się odnosi do Karola. Było cudowne, ujmujące, że nawet nie wskazała go oczami, wiedziała, że nie potrzeba — wystarczyło, że stała się kokieteryjna — wiedziała, że nam może się podobać tylko „z” Karolem. Jakże łatwo mogliśmy już porozumiewać się i widziałem, że oboje byli pewni naszej życzliwości. Filuterni, rozdokazywani dyskretnie i doskonale poinformowani, że nas zachwycają. To już było wyraźne.

Nietrudno było odgadnąć, że Wacław nie wytrzymał —• znów musieli rozdrażnić go jakimś nieuchwytnym prawid spojrzeniem czy dotknięciem... te ich prowokacje dziecinne', Fryderyk zapytał ją nagle:

— Karol nic ci nie mówił?

— Co?

— Że dziś w nocy... Siemianowi... ' !

Zrobił zabawny ruch ręką naśladując poderżnicie gardła — byłoby to zabawne, gdyby zabawa nie była w nim czymś tak poważnym. On bawił się na serio. Usiadł. Ona o niczym nje wiedziała, nie, Karol w nic ją nie wtajemniczył. Opowiedział jej więc pokrótce o zamierzonej „likwidacji” i że Karol ma tego dokonać. Mówił, jakby chodziło o rzecz zupełnie zwykłą. Oni (bo i Karol także) słuchali — jakby to powiedzieć — nie stawiając oporu. Nie mogli inaczej słuchać, gdyż musieli nam się podobać i to utrudniało im reakcje. Tyle tylko, że, gdy skończył, ona nie odezwała się — ani on — iż ich strony wezbrało milczenie. Nie było dobrze wiadomo, co ono znaczy. Ale (chłopak), tam, przy bufecie, stał się mroczny, a i ona stała : i ę ciemna.

Fryderyk tłumaczył: — Główna trudność, że Siemian w nocy może nie otworzyć drzwi. Będzie się bał. Moglibyście pójść we dwoje. Ty byś zastukała pod jakimś pretekstem. Tobie otworzy. Nie przyjdzie mu nawet do głowy, żeby nie otworzyć. Powiesz na przykład, że masz list dla niego. A jak otworzy, cofniesz się i Karol wlezie... to chyba najlepszy sposób... jak uważacie?

Proponował bez większego nacisku, „tak sobie”, co zresztą było uzasadnione — bo cały ten pomysł był jednak mocno naciągany, nie istniała żadna pewność, że Siemian tak zaraz otworzy jej drzwi i on zaledwie ukrywał prawdziwy sens tej propozycji: żeby wciągnąć w to Henię, żeby oni we dwoje... Organizował to niczym scenę na wyspie. Nie tyle pomysł mnie olśnił, ile sposób w jaki został wprowadzony w życie — bo on zaproponował to nagle, jakby mimochodem i wykorzystując moment, w którym oni byli specjalnie skłonni traktować nas łaskawie, sprzymierzać się z nami, a nawet po prostu czarować nas — we dwoje, we dwoje! Było więc widoczne, że Fryderyk liczył na „dobrą wolę” tej pary — że oni zgodzą się bez większych trudności, żeby go zadowolić — znów więc liczył na „łatwość”, na tę samą łatwość, która już objawiła się u Karola. Chciał po prostu żeby „razem” rozdeptali tego robaka... Ale teraz sens erotyczny, zmysłowy, miłosny jego zamierzenia już prawie nie dawał się ukryć oczywisty! I przez chwilę wydało mi się, że dwa oblicza tej sprawy zmagają się z sobą tuż przed nami:

gdyż z jedm strony propozycja była dosyć straszna, wszak chodziło o to aby i tę dziewczynę wsadzić w grzech, w morderstwo... al z drugiej strony propozycja była „upajająca i podniecająca” gdyż szło o to aby oni „razem”...

Co przeważa? Miałem dość czasu aby to pytanie przemknęło mi przez głowę, gdyż nie odpowiedzieli od razu. Jednocześnie ujrzałem z całą wyrazistością, że, tak jak stoją przed nami, są względem siebie wciąż niechętni, bez czułości, na ostro — ale mimo to byli tak bardzo skrepowani faktem, że nas zachwycali i że my oczekiwaliśmy od nich upojenia, iż to zmuszało ich do uległości. Nie mogli już iść wbrew piękności, którą my w nich odkrywaliśmy. A ta uległość w głębi dogadzała im — wszak oni od tego byli żeby się poddawać. Był to znów jeden z tych czynów „popełnianych na sobie”, tak właściwych młodości, czynów którymi młodość się określa i które wskutek tego odurzają ją do tego stopnia, iż prawie zatracą się ich obiektywne, zewnętrzne

znaczenie. Nie Sie-mian, nie śmierć jego były dla nich najważniejsze — tylko, oni sami. (Dziewczyna) ograniczyła się do odpowiedzi:

— Dlaczego nie? Można zrobić. < Karol roześmiał się nagle, dość niemądrze.

— Jak się da, to się zrobi, a jak się nie da, to się nie zrobi. Uczułem, że głupota jest mu potrzebna.

— No dobrze. To ty zastukasz, a potem uskokczysz i ja go sztachnę. Tak może być, tylko że nie wiadomo czy otworzy.

Roześmiała się: — Nie bój się, jak ja zastukam, otworzy.

Ona także była teraz dość głupia.

— To naturalnie między nami — rzekł Fryderyk.

— Niech pan będzie spokojny!

Na tym skończyła się rozmowa — rozmów takich nie można przeciągać. Wyszedłem na werandę, stamtąd do ogrodu, chciałem nieco odetchnąć — zbyt zawrotnie to wszystko zaczęło pędzić. Światło słabło. Kolory utraciły szklistą powłokę blasku, zieleń i czerwień przestały kłuć — cienisty wypoczynek barw przed nocą. Co noc ukrywa?

A więc... owo rozdeptanie glisty — ale glistą był nie Wacław, tylko Siemian. Ja nie byłem tak bardzo pewny, czy to wszystko trzyma się kupy, coraz to grzał mnie i rozpalał mroczny ogień;, lecz coraz opadałem, zniechęcony, nawet zrozpaczony, bo to było zbyt fantastyczne, zbyt dowolne i nie dość prawdziwe — było jakąś igraszką, tak, było to z naszej strony doprawdy „igranie z ogniem”. Znalazłszy się na osobności, wśród krzewów, zgubiłem do reszty wątek... Wtem ujrzałem, że Wacław się zbliża. — Chcę panu wytłumaczyć! Proszę mnie zrozumieć! Ja nie byłbym jej uderzył, ale to było świństwo, po prostu, mówię panu, świństwo!

— Co takiego?

— Świństwo mi zrobiła! Grube świństwo, choć cieniutkie... ale to nie było złudzenie moje... Świństwo cienkie, a grube! Rozmawialiśmy w stołowym. Wszedł — on. Amant. Od razu poczułem, że ona mówi do mnie, ale zwraca się do niego.

— Zwraca się do niego?

— Do niego, nie słowami, ale... ale wszystkim. Cała. Niby rozmawiała ze mną, a jednocześnie zaczepiła go i oddała się jemu. Przy mnie. Rozmawiając ze mną. Da pan

wiarę? To było coś... Widziałem, że rozmawia ze mną będąc z nim — i to tak... zupełnie. Jakby mnie przy tym nie było. Uderzyłem ją w twarz. I co ja teraz zrobię. Niech pan mi powie, co ja teraz mogę zrobić?

— Nie dałoby się załagodzić?

— Ależ ja uderzyłem! Postawiłem kropkę nad i. Uderzyłem ! Teraz już wszystko definitywnie ustalone i zatwierdzone. Uderzyłem! Sam nie wiem, jak mogłem... Wie pan co? Przypuszczam, że gdybym nie był pozwolił aby on został wyznaczony do tej... likwidacji... nie uderzyłbym jej.

— Dlaczego?

Spojrzał na mnie bystro.

— Bo już nie jestem w porządku — wobec niego. Po- zwoliłem mu się wyręczyć. Straciłem rację moralną i dlatego biję. Biję, bo już cierpienie moje nic nie znaczy. Nie jest godne szacunku. Straciło honor. Dlatego biję, biję, biję... a jego nie tylko pobiłbym — jego bym zabił!

— Co pan opowiada!

— Zabiłbym i to bez trudności... To nic nie jest! Zabić... takiego? Tak jak rozdeptać robaka! Drobiazg! Drobiazg! Tylko że, z drugiej strony, zabić takiego... Skandal! I wstyd! To dużo trudniej, niż z dorosłym. To niemożliwe! Zabicie może być tylko między dorosłymi. A gdybym jej poderznął gardło?... Przypuśćmy! Niech pan się nie niepokoi. Ja tylko tak, dla żartu.

Przecie to wszystko żarciki! Ze mnie żartują, dlaczego ja nie miałbym trochę pożartować? Boże wielki, wybaw mnie z żartu, w jaki popadłem! Boże, Boże mój, jedyna moja ucieczko! Co to chciałem powiedzieć? Aha, ja powinienem zabić... ale Siemiana... to powinienem zrobić, jeszcze czas, trzeba się śpieszyć... jeszcze czas żeby odebrać to morderstwo temu młokosowi... bo, póki zwałam to na niego, nie jestem w porządku, nie jestem w porządku!

Zamyślił się.

— Za późno. Zagadaliście mnie. Teraz jakże mu będę odbierał to zadanie? Teraz już wiadomo, że się pcham do tego nie ze względu na obowiązek, a tylko żeby nie dać mu jej — żeby nie stracić przewagi moralnej nad nią. Cała ta moja moralność — po to tylko, żeby ją posiadać!

Rozłożył ręce.

— Nie bardzo widzę, co mam robić. Obawiam się, że nic mi nie pozostaje do zrobienia.

Powiedział jeszcze kilka rzeczy godnych zastanowienia:

„Jestem goły! Jak mi goło! Boże mój! A to mnie rozebrali! Ja, w moim wieku, już nie powinienem być goły! Nagość — to dla młodzieży!”.

A dalej.

„Ona zdradza nie tylko mnie. Ona zdradza męskość. Męskość w ogóle. Bo ona nie zdradza mnie z mężczyzną. Czyż więc jest kobietą? Aha, powiem panu, ona wyzyskuje że je-138 szcze nie jest kobietą”.

„Wyzyskują jakąś odrębność swoją, coś bardzo spe-cy--ficz-ne-go, o czym ja dotąd nie wiedziałem, że istnieje...”

Dalej:

„Tylko, pytam się, skąd im się to wzięło? Powtarzam, co już powiedziałem: oni tego sami nie mogli wymyślić. Tego na wyspie. Tego co teraz ze mną... tych prowokacji... To zbyt wymyślne. Mam nadzieję, że pan zrozumie: nie mogli wymyślić, bo zbyt wymyślne. Więc skąd to wzięli? Z książek? Bo ja wiem!”

Wylewał się dołem gęstniejący sos, hamujący widzenie, i gdy korony drzew pławiły się jeszcze w niebie pierzastym, wesołym, pnie były już niewyraźne, odpychające wzrok. Zajrzałem pod cegłę. List.

„Proszę pomówić z Siemianem”.

„J\liech pan powie, że w nocy pan i Henia wyprowadzicie go na pole, gdzie będzie czekał Karol z bryczką. Że Henia zastuka do niego w nocy, żeby go wyprowadzić. Uwierzy. Wie, że Karol jest jego, że Heńka jest Karola! Uwierzy namiętnie ! To najlepszy sposób, żeby otworzył jej drzwi, kiedy zastuka. Ważne. Proszę nie zaniedbać!”

proszę pamiętać: już nie można się cofnąć. Cofnąć się można tylko w świństwo”.

„Skuziak — co? Co z nim? Co? Giowę sobie lamie. Nie może pozostać na uboczu, oni to powinni we troje... Ale jak?”

„Ostrożnie! Nie trzeba forsować. Lepiej delikatnie i z wyczuciem, żeby nie zadrażnić, nie narazić się niepotrzebnie, jak dotąd, na psa urok, szczęście nam sprzyja — cała rzecz w tym żeby nie popsuć. Niech pan uważa na siebie.

Ostrożnie!"

Poszedłem do Siemiana.

Zastukałem — dowiedziawszy się, że to ja, otworzył, ale natychmiast rzucił się z powrotem na łóżko. Jak długo tak leżał? W skarpetkach — obuwie, wspaniale wyglansowane, błyszczało na podłodze pośród kupy niedopałków. Palił papierosa za papierosem. Ręka, cienka w przegubie, długa, z pierścionkiem na palcu. Nie objawiał chęci do rozmowy. Spoglądał w sufit leżąc na wznak. Powiedziałem, że przychodzę żeby go ostrzec: niech sobie nie robi iluzji.

Hipolit nie da mu koni.

Nie odpowiedział:

— Ani jutro, ani pojutrze. Co więcej, pańskie obawy, że nie wypuszczą pana żywego, mogą być słuszne. Milczenie.

— Wobec tego chcę panu zaproponować... plan uciezki. Milczenie.

— Chcę panu dopomóc.

Nie odpowiedział.

Leżał jak kłoda. Pomyślałem, że się boi — ale nie był to strach, tylko złość.

Złość złośliwa. Leżał i był złośliwie zły — nic więcej. Był zjadliwy. To dlatego (pomyślałem), że ja byłem wtajemniczony w jego słabość. Znałem jego słabość, dlatego przemieniła mu się w złość.

Wyłożyłem plan. Uprzedziłem, że Henia zastuka i że wyprowadzimy go na pole.

— Kurr...

— Ma pan pieniądze?

— Mam.

— To w porządku. Niech pan będzie gotów — troszkę po północy.

— Kurr...

— To słówko niewiele panu pomoże.

— Kurr...

— Niech pan nie będzie zbyt ordynarny. Jeszcze nam się odechce.

— Kurr...

Z tym go zostawiłem. Przyjmował naszą pomoc, pozwalał abyśmy go ratowali — ale nie dziękował. Rzucony na 140 łóżko, długi, sprężysty, jeszcze wyrażał sobą zaborczość i władzę \_ pan, rozkazodawca — ale gwałcić już nie mógł. Przemoc mu się skończyła. I wiedział, że ja to wiem. Jeśli do niedawna nie potrzebował ubiegać się o niczyją łaskę, będąc groźny, mogąc narzucić się siłą, to teraz leżał tutaj przede mną w swej męskości agresywnej, wściekłej, ale już pozbawionej szponów i zmuszonej szukać współczucia... i wiedział, że w tej męskości swojej jest niesympatyczny, nieprzyjemny... więc nogą w skarpetce podrapał się w udo... podniósł nogę i poruszył palcami, był to gest doskonale egoistyczny, on miał gdzieś to czy ja jego lubię, czy nie lubię... i nie lubił mnie... i tonął w oceanach awersji, chciało mu się rzygać... mnie także. Wyszedłem. Swoisty cynizm męski zatruwał mnie, jak papierosy, w stołowym natknąłem się na Hipolita i aż mnie odrzuciło, o mały włos a byłbym zwymiotował, tak, o mały włos, o jeden z tych włosków, które im i mnie na rękach wyrastały! W tej chwili nie mogłem znieść Mężczyzny !

Było ich — mężczyzn — pięciu w domu. Hipolit, Sie-mian, Wacław, Fryderyk i ja. Brrr... Nic w świecie zwierzęcym nie osiąga takiej potworności — jakież koń, jakież pies może rywalizować z tą rozwiązłością kształtu, z tym. cynizmem kształtu? Niestety! Niestety! Ludzkość po trzydziestce wkracza w potworność.

Cała piękność była po tamtej, młodej, stronie. Ja, mężczyzna, nie mogłem szukać schronienia w kolegach moich, mężczyznach, bo mnie odpychali. I pchali mnie w tamto!

Pani Maria stała na werandzie.

— Gdzie są wszyscy? — zapytała. — Poznikali?

— Nie wiem... Byłem na górze.

— A Henia? Nie widział pan Heni?

— Może w inspektach.

Zatrzepotała palcami. — Czy pan nie ma tego wrażenia?... Wacław wydał mi się zdenerwowany. Jakiś przybity. Czy tam coś nie tak, jak trzeba, między nimi?

Chyba coś się ze- psuło. To zaczyna mi się nie podobać, muszę pogadać z

Wacławem... albo może z Henią... nie wiem... Boże święty! Była zaniepokojona.



— Nic nie wiem. A to, że przybity... no, stracił matkę.

— Pan myśli, że to z powodu matki ?

— Pewnie. Matka to matka!

— Nieprawdaż? Ja też myślę, że to z powodu matki. Stracił matkę! Tego mu nawet Henia nie zastąpi! Matka to matka! Matka! — poruszyła palcami zwiewnie. I to całkowicie ją uspokoiło, jakby słowo „matka” było tak potężne iż nawet słowu „Henia” odbierało znaczenie, jakby było najwyższą świętością!... Matka! Wszakże i ona była matką. I już nie była niczym, tylko matką! To było istnienie, będące już wyłącznie matką, spojrzało na mnie wzrokiem przekwitłym, zaprzestłym, i oddaliło się ze swoim nabożeństwem do matki — wiedziałem, że nie ma obawy aby mogła nam bruździć w czymkolwiek — niczego nie mogła dokonać w czasie teraźniejszym, będąc matką. Zagrały, oddalające się, jej były po-nęty.

W miarę napływania nocy i tego co jej przybycie zwiastowało — zapalania lamp, zamykania okiennic, nakrywania do kolacji — coraz gorzej mi było i wałęsałem się, nie mogąc znaleźć sobie miejsca. Z coraz większą wyrazistością rysowała się istota zdrady mojej i Fryderyka: zdradziliśmy męskość z (chłopcem plus dziewczyna).

Chodząc tak po domu zajrzałem do salonu, gdzie było ciemnawo, i zobaczyłem Wacława, siedzącego na kanapie. Wszedłem i usiadłem na fotelu, dość daleko zresztą, pod przeciwległą ścianą. Mętne były moje zamierzenia. Zamazane.

Rozpaczliwa próba — czy nie da się najwyższym wysiłkiem przewyciężyć odrazy, nawiązać z nim w męskości. Odraza jednak wzrosła niebotycznie, pobudzona tym moim nadejściem i umieszczeniem mego ciała w pobliżu jego ciała — wezbrana jego do mnie niechęcią... niechęcią, 142 która, czyniąc mnie wstrętnym, czyniła wstrętnym mój wstręt do niego. I vice versa. Ja wiedziałem, że w tych warunkach nie może być mowy aby któryś z nas zajaśniał tymi świet-nościami, które były nam dostępne mimo wszystko — mam na myśli świetności cnoty, rozumu, poświęcenia, bohaterstwa, szlachetności, które mogliśmy wytworzyć, które tkwiły w nas in potentia — ale wstręt był zbyt wszechwładny. Czyż jednak nie mogliśmy go przełamać gwałtem?

Gwałt! Gwałt! Od czegoż byliśmy mężczyznami? Mężczyzna jest tym, który gwałci, który narzuca się siłą. Mężczyzna jest tym, który króluje! Mężczyzna nie pyta, czy się podoba, on troszczy się tylko o własną przyjemność, jego podniebienie ma decydować

co piękne, co szpetne — dla niego i tylko dla niego! Mężczyzna jest dla siebie, dla nikogo więcej!

Ten to gwałt pragnąłem chyba wykrzesać z nas... Tak jak sprawy się miały obecnie, i on i ja byliśmy impotentami ponieważ nie byliśmy sobą, nie byliśmy dla siebie, byliśmy dla tamtego i młodszego odczuwania — i to grążyło nas w brzydocie. Ale gdybym zdoła! w tym salonie choć przez jedną chwilę być dla niego, dla Wacława — on dla mnie — gdybyśmy zdołali być mężczyzną dla mężczyzny!

Czyż to nie spiętrzyłoby nam męskości? Czyż jeden drugiego nie zgwałciłby męskością do męskości? Takie były moje kalkulacje, czynione resztkami zrozpaczonej i nieprzytomnej nadziei. Gdyż gwałt, jakim jest mężczyzna, musi naprzód począć się w męskości, między mężczyznami... i niechby sama moja obecność przy nim zdołała zamknąć nas w tym hermetycznym kręgu... ogromne znaczenie przypisywałem temu, że ciemność osłabiała naszą piętę achillesową, ciało. Myślałem, iż wykorzystując osłabienie ciała zdołamy się związać i pomnożyć, staniemy się dość potężnie mężczyznami iżby nie brzydzić się sobą — bo przecież sobą nikt się nie brzydzi — bo przecież wystarczy być sobą aby się nie brzydzić! Takie były moje, już rozpaczliwe, intencje. Ale on pozostawał bez ruchu... ja także... i nie mogliśmy ze sobą rozpocząć, początku nam brakło, nie wiadomo było, rzeczywiście, jak zacząć...

Naraz wsunęła się do salonu Henia.

Nie zauważyła mnie — przystąpiła do Wacława — sia- dla obok niego, cicha. Niby — proponując zgodę. Zapewne była (nie widziałem dobrze) grzeczna. Pojednawcza. Układna. Potulna. Bezradna może. Zgubiona. Co to?

Co to? Czyżby i ona miała dość... tamtego... czy bała się, chciała się wycofać, w narzeczonym szukała oparcia, ratunku? Siadła przy nim grzecznie, bez słowa, oddając mu inicjatywę, miało to znaczyć: „masz mnie, teraz zrób coś z nami”.

Wacław ani drgnął — palcem nie poruszył.

Jak żaba, znieruchomiały. Nie miałem pojęcia, co w nim wre. Duma? Zazdrość?

Obraza? Czy po prostu było mu nijako i nie wiedział, co z nią począć — a ja krzycheć chciałem, niechby ją objął przynajmniej, niechby rękę na niej położył, od tego zależeć mogło zbawienie! Ostatnia deska ratunku! Ręka jego odzyskałaby na niej męskość, a

ja doskoczyłbym moimi rękami i jakoś by poszło! Gwałt — gwałt w tym salonie! Ale nic. Czas mijał. Nie ruszał się. I było to jak samobójstwo — klapa — klapa — klapa — i dziewczę wstało, oddaliło się... a za nią ja.

+

Podano kolację, podczas której ze względu na panią Marię, oddawaliśmy się zdawkowej rozmowie. Po kolacji znów nie wiedziałem co z sobą począć, zdawałoby się, że w godzinach poprzedzających morderstwo jest sporo do roboty, a tymczasem nikt z nas niczym się nie zajmował, wszyscy się rozproszyli... może dlatego, że czyn, mający nastąpić, miał tak poufny, drastyczny charakter. Fryderyk? Gdzie Fryderyk? On też gdzieś zniknął i to zniknięcie naraz mnie oślepiło, jakby mi założono opaskę na oczy, nie wiedziałem co i jak, musiałem go znaleźć, zaraz, natychmiast — rozpocząłem tedy poszukiwania. Wyszedłem na dwór. Zbierało się na deszcz, gorąca wilgoć w powietrzu, płaty chmur dające się przeczuwać na bezgwiezdnym niebie, wiatr zrywał się chwilami i kręcił się po ogrodzie, po czym ucichał. Wszedłem w ogród prawie po omacku, raczej odgadując ścieżki, ze śmiałością, jaką 144 dyktuje krok na niewidziane, i tylko co pewien czas znajoma sylwetka drzewa, lub krzaka, zwiastowała, iż wszystko się zgadza i tam jestem gdzie się spodziewałem być. Ale odkryłem, że wcale nie jestem przygotowany na tę niezmienną ogrodu i raczej dziwi mnie ona... mniej by mnie dziwiło, gdyby ogród się przeinaczył po ciemku na wywrót. Ta myśl roz-chybotwała mnie, jak łódkę na pełnym morzu i pojąłem, że już straciłem ląd z oczu. Fryderyka nie było.

Zapuściłem się aż na wyspy, to zapuszczanie odbierało mi przytomność i każde wyłazające przede mną drzewo, każdy krzak, były atakującą mnie fantastycznością — bo choć były, jakie były, mogły być inne. Fryderyk? Fryderyk? Brakowało mi go nagląco. Bez niego wszystko było niezupełne. Gdzie się ukrył? Co robił? Wracalem do domu aby tam jeszcze go szukać, gdy natknąłem się na niego w krzakach przed kuchnią. Gwizdnął, jak łobuz. Był, zdaje się, niezbyt zadowolony z mojego przybycia, a nawet, być może, trochę zawstydzony.

— Co pan tu robi? — zapytałem.

— Głowie się. J — Nad czym?

— Nad tym.

Wskazał na okno spiżarni. Jednocześnie pokazał mi coś w otwartej ręce. Klucz od tej spiżarni. — Teraz już można pomówić — rzekł swobodnie i głośno. — Listy są zbyt długie. Już ona, wie pan, ta... no... natura... nie zrobi nam kawału, bo rzeczy zbyt daleko zaszły, sytuacja już określona... Nie ma co się patyczkować!... Mówił to jakoś dziwnie. Biło z niego coś szczególnego.

Niewinność? Świętość? Czystość? I, najwidoczniej, przestał się bać. Urwał gałązkę, rzucił na ziemię — kiedy indziej byłby trzy razy zastanowił się czy rzucić, czy nie rzucić... — Wziąłem ze sobą ten klucz — dodał — aby wymusić na sobie jakieś rozwiązanie. Co się tyczy tego... Skuziaka.

— I co? Wymyślił pan?

— Owszem.

— Można wiedzieć?

— Póki co... jeszcze nie... Pan zobaczy we właściwej chwili. Albo nie. Powiem panu zaraz. Proszę!

Wyciągnął drugą rękę — z nożem, sporym nożem kuchennym. — A to co znowu? — powiedziałem, nieprzyjemnie zaskoczony. Nagle, i po raz pierwszy, pojąłem z całą pewnością, że mam do czynienia z wariatem.

— Nic lepszego nie potrafiłem wykombinować — wyznał, jakby tłumacząc się. — Ale to wystarczy. Bo jeśli miody zabije starszego, to tu starszy zabije młodego — chwytają pan? To stwarza całość. To ich połączy, we troje. Nóż. Już dawno wiedziałem, że to co ich łączy, to nóż i krew. Rzecz jasna, to musi być załatwione jednocześnie — dodał. — Gdy Karol wbije swój nóż w Siemiana, ja wbiję mój w Józiaaa... aaa! Ten pomysł! Zwariowany! Chory — obłąkany — jakże, on jego będzie zarzynał?!... A przecież ten obłąd gdzieś, na innym planie, był właściwie czymś jak najbardziej naturalnym i nawet rozumiał się sam przez się, ten wariat miał rację, to było do zrobienia, to by ich zespoliło, „złączyło w całość”... Im krwawsza i straszniejsza była ta nedorzecznosc, tym bardziej łączyła... I, jakby tego było mało, ta myśl chora, zalatująca szpitalem, zdegenerowana i zdziczała, myśl obrzydliwa intelektualisty, buchnęła jak krzak kwitnący duszącą wonią, tak, była zachwycająca! To mnie zachwycało! Gdzieś, od innej strony, od „ich” strony. To wzmożenie krwawe młodości zabijającej i to połączenie nożem (chłopców z dziewczyną). Było właściwie obojętne,

jakie okrucieństwo popełnia się > na nich — lub nimi — wszelkie okrucieństwo  
wzmagało ich smak, jak ostry sos!

Ogród niewidoczny wezbrał i zachłysnął się czarem — choć wilgotny, choć chmurny,  
i z tym wariatem poczwarnym — musiałem głęboko odetchnąć świeżością, skąpałem  
się naraz w żywiole cudownie gorzkim, rozdzierająco uwodzicielskim. Znowu  
wszystko, wszystko, wszystko stało się młode i zmysłowe, nawet my! A jednak...  
nie, nie mogłem się zgodzić! Tu już stanowczo przebrał miarę! To było  
niedopuszczalne — niemożliwe — zarzynanie tego chłopaka w spiżarni — nie, nie,  
nie... On się roześmiał.

— Niech się pan uspokoi! Chciałem tylko sprawdzić, 146 czy pan ma zaufanie do  
moich pięciu klepek. Też! Skąd!

To takie marzenia... z czystej irytacji, że nic naprawdę nie wymyśliłem z tym  
Skuziakiem. To taki idiotyzm!

Idiotyzm. Rzeczywiście. Gdy on sam to przyznał, idiotyzm wyjechał przede mną jak  
na półmisku i było mi nieprzyjemnie, że dałem się nabrać. Wróciliśmy do domu.

12.

Niewiele już jest do opowiedzenia. Właściwie wszystko już poszło gładko, coraz  
gładziej, aż do finału, który... no, przewyższył nasze oczekiwania. I było to łatwe...  
mnie aż śmiać się chciało, że taka trudność gniotąca kończy się taką łatwością  
uskrzydającą.

Moja rola znowu polegała na pilnowaniu pokoju Siemiana. Położyłem się na łóżku, na  
wznak, z rękami pod głową, i nasłuchiwałem — wkroczyliśmy w noc i na pozór dom  
zasnął. Ja wyczekiwałem skrzypienia schodów pod nogami parki zabijającej,

właściwie jednak było za wcześnie, brakowało piętnastu minut. Cisza. Na dziedzińcu  
Hip stróżował. Fryderyk na dole, przy wejściu. Wreszcie punkt o wpół do pierwszej  
schody gdzieś w dole skrzypnęły pod ich nogami, które zapewne były bez obuwia.

Gołe? Czy w skarpetkach?

Niezapomniane chwile! Ponownie rozległo się delikatne skrzypnięcie schodów. Po cóż  
tak skradali się — byłoby bardziej naturalne gdyby ona swobodnie wbiegła na górę,  
tylko on powinien się ukrywać — ale trudno się dziwić, że udzieliła im się  
konspiracja... i nerwy musieli mieć, bądź co bądź, naprężone. Prawie widziałem ich,

jak ze stopnia wstępują na stopień, ona pierwsza, on za nią, próbując nogami aby jak najmniej było tych skrzypnięć. Gorzko mi się stało. Czyż to skradanie się wspólne nie było tylko kiepskim surogatem innego skradania stokroć bardziej pożądanego, gdzie ona byłaby celem jego skradających się stąpań?... a jednak cel ich w tej chwili — nie tyle Siemian ile jego zabicie — był nie mniej cielesny, grzeszny i gorący od miłości, i ich skradanie było nie mniej natężone... Ach! Jeszcze raz skrzypnęło! Młodość się zbliżała. Było to niewypowiedziane rozkoszne, bo pod ich stopami czyn okropny przemieniał się w czyn kwitnący, i było jak powiew świeżego powietrza...

tylko że... jakąż była ta skradająca się młodość, byłaż czysta, byłaż naprawdę świeża i prosta i naturalna, lub niewinna? Nie. Była „dla starszych”, jeśli tych dwoje wdarło się w tę awanturę to dla nas, usłużnie, żeby nam się przypodobać, żeby z nami po-flirtować... i moja dojrzałość „dla” młodości miała spotkać się na ciele Siemiana z ich młodością „dla” dojrzałości — proszę, cóż za rendez-vous \

Ale w tym zawierało się szczęście — i duma — cóż za duma! — i coś więcej jeszcze, coś jak wódka — że oni w porozumieniu z nami, za naszym poszeptem i bodaj z jakiejś konieczności służenia nam tak się narażali — i tak się skradali!

— do takiej zabierali się zbrodni! Było to boskie! To było niesłychane! W tym kryła się najbardziej fascynująca z piękności świata! Ja, leżąc na łóżku, po prostu szalałem na myśl, że my, z Fryderykiem, byliśmy natchnieniem tych nóg —

ach, znów skrzypnęło, teraz już znacznie bliżej, i ucichło, rozpoczęła się cisza, a ja pomyślałem, że może nie wytrzymali, kto wie, może, zwabieni tym wspólnym skradaniem, odwrócili się od celu, zwrócili się ku sobie i teraz, w uścisku, zapomnieli o wszystkim dobierając się sobie do ciał zakazanych! Po ciemku. Na schodach.

Zdyszani. Mogło to być. Czyżby... czyżby?... lecz nie, nowe skrzypnięcie powiadamia, że próżne nadzieje, nic się nie zmieniło, wciąż idą po schodach — i okazało się wtedy, że ta nadzieja moja była zupełnie, ale to zupełnie, wykluczona, w ogóle nie wchodząca w rachubę, nie mieszcząca się w ich stylu. Za młodzi. Za młodzi. Za młodzi na to!

Musieli zatem dojść do Siemiana i zabić. Wówczas jednak (bo znów ucichło na schodach) zastanowiłem się, czy nie zabrakło im odwagi, może ona chwyciła go za rękę i ciągnie w dół, a nuż ukazał się im nagle ciężar olbrzymi zadania, jego masa przygniatająca, to „zabić”. A nuż zobaczyli to i przestraszyli się? Nie! Nigdy! To także

było wykluczone. I dla tych samych powodów. Ich ta przepaść przyciągała dlatego, że mogli ją przeskoczyć — ich lekkość dążyła do najkrwawszych przedsięwzięć dlatego, że przerabiali to na coś innego — i ich zbliżanie się do zbrodni było właśnie niweczeniem zbrodni, oni dokonywując unicestwiali.

Skrzypnięcie. Cudowna ich nielegalność, ten lekko skradający się grzech (chłopiędziewczęco)... i widziałem prawie ich nogi zgrane w tajemnicy, wargi rozchylone, słyszałem oddech zakazany. Pomyślałem o Fryderyku, który te same odgłosy łowił z dołu, z przedpokoju, gdzie miał wyznaczone stanowisko, pomyślałem o Wacławie, ujrzałem ich wszystkich wraz z Hipolitem, z panią Marią, z Siemianem, który chyba, jak ja, leżał na łóżku — i wchłonałem smak zbrodni dziewiczej, grzechu młodzieńczego... Puk, puk, puk.

Puk, puk, puk!

Stukanie. To ona stukała do drzwi Siemiana.

Tutaj właściwie kończy się moja relacja. Finał był zbyt... gładki i zbyt... piorunujący, zbyt... lekko-łatwy abym mógł opowiedzieć go w sposób dostatecznie wiarygodny. Ograniczę się do podania faktów.

Usłyszałem jej głos: „To ja”. Klucz obrócił się w zamku Siemiana, otworzyły się drzwi, nastąpił cios i upadek ciała, które chyba runęło na płask na podłogę.

Zdaje mi się, że chłopak jeszcze dwukrotnie dla pewności użył noża. Wypadłem na korytarz. Karol już zaświecił latarkę. Siemian leżał na podłodze, gdyśmy go odwrócili ukazała się krew.

— Załatwione — powiedział Karol.

Ale ta twarz dziwacznie podwiązana chustką, jakby bolały zęby... to nie był Siemian... i dopiero po kilku sekundach spostrzegliśmy się: Wacław!

Wacław zamiast Siemiana, na podłodze, martwy. Ale Siemian także był martwy — tyle tylko, że na łóżku — leżał na łóżku z raną od noża w boku, z nosem wtulonym w poduszkę.

Zapaliliśmy światło. Przypatrywałem się temu pełen jakichś dziwnych wątpliwości.

To... to nie wydawało się tak na sto procent prawdziwe. Za skądne — za łatwe!

Nie wiem, czy jestem dość jasny, chcę powiedzieć, że naprawdę to nie mogło tak być, gdyż jakaś podejrzana skądność za- domówiła się w tym rozwiązaniu... jak z bajki,

jak z bajki... Oto co zapewne się stało: Wacław zaraz po kolacji przedostał się do pokoju Siemiana przez drzwi, łączące ich pokoje. Zabił go. Gładko. Potem czekał na przybycie Heni z Karolem i otworzył im drzwi. Wszystko, żeby oni jego zabili. Gładko. Dla pewności zgasił światło i podwiązał sobie twarz chustką — żeby go w pierwszej chwili nie poznano.

Okropność mego rozdwojenia: gdyż brutalność tragiczna tych trupów, ich krwista prawda, była zbyt ciężkim owocem drzewa zbyt giętkiego! Te dwa trupy bezwładne

—  
tych dwoje zabójców! Jak gdyby idea śmiertelnie ostateczna została przewiercona na wskroś lekkomyślnością...

Wycofaliśmy się z pokoju na korytarz. Oni przyglądali się. Nic nie mówili.

Usłyszeliśmy, że ktoś biegnie po schodach. Fryderyk. Ujrzawszy Wacława, stanął.

Machnął ku nam ręką — nie wiadomo co to miało znaczyć. Wyciągnął z kieszeni nóż, potrzymał go chwilę w powietrzu i rzucił na ziemię... Nóż był zakrwawiony.

— Józiek — powiedział. — Józiek. Tu jest. Był niewinny! Był niewinny! Naiwność niewinna biła z niego! Spojrzałem na naszą parkę. Uśmiechali się. Jak zwykle młodzież, gdy trudno wybrnąć z kłopotliwego położenia. I przez sekundę, oni i my, w naszej katastrofie, spojrzeliśmy sobie w oczy.

### **Nota wydawcy**

Pornografia Gombrowicza budziła sprzeczne uczucia wśród czytelników i krytyków. Imaginacyjna i nader drastyczna akcja umieszczona w okupowanej przez hitlerowców Polsce lat czterdziestych kazała myśleć o jakiejś grubej niestosowności, jeśli nie o bluźnierstwie wobec patriotycznych ideałów Polaka. Pornografia w samej rzeczy jest bluźnier-cza, choć nieco inaczej, niż o tym sądzić może czytelnik prostoduszny.

Prezentuje ona tradycyjną kulturę i obyczaj narodowy w stanie wyczerpania i atrofii.

Wprawdzie tu oto, na naszych oczach odprawia się jeszcze jakieś odwieczne rytuały: zajęcia gospodarskie, kojarzenie par małżeńskich, udział w religijnych obrzędach, walkę narodowowyzwoleńczą, ale są one już tylko „pustą formą” i trudno uczestniczyć w nich z całkowicie dobrą wiarą.



Skąd to wyczerpanie soków żywotnych? Może ze „śmierci Boga”, może po prostu ze starości, może także pośrednią przyczyną jest nie-ludzkość wojny i ciężar patriotycznej ofiary, która już po raz któryś z rzędu wystawia na próbę psychikę jednostek i ich poczucie obowiązku wobec wymagań zbiorowości. W Pornografii mamy więc ukazany kryzys wartości, które dotąd organizowały byt narodowy: upadek religii, kompromitację ideałów ziemiańskiej rodziny (wraz z ich strażniczką, czcigodną Amelią), załamanie psychiczne legendarnego przywódcy partyzantów itd.

Dwaj starsi panowie, Witold i Fryderyk, którzy odwiedzają znajomych w wiejskim dworze gdzieś pod Ostrowcem, są więc świadkami (a i sprawcami także — poprzez swe niedowiarstwo) powszechnego kryzysu form i autorytetów. Zarazem dobre wychowanie, towarzyski konformizm wzbraniają im wyznać otwarcie ból i niewygodę, które z tego stanu rzeczy dla nich wynikają. Z tych samych przyczyn nie mogą też porozumieć się, gdy podświadome żywioły ich psychiki odnajdują w zmartwiałym świecie ostatnie bodaj ognisko życia, które budzi w nich na powrót emocje i zachwyty. Tym ośrodkiem tajemnej, erotycznej w swych źródłach rozkoszy jest Młodość. Od węzłowej sceny mszy w wiejskim kościółku poczyna się tedy w Pornografii mozolny proces ożywiania na powrót całej rzeczywistości. Trudne to, bo tak drastyczne, że nie da się publicznie wypowiedzieć. Dlatego właśnie Witold i Fryderyk prowadzą dziwną psychomachię i reżyserują zdarzenia tak, by jednocześnie: związać dwoje Młodych erotycznym węzłem, związać Starość z Młodością, czyli siebie z nimi, poprzez wzajemną fascynację i swoistą „wymianę usług”, na koniec —

przebudować całą rzeczywistość wokół tak, by stała się oprawą dla ekscytującej awantury. Do treści erotycznych prędko dochodzi okrucieństwo i zbrodnia — tak jakby stary świat trzeba było koniecznie własnymi rękami zamordować, by nowy mógł ożyć na jego ruinach.

Pornografia kończy się karuzelą trupów, która zda się produktem wyuzdanego szaleństwa. A jednak rzeczywistość finału książki rządzi się jakąś — wcale rygorystyczną — logiką, a jej poszczególne elementy mają swoisty „sens”, którego brakło rytuałom z pierwszej części powieści (tzn. można je objaśnić, odwołując się do specjalnego „kodu”, który stworzyli dla siebie główni bohaterowie i który

uwierzytelnia ich własna emocja). Tak więc również i to bluźniercze dzieło stoi w końcu po stronie ładu i porządku — tyle że wytworzonego na chwilę, lokalnie, w pełnej emocji międzyludzkiej grze.

Witold Gombrowicz ukończył Pornografię 4 lutego 1958, a wydał ją w czerwcu roku w paryskim Instytucie Literackim.

Powieść była przekładana na język francuski, włoski, niemiecki, angielski, norweski, szwedzki, japoński, hiszpański, fiński, portugalski i serbskochorwacki.

Za podstawę obecnej edycji przyjęto pierwsze wydanie Pornografii, jako jedyne za życia autora, pozostawiając bez zmian intonacyjną — odbiegającą od obowiązujących norm — interpunkcję autorską.